

James Follett

Złoto Churchilla

Wstęp

Wszystkie okoliczności dotyczące złota Churchilla w latach 1940 i 1941 mogą nigdy nie ujrzeć światła dziennego, gdyż Bank Anglii stał się przedsiębiorstwem państwowym dopiero po II wojnie światowej, wskutek czego nie jest zobowiązany do przekazywania swych archiwów wojennych do Rejestru Publicznego. Wszystkie próby uzyskania informacji oficjalnymi kanałami napotkały grzeczną, aczkolwiek lodowato zimną ścianę milczenia. Z tego powodu chciałem wyrazić wdzięczność tym osobom w Ameryce, Anglii, Południowej Afryce i Niemczech, które opowiedziały mi swoją część historii, specjalne podziękowania zaś należą się tym nielicznym, którzy powiedzieli mi więcej, niż powinni. James Follett Luty 1980

CZĘŚĆ PIERWSZA

Trafienie

1

Szesnaście miesięcy wcześniej, wśród kłębowiska marznącej piany, w lodowatym, jałowym pustkowiu Morza Południowego, samica kaszalota połączyła się w krótkim akcie ze starym samcem. Teraz zbliżała się chwila narodzin jej pierwszego dziecka.

Poród był trudny, ogon pierworodnego wystawał już z jej ciała, lecz kolejne skurcze mięśni, mogące zmiażdżyć człowieka, nie mogły wypchnąć czteroipółmetrowego potomka na zewnątrz.

Samica przewróciła się na bok, spieniając wodę uderzeniami swego potężnego ogona w desperackiej próbie uwolnienia noworodka, któremu groziło uduszenie. Jej towarzyski ze stada wyczuły rozpaczliwą sytuację rodzącej. Porzuciły swą ucztę z kałamarnicy, płynąc wyżej przez ciepłe warstwy Oceanu Indyjskiego w stronę iskrzącego się słońca.

- Tam! Tam! Widać je - pięć kaszalotów!

Robert Gerrard odgarnął z czoła kosmyki ciemnych kręconych włosów i spojrzał kątem oka na platformę obserwatora, aby zorientować się, gdzie wskazuje wyciągnięta ręka malajskiego chłopca. Spojrzał szybko przez lornetkę na morze i zauważył wygięte grzbiety olbrzymich bestii i srebrzyste pióropusze ich oddechów, mieniące się jak fontanny pereł w zachodzącym słońcu. Wykwitały w powietrzu skierowane naprzód, pod kątem do ciała tych olbrzymich zwierząt. To musiały być kaszaloty - tylko one potrafiły tak dmuchać. A w grudniu 1940 roku kaszaloty były jedynym powodem obecności "Tulsara" na Oceanie Indyjskim, gdyż właśnie rozpoczęł się krótki sezon polowania na wieloryby koło wybrzeży południowoafrykańskiego Natalu.

Piet van Kleef, pierwszy oficer Gerrarda, przechylony przez barierkę mostka kłął w języku osadników holenderskich na żółogę żurawi przytrzymujących jedną z dwóch bardzo szybkich łodzi do polowań na wieloryby.

- Stój, Piet - powiedział Gerrard szorstko, nie odwracając wzroku od lornetki.

- Nie spuszczać łodzi.

Olbrzym spojrzął na swego kapitana ze zdumieniem.

- Przecież tam jest ze sto baryłek olbrotu, kapitanie - zaprotestował, obliczywszy już swój udział w zdobyczu.

- Gwiżdżę na to, nawet jeżeli jest tam i tysiąc baryłek - warknął Gerrard.

Gwałtownym ruchem wskazał na czerwieniejące słońce. - Jest za późno, słońce zajdzie za dwie godziny.

Piet poskrobał się w brodę brudnym kciukiem. - W porządku. Więc ustrzelimy je teraz, a rano wyciągniemy na pokład.

- I damy każdemu cholernemu rekinowi w okolicy darmową kolację?

Piet pływał z Gerrardem od dziesięciu lat, wystarczająco długo, by zrozumieć bezużyteczność wszelkich sporów z krewkim kapitanem statków wielorybniczych z Bostonu. Mimo szczupłej budowy Robert Gerrard był niesłychanie silny i szybki, przyzwyczajony do wygrywania sporów za pomocą swych śmiertelnych pięści lub bystrego umysłu, dwóch cech, które odziedziczył po swych dziadkach ze strony ojca, hugenotach. Amerykanin położył swoją żylastą dłoń na ramieniu Pieta i dał mu przyjacielskiego kuksańca.

- Będą tu dziś wieczór miały dość żarcia, jak tylko wypłyną kałamarnice.

Do rana nie odpłyną zbyt daleko.

Gdy Piet zaczął wykrzykiwać rozkazy, Gerrard powrócił do małej grupki wielorybów. Były to samice. Domyślił się, że samiec wypłynął parę mil w morze, by bronić swych żon przed niespodziewanym atakiem. Jedna z samic wydawała się mieć kłopoty z pływaniem, bo przewróciła się na bok. Dopiero wtedy Gerrard zdał sobie sprawę, że rodzi. Potężne fale wywołane przez te królewskie zwierzęta uspokoiły się nagle, gdy samica odwróciła się prawie całkiem na grzbiet, ukazując ponad dwumetrowe ciało swego na poły urodzonego dziecka wystające z brzucha. Przez chwilę niezwykle widok przysłonięty został pianą i wzburzoną wodą, po czym Gerrard, ku swemu zaskoczeniu, zobaczył, jak jedna z samic delikatnie ujęła nieruchomy ogon niemowlaka i wyciągnęła go z ciała matki.

Przez dwadzieścia pięć ze swych czterdziestu lat, jakie Gerrard spędził polując na wieloryby, nigdy nie widział czegoś podobnego i był przekonany, że nieprędko zobaczy coś takiego po raz drugi. Nagle poczuł się nieszcześliwy i samotny, przyjsście na świat małego wieloryba było czymś, co Cathy na pewno bardzo chciałaby zobaczyć.

Kilka wietrzących łatwą zdobyc ptaków morskich poczuło, że dzieje się coś niezwykłego, zmieniło więc kurs i badawczo krążyło nad miejscem zdarzenia. Tymczasem dwie samice ostrożnie wsunęły swe wielkie płaskie głowy pod nowo narodzonego kaszalota i podtrzymały nad wodą jego pysk, by mógł zaczerpnąć powietrza. To spowodowało przerwanie pępownicy grubej jak ramię mężczyzny. Krążących ptaków było coraz więcej, ich ochrypłe, urywane nawoływania były doskonale słyszalne pod cmokaniem i sykaniem fal Oceanu Indyjskiego uderzających o stalowy kadłub "Tulsara". Ogon wieloryba poruszył się niepewnie i za chwilę mały opływał już krągłe ciało matki w poszukiwaniu życiodajnych sutków.

Gerrard próbował zapomnieć o Cathy, patrząc, jak wieloryby kierują się na północ, ich obłe grzbiety szklily się szaro i czarno w żółtawo żółtym słońcu,

pióropusze oddechów smagane wiatrem rozplýwały się w powietrzu jak obłoki pary dziwnych lokomotyw głębin. Przynajmniej raz Gerrard cieszył się, że nie będzie musiał ich zabić.

W ślad za odpływającymi wielorybami poczerwieniała woda. Ptaki szybko zniżyły lot, by zbadać przyczynę. Gerrard ustawił ostrość lornetki i dostrzegł na powierzchni pół tony mięsa - łożysko usunięte z ciała matki w kilka sekund po urodzeniu małego. Ptaki były niezdecydowane - wciąż krążyły nad zdobyczą w wysokości wierzchołków fal. Jeden z albatrosów wreszcie się zdecydował, zanurkował prosto w dół, trzepocąc skrzydłami, by zmniejszyć prędkość spadania. Lecz wielki ptak nie dotknął wody, nagle zmienił zamiar i gwałtownie poderwał się w górę. Mewy uczyły to samo, krzycząc z trwogi.

Zaintrygowany, Gerrard nie spuszczał oka z pływającej masy mięsa.

Grzbietowa płetwa rekina zbliżyła się do posiłku jak miniaturowy żagiel genueński, ale i on nagle zmienił kierunek.

W tym momencie Gerrard dojrzał powód niepewności ptaków - długi, niski, groźny kształt pływający na północ z prędkością około dwóch węzłów. Nie było tu cienia wątpliwości. Dla Roberta Gerrarda ten na wpół zanurzony kształt był najbardziej zniechęcający na świecie: jeden z nich odebrał mu Cathy. Opuścił lornetkę. Gołym okiem nie można było nic dostrzec. Oceniał, że znajduje się w odległości około sześciu mil, i sprawdził jego pozycję względem słońca, które wisiało nad horyzontem jak krwistoczerwony, napęczniały, przejrzały owoc. "Tulsar" znajdował się między nim a słońcem. Była szansa, mała, ale jednak szansa. Dał nura 'na pomost sternika i odepchnął Brody'ego od steru.

- Co u diabła się dzieje? - zaprotestował nowojorczyk. Jako były pięściarz zawodowy wagi średniej, a teraz sternik "Tulsara", Brody nie przywykł do takiego traktowania.

- Wybacz, Sam - powiedział Gerrard, obracając chromowanym kołem sterowym i spoglądając na wskaźnik, który przesuwiał się po skali.

- Myślałem, że wieloryby będziemy ścigać dopiero jutro rano.

- Nie ścigamy wielorybów.

W głosie Gerrarda brzmiała napięta, złowieszcza nuta, co sprawiło, że Brody nie zadawał dalszych pytań. Sternik zobaczył, jak Gerrard naciska przycisk telefonu do maszynowni. "Tulsar" był najnowocześniejszym statkiem-przetwórną wielorybów na świecie - nie miał rur głosowych.

- Tu mostek - rzucił szorstko. - Słuchajcie, chłopaki, jak podam całą naprzód na obie, to macie mi dać całą naprzód, a nie jakieś tam narzekania na temat waszych pieprzonych turbin, albo was przegonię po maszynowni. Zrozumiano?

Wysłuchał krótkiej odpowiedzi i odłożył słuchawkę.

- Co mogę zrobić, szefie? - zapytał Brody.

Gerrard znalazł w górnej kieszeni swej wyświechtanej bluzy pogniecione cygare hawańskie i zapalił. Gryzący dym ze zwietrzałego cygara powoli uspokajał jego myśli i nerwy. Dzika nienawiść, która zaległa się w jego sercu, ustąpiła miejsca przebiegłej zręczności doświadczonego myśliwego.

- Słuchaj, Sam - wymamrotał, dopiero teraz odpowiadając na pytanie

Brody'ego. - Steruj, jak ci powiem, i na mój znak podaj całą naprzód. - To mówiąc, oddał Brody'emu ster i wyszedł ze sterówki. Oparłszy się o barierkę, na powrót uniósł lornetkę do oczu. Obiekt poruszał się wciąż na północ z tą samą prędkością, lecz był znacznie bliżej. Gerrard oglądał go niedbałe, a twarz jego najmniejszym drgnieniem nie zdradzała nienawistnych uczuć, jakie żywił do rzeczy, którą miał przed sobą -

rzeczy, która rok wcześniej zabiła mu Cathy, pierwszego dnia wojny przeciw Hitlerowi. Ameryka nie była w stanie wojny z Niemcami, ale to niczego nie zmieniało.

- Daj trochę w lewo, Sam - krzyknął przez otwarte drzwi. Spokój jego własnego głosu zdumiał go.

Brody obrócił koło sterowe swymi krótkimi, grubymi palcami, poprawnie odgadując polecenie Gerrarda jako "dziesięć stopni na lewą burtę".

- Dobra, Sam. Tak trzymaj. - Gerrard nie spuszczał oka ze swej ofiary.

Poczuł obecność Pieta tuż obok, zanim jeszcze usłyszał skrzywienie mahoniowej barierki, na której oparł się olbrzymi Afrykaner. Piet przypominał budową drzwi sejfu bankowego: wysoki, okrągły, ciężki i niezawodny. Piętnasto centymetrowy pas ze skóry słonia, opasujący jego potężny brzuch, pasował doskonale do sflaczałego kapelusza, jakie nosili kiedyś osadnicy holenderscy w Afryce Południowej. Nie trzeba było wiele wyobraźni, by ujrzeć Pieta van Kleefa powożącemu zaprzęgiem wołów przez masyw Gór Smoczyc, jak jego burscy przodkowie, którzy parli na północ od Przylądka, uciekając przed panowaniem brytyjskim.

- Więc co ścigamy, kapitanie? - zapytał Piet.

Gerrard podał mu lornetkę i wskazał kierunek. Olbrzym rozglądał się przez chwilę, zanim zlokalizował obiekt. Potężny kciuk manipulował przez chwilę karbowaną gałką do ustawiania ostrości. Zesztywniał.

- Jezu Chryste - wysapał. - Łódź podwodna.

- Niemiecka łódź podwodna - wyszeptał Gerrard. Odebrał Afrykanerowi lornetkę, nie zwracając uwagi na jego zaniepokojony wyraz twarzy.

- Zamierzasz to, co myślę, że zamierzasz? - upewnił się Piet.

- Tak.

- Jesteś szalony.

- Tak, jestem.

- Jezu Chryste - wymamrotał Piet, kładąc swoją wielką łapę na żyłastej dłoni Gerrarda. - Posłuchaj, człowieku, skąd u diabła wiesz, że niemiecka? Tutaj? Na Oceanie Indyjskim?

Gerrard wyswobodził rękę z przyjacielskiego uścisku Pieta. Uśmiechnął się krzywo. - Pomost z działem przeciwlotniczym za wieżyczką obserwacyjną, Piet. Tylko Niemcy budują takie łodzie. - Odwrócił się ku sterówce. - Oczko w lewo, Sam!

"Tulsar" skręcił o jeden stopień na lewą burtę.

- Co to da, kapitanie? - oponował Piet. - Nic to nie zmieni, nie przywróci jej życia.

Gerrard tkwił przyklejony do lornetki. Piet zauważył, że palce, którymi ją ścisnął, były blade.

- Jak dotkniesz tej łodzi, powiesz cię tak wysoko, że będziemy musieli patrzeć przez lornetkę, żeby cię rozpoznać.

Gerrard dalej nie zwracał uwagi na Pieta. Ten, zdesperowany, zawołał: - Będziesz miał straszne kłopoty ze swoim rządem, a oni z Niemcami. To śmierdzący interes.

Amerikanin opuścił lornetkę. Jego szare oczy lśniły złowieszczo, gdy patrzył na morze, lecz głos pozbawiony był emocji.

- Dziękuję, Piet. Ci szubrawcy z Waszyngtonu są dziesięć tysięcy mil stąd, a ta łódź mniej niż cztery. Zatopię drania. - Nagle odwrócił się. - Sam! Cała naprzód na obie! Teraz!

Telegraf w maszynowni rozdzwonił się. Dwie leniwe fale dziobowe zaczęły

wspinać się po kadłubie, w miarę jak dwie zestrojone turbiny Parsonsa pompowały dziesięć tysięcy koni mechanicznych w dwie śruby statku wielorybniczego. Szmer podniecenia przebiegł wśród zbierających się wzdłuż parapetu wielorybników. Wybiegający jeden po drugim chłopcy malajscy krzyczeli, pokazując sobie cel; gibkie, nagie ciała wspinały się na hydroplan, by lepiej widzieć. Pokład zaczął drżeć pod stopami Gerrarda, gdy "Tulsar" osiągnął swoją maksymalną prędkość dwudziestu sześciu węzłów. Chłopak, który zauważył wieloryby, tańczył na platformie obserwatora i krzychał: - Tam! Tam! - zapamiętałe pokazując kierunek wyciągniętym chudym ramieniem.

Łódź podwodna była teraz oddalona o mniej niż trzy mile, nie zdając sobie rzecz jasna sprawy z widma, sposobiącego się do ataku od strony szybko zachodzącego podzwrotnikowego słońca. Gerrard mógł już dostrzec sylwetki dwóch mężczyzn na mostku łodzi podwodnej.

- Jeżeli mają hydrofony, to nas słyszą - wyszeptał Piet.

Gerrard w milczeniu trzymał się barierki, wpatrując się w znieawidzony kształt. Nieregularne węzły niebieskich żył na jego muskularnych przedramionach wyraźnie pulsowały na tle tatuażu, który przedstawiał harpunnika z Bostonu zabijającego wieloryba. Nagłe poruszenie zapanowało na mostku łodzi podwodnej. Dwaj mężczyźni zniknęli z pola widzenia. Z tyłu łodzi dobiegł ich słaby dźwięk klaksonu, a woda z tej strony zamieniła się w pianę. Otwory powietrzne na pokładzie łodzi wypluły fontanny powietrza, znak, że jednostka rozpoczęła szybkie zanurzenie.

- Cztery na lewo! - ryknął Gerrard. Wielorybnicy i Malajczycy wydali okrzyki radości. Nie wiedzieli zupełnie, o co chodzi, z wyjątkiem tego, że dobrze się bawią. Kapitan łodzi podwodnej spróbował ustawić swój okręt dziobem do atakującego statku - desperacki krok, który, jak sądził Gerrard, miał na celu zmniejszenie powierzchni celu. Był to błąd, nie przemyślany manewr kosztował łódź utratę szybkości w ostatnim, decydującym momencie. Zanim zdano sobie sprawę z pomyłki i łódź mogła odrobić straty, "Tulsar" był już w odległości mniejszej niż dwieście metrów, a przestrzeń dzieląca dwie jednostki kurczyła się z prędkością prawie szesnastu metrów na sekundę.

- Zamknij wodoszczelne drzwi dziobowe, Sam - zawołał Gerrard do Brody'ego.

Warkocz piany ciągnął się w ślad za wieżyczką obserwacyjną, jedyną częścią łodzi wystającą teraz nad powierzchnię morza. Nawet Piet, flegmatyczny Afrykaner, krzychał, waląc w podnieceniu wielką pięścią w barierkę.

Tylko Gerrard milczał, gdy staranowana łódź podwodna zniknęła pod dziobem "Tulsara". - Cała wstecz na obu! - wykrzyknął do Brody'ego.

Siła uderzenia sprawiła, że statek wielorybniczy stracił prędkość. "Tulsar" uniósł dziób, a niszczycielski impet przeniósł go nad łodzią. Zgrzyt metalu o metal sprawił, że Pietowi zadzwoniły zęby.

- O Boże - wyszeptał do siebie - Jezu Chryste.

Straszliwy pisk giętej blachy ustąpił miejsca głuchemu zgrzytowi, kiedy statek wielorybniczy zatrzymał się i począł cofać.

- Maszyny stop - rozkazał Gerrard.

Ręka Brody'ego szukała dźwignienki telegrafu, gdy on sam patrzył na wprost przez okno sterówki. Gerrard wychylił się przez barierkę i patrzył w dół na morze, gdzie miejsce kolizji zdradzała wciąż powiększająca się plama śmierdzącej ropy. Po łodzi podwodnej nie pozostał nawet ślad. Malajscy chłopcy, zdradzający wielkie podniecenie, nagle ucichli.

Wzrok Pieta napotkał oczy Gerrarda. Amerykanin milczał przez chwilę.

Ponownie zapalił cygaro i pstryknął zapałkę poza barierkę. Piet znał Gerrarda wystarczająco dobrze, żeby poznać, kiedy udaje obojętność.

- Jak coś masz do powiedzenia, powiedz to teraz - rzekł Gerrard. -

I zapomnij o tym. Dobra?

Lecz Piet nie wiedział, co powiedzieć.

Jack Colby, Kanadyjczyk, kościsty i niefrasobliwy radiotelegrafista "Tulsara", pojawił się na mostku i podszedł do Gerrarda. W ręku trzymał kawałek papieru, któremu uważnie się przyglądał, nim podał go kapitanowi.

- Udało mu się przesłać jakąś wiadomość - powiedziała. - Chyba zaszyfrowaną, bo nic nie mogłem zrozumieć, z wyjątkiem jednego słowa.

Gerrard spojrział na pogmatwaną płataninę liter na skrawku papieru, który podał mu Colby. Jedno słowo aż biło w oczy swą zrozumiałością - TULSAR.

Piet zjrzał Gerrardowi przez ramię i zaklął.

Colby wyszczerzył zęby w uśmiechu. Kanada była w stanie wojny z Niemcami, nie miał więc nic przeciwko zatapaniu niemieckich łodzi podwodnych. - Zdaje mi się, że będziemy mieli kłopoty, kapitanie.

Gerrard z uwagą przyglądał się tańczącym na wodzie tęczowym połykom z rozlanej plamy oleju. Przytaknął. - Pewnie, też mi się tak zdaje, Jack. I to spore.

Dwie mile na północ mały wieloryb przypiął swoje bezzębne dziąsła do gumowatego sutka i żłakomie połykał swój pierwszy posiłek - dwieście litrów pożywczego, ciepłego mleka matki.

2

Josephine nie zwracała uwagi na niecierpliwie błyskające światło łącznicy telefonicznej hotelu "Benjamin D'Urban, z niedowierzaniem czytając telegram po raz drugi. Depesza od jej matki z Nowego Jorku wyglądała jak list, bez zwykłej w takich razach oszczędności słów:

DROGA JO NIE WIEM JAK ZACZAĆ ŻEBYŚ SIĘ NIE ZMARTWIŁA ALE
TATUŚ W ZESZŁYM TYGODNIU DOSTAŁ ATAKU STOP CHYBA POWINNAM
BYŁA CI NAPISAĆ O PIERWSZYM ATAKU W OSTATNIM LIŚCIE ALE MI
ZABRONIŁ A WIESZ JAK SIĘ ZŁOŚCI KIEDY RZECZY NIE IDĄ PO JEGO MYŚLI
STOP TYM RAZEM CZUJE SIĘ NAPRAWDĘ ŹLE STOP JEDNĄ STRONĘ CIAŁA
MA ZUPEŁNIE NIEWŁADNĄ STOP WCZORAJ WIECZÓR PYTAŁ O CIEBIE STOP
WIEM ŻE MU PRZYKRO Z POWODU TEGO CO SIĘ STAŁO ALE ON SAM NIC NIE
POWIE STOP JEŻELI MOGŁABYŚ NAPISAĆ MU PARĘ SŁÓW I PRZYSŁAĆ MI
LIST ŻEBYM MU GO PRZECZYTAŁA NA PEWNO BYŁBY ZADOWOLONY STOP
TWOJA KOCHAJĄCA MATKA.

- Będzie odpowiedź, proszę pani?

Josephine uniosła wzrok. Hinduski chłopak, który przyniósł depeszę, spocony w ciasnym i niewygodnym mundurze służbowym, spoglądał na nią czarnymi, pełnymi napięcia oczyma - czując, że za ten właśnie telegram nie dostanie - zwyczajowego sześciopensowego napiwku.

- Będzie odpowiedź, proszę pani? - powtórzył. Josephine potrząsnęła głową.

Chłopak doszedł już do położy bogato zdobionego korytarza hotelowego w stylu rokoko, gdy zdecydowała, co ma robić: - Tak! Poczekaj!

Chłopak wrócił do recepcji. Josephine wzięła ołówek i blok papieru listowego.

Bez wahania napisała:

POZDRÓW TATĘ SERDECZNIE I POWIEDZ MU ŻE WRACAM DO DOMU
PIERSZYM STATKIEM STOP ZARAZ WYSYŁAM LIST POZDRAWIAM JO

Zdarła kartkę z bloku i podała chłopcu.

- Pójdzie dzisiaj?

- Tak, proszę pani.

Josephine otworzyła hotelową skarbonkę z drobnymi, zdając sobie w tym momencie sprawę, że napiwek powinien pochodzić z jej własnej kieszeni. Kiedy chodziło o pieniądze, była zawsze skrupulatna. Patrzyła, jak chłopak wychodzi przez obrotowe drzwi, i naraz skonstatowała z niezadowolaniem, że mimo postanowienia nadal daje się ponieść swej impulsywnej naturze: impuls sprawił, że trzy lata wcześniej uciekła z domu rodziców, lądując w Południowej Afryce, a teraz taki sam impuls miał zabrać ją z powrotem do domu. Nawet złe wieści o chorobie ojca nie były w stanie przyćmić nagłego uniesienia, które odczuła na myśl o powrocie. Podniosła słuchawkę, by odpowiedzieć migającemu światłu.

3

O dziewiątej trzydzieści czarny, prowadzony przez szofera cadillac zajechał przed okazały budynek Ministerstwa Spraw Zagranicznych przy ulicy Wilhelmstrasse w Berlinie, od strony Bramy Brandenburskiej. Dziesięć minut później Douglas Napier, zastępca attache wojskowego ambasady Stanów Zjednoczonych, wprowadzony został do ozdobnego gabinetu Joachima von Ribbentropa. Minister spraw zagranicznych Rzeszy stał za swym niedorzecznie wielkim biurkiem. Twarz ściągnięta mu się złością, gdy ujrzał, kim jest jego gość, i szorstko przerwał grzecznościowe formułki powitania.

- Chciałem się widzieć z charge d'affaires. Gdzie on jest?

- Charge d'affaires żałuje, lecz jest niedysponowany, sir - odparł Napier, odmawiając aroganckiemu byłemu sprzedawcy szampana tytułu "jego ekscelencji". Stosunki między Ameryką a Niemcami zdecydowanie się ochłodziły od czasu antysemitckiego pogromu w "Kryształową Noc" w listopadzie 1938 roku, gdy w całych Niemczech awanturnicy z SA zniszczyli i splądrowali żydowskie sklepy i przedsiębiorstwa, mordując ich właścicieli. Oburzenie Ameryki z powodu okrucieństwa tej nocy było tak wielkie, że rząd odwołał swego ambasadora w Berlinie, a niemieckiemu w Waszyngtonie wręczył jego paszport. Wzajemne stosunki pogorszyły się jeszcze bardziej po storpedowaniu liniowca "Athenia", co spowodowało śmierć prawie trzydziestu obywateli Stanów Zjednoczonych. Von Ribbentrop jeszcze kilka sekund groźnie spoglądał na Napiera, zanim podniósł z biurka kartkę papieru. - Jeszcze nie otrzymałem odpowiedzi na moją notę dotyczącą umyślnego zatopienia jednej z naszych łodzi podwodnych przez "Tulsara" na Oceanie Indyjskim. Dlaczego?

Napier nie ugiął się pod spojrzeniem Ribbentropa. - O ile się orientuję, nasz charge d'affaires wyjaśnił, że odpowiedź nadejdzie, jak tylko mój rząd znajdzie się w posiadaniu faktów, sir.

- Mieliście już na to czterdzieści osiem godzin - zauważył chłodno Ribbentrop.

- "Tulsar" jest jeszcze na morzu, sir. Mój rząd nie może odpowiedzieć na pańską notę, zanim nie porozumie się z kapitanem statku.

Słuchając wyważonej odpowiedzi Napiera, Ribbentrop pobladł. Uderzył pięścią w masywne dębowe biurko. - Dostaliście kopię ostatniej depechy z łodzi podwodnej! - krzyknął. - Staranowanie jej przez "Tulsara" było nie spowodowanym, rozmyślnym aktem piractwa. Jeżeli rząd Stanów Zjednoczonych uważa, że nie potrafi zająć się kapitanem "Tulsara", jak powiedział Führer, to może będzie musiał zrewidować swój stosunek do amerykańskich okrętów wojennych,

które eskortują statki handlowe wroga przewożące ładunki wojskowe o znaczeniu strategicznym! Do widzenia panu!

Napier nie odszedł mimo formalnego zakończenia wizyty, wcześniej bowiem otrzymał instrukcję, by pod żadnym pozorem nie wychodził "z ogonem schowanym pod siebie".

- Panie ministrze - rzekł układnie - sekretarz stanu wyjaśnił, że każdy kraj może skorzystać z oferty sprzedaży broni za gotówkę przez Stany Zjednoczone oraz że każdy statek handlowy zawijający do portów w Ameryce ma prawo do ochrony ze strony naszych okrętów wojennych na wodach terytorialnych Stanów Zjednoczonych.

- Bzdury! - wrzasnął Ribbentrop. - To jest tani chwyt Roosevelta, by pomóc Anglii i jej sojusznikom! Dobrze wie, że Niemcy nie mają statków handlowych, więc nie mogą skorzystać z jego oferty. A nawet jeśli, to co? Czy marynarka Stanów Zjednoczonych broniłaby naszych statków przeciwko marynarce kanadyjskiej? Czy amerykańskie okręty wojenne walczyłyby z kanadyjskimi? Wydaje mi się, że nie. - Wątpię, czy Anglia i sojusznicy uważają ofertę amerykańską za tani chwyt - zauważył dyskretnie Napier, zdziwiony, jak łatwo było skierować dyskusję z zadufanym ministrem spraw zagranicznych Rzeszy na boczne tory. - Płacą dobrą cenę w dolarach i złościę za całą broń dostarczaną przez Stany Zjednoczone. Ribbentrop parsknął. - Ameryka, lekceważąc w zupełności zasadę neutralności, niepotrzebnie przedłuża beznadziejną wojnę i pomnaża cierpienia! Jak Führer może dążyć do pokoju, gdy Ameryka podsyca płomienie wojny? Niszczyciele! Czołgi! Działa! Bomby! Amunicja! - Wydawało się, że Ribbentrop stracił panowanie nad sobą. Nagle usiadł i nacisnął przycisk interkomu. - Rzecz jasna Roosevelt, tak jak kapitan "Tulsara", żywi niewiele szacunku dla ludzkiego życia. Pański rząd ma jeszcze czterdzieści osiem godzin na udzielenie odpowiedzi na moją notę.

Do widzenia.

Napier lekko się pochylił. - Nie będzie odpowiedzi, dopóki nie usłyszymy wersji zdarzenia przedstawionej nam przez kapitana, panie ministrze.

Napier wyszedł z budynku Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy o dziesiątej rano. Siadając z tyłu swego samochodu zauważył z satysfakcją, że przynajmniej nie wyszedł z ogonem schowanym pod siebie.

4

Gerrard i Piet patrzyli na zbliżającą się łódź ze zrozumiałym niepokojem; "Tulsar" znajdował się pięćdziesiąt mil od Durbanu, a wypłynięcie łodzi pilotującej jakiegokolwiek portu tak daleko w morze na spotkanie statku płynącego do portu było czymś niesłychanym.

- Piet - rzekł Gerrard wolno, patrząc przez lornetkę na szybko poruszającą się łódź - widziałeś kiedyś brytyjskiego pilota pod banderą amerykańską?

- Nie.

- Ja też nie.

- Kłopoty, kapitanie?

- Chyba tak. Coś mi mówi, że facet siedzący tam w środku wcale nie ma zamiaru żyć, nam wesołych świąt.

Facetem tym okazał się Ian Boulton - pełniący obowiązki konsula amerykańskiego w Durbanie - człowiek surowy, z niewielkim poczuciem humoru, nienawidzący morza, a jeszcze bardziej tych żeglarzy spośród jego rodaków, których wyczyny zmuszały go do zapuszczania się na nie. Niezdarnie wdrapał się po drabince sznurowej na pokład "Tulsara" i jął się rozglądać podejrzliwie, marszcząc

nos, gdyż zewsząd dochodził przenikliwy zapach wielorybiego mięsa. Jego nastrój i lekki garnitur nie świadczyły bynajmniej o dobrej podróży. Piorunującym wzrokiem przeszył Pieta i Gerrarda, po czym poprosił, by zaprowadzono go do kapitana Gerrarda.

- To ja - rzucił.

Spojrzenie Boulta omiotło postrzępione drelichowe spodnie i wysmarowaną bluzę Gerrarda.

- Czy możemy porozmawiać gdzieś na osobności, kapitanie?

- Zauważyłem, co się stało z dziobem pańskiego statku, kapitanie Gerrard - rzekł Boulton, gdy zostali sami - czyli można przyznać, że to, co mówią Niemcy o kolizji pana z ich łodzią podwodną, jest prawdą?

- Tak.

Gerrard wpoł leżał rozparty na krześle w swej dziennej kabinie, z nogami na biurku i rękami wsuniętymi w kieszenie.

- Czy ktoś ocalał?

- Nie.

Boulton próbował nie okazywać swej irytacji niefrasobliwą postawą marynarza. Wyjął notatnik i ołówki. - Jak zdarzył się ten wypadek, kapitanie Gerrard?

- Nie było wypadku.

Boulton był wyraźnie zaskoczony - Ale pan powiedział...

- To nie był wypadek - rzekł Gerrard. - Staranowałem ją umyślnie.

Notes Boulta o mało nie wypadł mu z rąk. Spojrzał oszupiałym wzrokiem na Gerrarda. - Że co?

Gerrard powtórzył. Spochmurniały konsul próbował się opanować.

- Po co, na miłość boską?

- Nie przepadam za niemieckimi łodziami podwodnymi. Boulton zamknął notes.

Nie było sensu robić notatek z tego spotkania. Pochylił się do przodu na swym krześle i zmierzył Gerrarda wzrokiem pełnym nie ukrywanej wrogości. - Mogło to umknąć pana uwagi, kapitanie, ale tak się składa, że nie jesteśmy w stanie wojny z Niemcami.

Gerrard uśmiechnął się zniechęcony. - To nie moja wina, panie Boulton. Staram się, jak mogę. Boulton wcale nie był rozbawiony.

- Czy pan wie, że Łódź zdążyła nadać sygnał radiowy, podając, że została zaatakowana rozmyślnie przez ten właśnie statek?

Gerrard wzruszył ramionami. W kieszeni bluzy namacał szczątki cygara hawańskiego i zapalił.

- Czy wie pan także, że rząd nasz wydał oświadczenie, stwierdzające, że to historyczna propaganda niemiecka?

Gerrard znużonym ruchem zaciągnął się cygarem.

- Czy musi pan zawiązać do Durbanu? - zapytał Boulton.

- Niech mnie diabli, z dziobem w tym stanie nie mogę płynąć gdzie indziej - zauważył Gerrard.

- Miasto aż roi się od dziennikarzy, którzy chcą zrobić z panem wywiad.

- Więc?

- Więc powie im pan, że był to wypadek.

- Będzie to niezgodne z prawdą, panie Boulton.

- Do diabła z tym - tu chodzi o dyplomację, nie o prawdę! - wybuchnął

Boulton. - Zrobi pan odprawę załodze - goniliście wieloryby i nie zauważyliście łodzi podwodnej, bo była prawie zanurzona! Jeżeli się pan na to nie zgodzi, kapitanie

Gerrard, znajdzie się pan, jak to wy mówicie w swym ordynarnym narzeczu, w dupie wieloryba. W najlepszym razie straci pan tylko swoją licencję, w najgorszym rząd niemiecki będzie włóczył pana po wszystkich sądach morskich stanu Massachusetts i wystawi panu rachunek na okrągłą sumę kilku milionów marek za utratę pieprzonej łodzi podwodnej.

Gerrard patrzył prosto na Boulta przez mgłę dymu z cygara. Dyplomata aż trząsał się ze złości i na pewno nie żartował. Nie trzeba było wiele wyobraźni, by domyślić się, jaką burzę sygnał z łodzi podwodnej wywołał w gołębnikach Berlina i Waszyngtonu.

- W porządku - odparł Gerrard po przerwie, jakby dla zachowanie twarzy.

Boult odetchnął. - W jaki sposób zamierza pan pokryć koszty naprawy statku?

Pytanie zaskoczyło Gerrarda. - Jest ubezpieczony.

- Jak cholera - mruknął Boult. - Korporacja Wielorybnicza z Nowego Bedfordu jest w kłopotach, kapitanie, i to w poważnych. Wszystko wskazuje na to, że nie udało im się wskrziesić zainteresowania polowaniem na wieloryby w celach handlowych. Zresztą nic w tym dziwnego, skoro dowódca ich największego statku wielorybniczego szarżuje na lewo i prawo zatapiając łodzie podwodne. Informacje, które posiadał Boult, były dość ogólnikowe, mógł jednak stwierdzić, że KWNB była w stanie likwidacji. Potwierdziły się podejrzenia Gerrarda co do tajemniczych odpowiedzi właścicieli na jego sprawozdania z postępów w połowach.

- Głowa do góry, kapitanie - rzekł Boult pięć minut później, gdy wreszcie odzyskał równowagę na drabince sznurowej. - Mają piękny, nowoczesny statek, nie będą długo szukać kupca. Inna sprawa, czy zechcą, by pan pracował dla nich.

Gerrard patrzył, jak łódź pilota oddala się od "Tulsara".

Wrzucił niedopałek cygara do wody i jednym płynącym z głębi serca słowem wyraził swe uczucia. Lecz nie żałował zatopienia łodzi podwodnej. I tak już miało zostać.

5

Simon Gooding spoglądał z okna swego biura na spowite mgłą wzgórze oddzielające Port Natal od Oceanu Indyjskiego, po czym odwrócił się do Josephine.

- Trudna sprawa, panno Britten - bardzo trudna. - Otarł czoło wzorzystą chustką. Przez trzydzieści lat w Durbanie nie zdążył przyzwyczać się 30 wyczerpującej siły wilgotności.

- Wszystkie statki muszą być konwojowane z Kapsztadu, a czas wyjścia z portu jest utrzymywany w tajemnicy. Mógłbym pani łatwo sprzedać bilet i wysłać do Kapsztadu, ale tam pani mogłaby czekać ze trzy miesiące na statek płynący do Ameryki, a nawet wtedy nikt pani nie zagwarantuje, że panią wezmą. Spedytor rozluźnił węzeł krawatu. Mimo wolno pracujących ramion wiatraka wiszącego na środku sufitu w biurze panowało duszące gorąco. Zastanawiał się, jak ta Amerykanka potrafiła zachować spokój w taki upał. Siedziała na skrajku krzesła i przyglądała się Goodingowi z na poły rozbawionym wyrazem twarzy.

- Mój kraj nie jest w stanie wojny z Niemcami - zauważyła dyskretnie, wiedząc dobrze, że sarkastyczny ton jej głosu wprawia spedytora w zakłopotanie.

- Dwa statki pod banderą amerykańską zostały już zatopione na szlaku kapsztadzkim, panno Britten. - Gooding bawił się paszportem Josephine, by uniknąć niepokojącego spojrzenia jej migdałowych oczu, lecz takie same patrzyły na niego ze zdjęcia. Nagłym ruchem zamknął paszport i popchnął na drugą stronę biurka. Syrena holownika zawyła u wejścia do portu, a lekki podmuch wieczornej

bryzy wypełnił biuro ciężkim, gęstym zapachem nadbrzeża przeładowującego cukier. Zamknął okno, czynność ta dała mu chwilę czasu na zastanowienie, co ma powiedzieć. - Rozpytam się wśród znajomych w Kapsztadzie, panno Britten, ale nie mogę nic obiecać. - Nagle zauważył, że jego gość nie słucha, wyglądając nad jego ramieniem przez okno. Oczy jej znów spoczęły na nim. Uśmiechała się z przekąsem. - Amerykański statek właśnie wpływa do portu, panie Gooding. Spedytor odwrócił się błyskawicznie. Dwa holowniki ciągnęły wielorybiczny statek-przetwórnę. Nie było wątpliwości co do narodowości przybysza - olbrzymia flaga Stanów Zjednoczonych namalowana była na środku kadłuba, podstawą sięgając linii wodnej. Dolna część dzioba stanowiła masę poszarpanych, pozwijanych blach.

- Widać prowadził męczyzna - oschle skomentowała Josephine.

- To jest "Tulsar" - pospieszenie rzekł Gooding. Josephine uśmiechnęła się. - Jeżeli jest to statek amerykański, czy nie będę miała racji sądząc, że kiedyś wreszcie popłynię do Ameryki?

Gooding znów otarł czoło. - Panno Britten, statki wielorybiczne nigdy nie zabierają pasażerów.

Josephine wstała i włożyła swe białe rękawiczki. - Czy jest pan przedstawicielem właścicieli statku w Durbanie, panie Gooding?

- Tak, ale...

- To cudownie - Josephine wrzuciła paszport do torebki i zatrzasnęła ją - może pan zacząć załatwiać.

- Pani nie rozumie, panno Britten. "Tulsar" miał wypadek, musi zostać naprawiony i...

- Proszę co jakiś czas kontaktować się ze mną w hotelu i informować mnie o postępie prac - Josephine zatrzymała się w drzwiach i posłała niefortunному spedytorowi rozbrajający uśmiech. - Nie będę wtedy musiała niepokoić pana telefonami w dzień i w nocy. Wesołych Świąt, panie Gooding.

Zapach perfum, który pozostawiła po sobie w biurze, był wyraźniejszy, niż zwykle tam obecny zapach cukru. Gooding otworzył okno i patrzył, jak Josephine zdecydowanie toruje sobie drogę w tłumie Hindusek zgromadzonych przy kramach. Westchnął w zadumie i pomyślał, że Josephine Britten jest nadzwyczajną młodą kobietą.

6

Ze wszystkich organizacji wywiadowczych działających w Berlinie pod koniec 1940 roku Instytut Analizy Rynku, zajmujący wszystkie sześć pięter wielkiego szarobrazowego budynku przy Fassenstrasse, budził najmniej uprzedzeń.

W odróżnieniu od nowoczesnej centrali RSHA VIF Grupy Technicznej przy Delbruckstrasse, wejścia nie strzegło tam dwóch wyprężonych na baczność uzbrojonych strażników, a także, co ciekawe, nie było tam wszechobecnej krwistoczerwonej flagi partii nazistowskiej, ożywiającej posępną monotonię ponurej, granatowej fasady. IAR był organizacją anonimową, która wynagradzała sobie brak zewnętrzного przepychu cichą, śmiertelną skutecznością.

Rozpoczął działalność dziesięć lat wcześniej jako grupa badawcza w obrębie Biura Statystyk Rzeszy, sporządzając raporty gospodarcze i wojskowe, a także przewidywania i prognozy oparte na informacjach wybranych ze wszelkich dostępnych źródeł na świecie: gazet, prasowych opisów technicznych i wydawnictw specjalistycznych. Pod kierownictwem profesora Ernsta Stricka, wykładowcy ekonomii na Uniwersytecie w Kilonii, stale rósł w siłę i wpływy, mając do dyspozycji

zespół dwustu badaczy, tłumaczy i osób zajmujących się porównywaniem danych, bibliotekę, która powiększając się z dnia na dzień liczyła już ponad czternaście tysięcy tomów, i roczny budżet osiągający blisko milion marek. Nawet jeżeli współzawodniczące jednostki wywiadowcze nie znosiły jej, darzyły ją szacunkiem; co jakiś czas IAR demonstrowało swoją zdolność do formułowania dokładnych, rzetelnych prognoz i sprawozdań. Przykładowo, w lutym złożył w centrali raport wyszczególniający przewidywane liczby ilości ludzi, uzbrojenia i czasu potrzebne do dokonania najazdu na Belgię i Holandię. Prognoza ta okazała się bardzo dokładna.

Gdy zatem dr Strick został wprowadzony do gabinetu Waltera Funka, zniewieściałego ministra gospodarki, był pewien, że jego najnowszy raport zostanie potraktowany poważnie.

- Dr Strick - rzekł serdecznie Funk, potrząsając dłoń gościa i wskazując mu krzesło. - Co za wizyta. Może coś do picia? Mam doskonały koniak.

Strick usiadł i otworzył swą walizeczkę. - Nie, dziękuję, Herr Minister. - Była jedenasta rano, upodobanie ministra gospodarki do mocnych trunków dorównywało jego namiętności do mężczyzn, najlepiej młodych. - Czy moja sekretarka powiedziała, dlaczego chciałem się z panem zobaczyć?

Funk nalał sobie potężny łyk brandy wyjętej ze szkaradnego barku. - Sprawa nie cierpiąca zwłoki, doktorze? Czy to aby nie przesada?

Strick położył swoje dziesięciostronicowe sprawozdanie przed Funkiem i rzekł spokojnie: - Ten dokument jest wynikiem tysiąca godzin pracy mojej i mojego zespołu do spraw zagranicznego wywiadu gospodarczego. Przetestowałem osobiście wszystkie prognozy i stwierdzam, że są przekonywujące. Jeżeli zadziałamy teraz szybko, złamiemy opór aliantów do połowy lutego i Anglicy będą zmuszeni poprosić o rozejm najpóźniej do końca tego miesiąca. Wojna z Anglią i jej imperium nie zabierze nam więcej niż osiem tygodni.

Przez kilka sekund jedynym dźwiękiem w gabinecie było powolne miarowe tykanie zegara ściennego z brązu. Strick wsparł się oburącz na biurku Funka i nachylił konfidencjonalnie:

- Jak już panu zapewne wiadomo, Herr Minister, o tej wojnie zadecydują zestawienia bilansowe, nie pole walki.

Ludzie z agencji Funka nic takiego mu nie donieśli, lecz nie miał zamiaru zdradzać się z tym przed Strickiem. Uśmiechnął się lekko i powiedział: - Sądzę, że chodzi panu o domniemany odpływ brytyjskich rezerw złota i dolarów w związku z zaferowaną przez Roosevelta gotówkową sprzedażą sprzętu?

- Nie jest to bynajmniej domniemany odpływ - odrzekł uprzejmie Strick.

Musiał mieć się na baczności, Funk był jedną z najpotężniejszych osób w Niemczech i chełpił się swoją zatrudniającą mnóstwo osób sekcją wywiadu gospodarczego.

- Jeżeli Brytyjczycy dostaną od Amerykanów pięćdziesiąt niszczycieli w zamian za zezwolenie marynarce Stanów Zjednoczonych na użytkowanie baz na Morzu Karaibskim, których i tak nie potrzebują, to nie należy tego nazywać odpływem rezerw złota i dolarów - zareplikował sarkastycznie Funk.

- Był to odosobniony przypadek, który ze strony Roosevelta już się nie powtórzy - powiedział Strick. - Z moich źródeł informacja wynika, że alianci muszą zapłacić gotówką lub złotem, zanim zabiorą choćby jeden nabój. Mam dokładne dane amerykańskiego skarbu. Jeden z urzędników wyjawiał, że brytyjcy pełnomocnicy wyprzedają w dużych ilościach ziemię w Nowym Jorku i na środkowym zachodzie, należąca bezpośrednio do korony brytyjskiej. Znana jest wszystkim sprzedaż lokat

Courtauld w Ameryce.

Funk spojrział na zegarek. - Nie chciałbym pana popędzać, doktorze, ale mam umówione spotkanie za dziesięć minut. Jeżeli mógłby pan przejść do rzeczy...

- Chodzi o to - przerwał Strick - że Wielka Brytania wyczerpie swoje rezerwy złota i dolarów do końca tego miesiąca, z wyjątkiem zapasów w Afryce Południowej. Z 4 miliardów 500 milionów dolarów, które miała na początku wojny, zostało mniej niż 600 milionów, z czego większość przeznaczoną jest dla Kanady za towary właśnie teraz przewożone przez granicę amerykańską do Montrealu. Funk przewracał strony raportu, aż doszedł do kolumn liczb, które ją uważnie studiować. Parę sekund później nacisnął przycisk intercomu i polecił, by mu przyniesiono dane dotyczące poziomu rezerw brytyjskiego złota.

- Ciekawe, jak nasze dane mają się do waszych - powiedział Funk, uśmiechając się lodowato do swego gościa.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do gabinetu wszedł sekretarz i położył przed Funkiem pojedynczą kartkę zapisaną pismem maszynowym. Spojrzął na nią i uśmiechnął się. - Wydaje mi się, że zachodzi tutaj dość znaczna rozbieżność, doktorze - powiedział, gdy sekretarz wyszedł. - Wy mówicie, że Anglia posiada 600 milionów dolarów, a my, że coś około miliarda.

Strick zmarszczył brwi. - Czy mogę, Herr Minister?

Funk pchnął ku niemu kartkę i ze znudzoną miną wpatrywał się w sufit, przygotowując w myślach argumenty za obcięciem budżetu Stricka w przyszłym roku. - Ach, tak - rzekł Strick z nie ukrywaną ulgą. - Znalazłem pomyłkę.

Przyjęliście, że francuskie złoto w sztabach, które wpadło w ręce amerykańskie, kiedy lotniskowiec "Bearn", podległy rządowi Vichy, uciekł na Martynikę, zostało zapisane w skarbie amerykańskim jako własność Brytyjczyków. Naprawdę było inaczej. Ustaliliśmy, że Amerykanie zamierzają je potraktować jako powierzone im przez Francuzów.

Wzrok Funka porzucił sufit, by zmierzyć delikatnie zbudowanego doktora. - Więc według was jakie są rzeczywiste dane?

- Anglia będzie zupełnie bez grosza do połowy kwietnia. Projekt ustawy Roosevelta o pożyczce dzierżawnej nie wejdzie w życie przed połową czerwca - i to tylko wtedy, gdy izolacjonistyczne lobby pułkownika Linberga nie zablokuje go w Kongresie, co wydaje się prawdopodobne.

Funk doskonale zdawał sobie sprawę, o co chodziło doktorowi. Wiedział, że Anglia prowadziła wojnę z dnia na dzień. Krwi i stali miała w bród, lecz na nic się to zdało bez złota, którym mogłaby opłacić import ropy, żywności i amunicji. Przy założeniu, że projekt ustawy o pożyczce dzierżawnej zostanie przyjęty przez Kongres, umożliwiając prezydentowi przekazywanie Brytyjczykom wszelkiego uzbrojenia bez zapłaty, pozostaną jeszcze dwa miesiące, kiedy Wielka Brytania będzie bez grosza. Pogłoski, rozsiane w tych krajach, które wciąż handlowały z Brytyjczykami, wystarczą, by wyczerpały się kredyty. Zostawi to Führerowi miesiąc na zmuszenie Anglii, by poprosiła o rozejm. Był jednak jeden problem.

- Wspominał pan o rezerwach złota w Afryce Południowej - przypomniał.

Strick przytaknął z naciskiem. - Przyjmując piętnastoprocentowy wzrost produkcji złota w rafinerii Germiston w Johannesburgu od czasu publikacji ostatnich danych w 1939 roku, oceniamy zapasy złota w Afryce Południowej na około 200 milionów dolarów. - Przerwał na moment. - Cztery dolary na każdego mężczyznę, kobietę i dziecko - to wszystko, co zostało z bogactwa Wielkiej Brytanii... Herr Reichsminister - Brytyjczycy już są pokonani, tak jak teraz my tu siedzimy

i rozmawiamy. Potwierdzają to dane. Ale żeby Churchill przyznał, że są pokonani, musimy za wszelką cenę uniemożliwić wywóz resztek brytyjskiego złota z Afryki Południowej.

7

Gooding celnie uderzył packą na muchy w blat biurka w swej południowoafrykańskiej agencji spedycyjnej i zeszkobał resztki owada do kosza na śmieci. Zajęcie to dało mu czas do namysłu. Z poprzednich wizyt "Tulsara" doskonale pamiętał, że Gerrard wymagał ostrożnego traktowania. Żyłasty, uparty Amerykanin miał porywczy temperament i wybuchał bez ostrzeżenia, gdy rzeczy nie szły po jego myśli.

- I co? - zapytał Gerrard.

Gooding przerzucał kartki z kosztorysem naprawy dziobu "Tulsara".

- Te liczby nie są wyssane z palca, kapitanie.

- Do diabła z nimi.

- Trzeba wliczyć wynajęcie pływającego dźwigu, który uniosłby dziób statku na okres naprawy - zwrócił uwagę Gooding. - Niech pan spojrzysz na nitowanie i spawanie - trzeba zrekonstruować cały dziób od stępki do linii wodnej.

- Sześć tysięcy dolarów - wymamrotał Gerrard. - O Boże. - Zamyślił się na chwilę. - Dowiedział się pan, ile potrzebuję, żeby doprowadzić "Tulsara" do domu?

Gooding miał przed sobą potrzebne informacje. - Potrzebuję pan czterech i pół tysiąca dolarów na płaćce dla zmniejszonej załogi, paliwo, prowiant, słodką wodę i opłaty portowe.

Na chwilę zapadła cisza, zakłócona tylko szumem wentylatora. Gooding otarł twarz chusteczką.

- Opłaty portowe! - prychnął Gerrard. - Chryste, ja tu zatapiam niemiecką łódź podwodną, a te niewdzięczne bękarty walą opłaty portowe.

- Porozmawiam z kapitanem portu - obiecał Gooding. - Może uda nam się uzyskać zezwolenie.

- Posłuchaj, Gooding, wyślij jeszcze depezę do właścicieli i powiedz im wprost: jak chcą "Tulsara" z powrotem w New Bedford, muszą przesłać pieniądze.

Spedytor pokręcił głową. - Nie mają co posyłać, kapitanie. Wierzyście sposobną się położyć łapy na "Tulsarze", żaden nie chce dać pieniędzy.

Gerrard przygładził palcami niesforną czuprynę. - Boże, co za pieprzony bałagan.

- Można by spróbować pogadać z konsulem amerykańskim - podsunął Gooding. - Jakaś pożyczka z funduszu awaryjnego.

- Nigdy - prędzej wyprowadziłbym "Tulsara" na pełne morze i zatopił.

- Jesteśmy więc w martwym punkcie. Chyba że... - Gooding uśmiechnął się i nie dokończył zdania.

Gerrard spojrział na niego ostro. - Chyba że co?

- Nie sądzę, by był pan tym zainteresowany.

- Jeżeli ma pan pomysł, to na miłość boską niech pan mówi.

Na taką właśnie kapitulację czekał Gooding, lecz trzeba było zacząć dyplomatycznie. - Płynąc do domu ze zmniejszoną załogą będzie pan miał około dwudziestu wolnych kajut po pracownikach przetwórnici.

- Coś koło tego - ton głosu Gerrarda był pełen podejrzliwości.

- W Afryce Południowej jest wielu obywateli amerykańskich, którzy chcą wrócić do domu. Linie pasażerskie prawie że nie działają, a rząd USA nie zabierze

ich twierdząc, że są bezpieczniejsi tutaj niż na pełnym morzu.

Gerrard wytrzeszczył oczy na spedytora. - "Tulsar"? Do przewożenia pasażerów? Boże, to przecież wielorybiczny statek-przetwórnia!

- Jest nowoczesny - ciągnął z pośpiechem Gooding. - Można by go było łatwo wyczyścić - dodać szyku. Statek amerykański wiozący obywateli amerykańskich - Ministerstwo Handlu nie sprzeciwi się, jeżeli szalupy ratunkowe są bez zarzutu, a są. Jest jeszcze coś - im dłużej "Tulsar" będzie tu sterczał, tym większe prawdopodobieństwo, że władzom strzeli coś do głowy i zarekwirują statek. Gerrard otworzył i zamknął usta. - No cóż... To chyba jest pomysł - niechętnie przyznał po chwili namysłu. - Ilu pasażerów moglibyśmy przewieźć i za jaką cenę?

Gooding zrobił notatkę w swym zeszytce. - Skontaktuję się z Hutchinsem w Kapsztadzie. Ma na liście ze dwudziestu Amerykanów czekających na przejazd do domu plus jedna osoba tutaj, w Durbanie. Przyjmując, że będzie dwóch kucharzy, trzech stewardów i płatnik, rzekłbym, że tysiąc dolarów na głowę to nie wygórowana opłata za przejazd do Nowego Jorku.

Gerrard spojrzął na Goodinga i z niechęcią pokręcił głową. - Boże święty - wymamrotał. - Pasażerowie!

8

- Pan mnie wzywał, panie H?

Dyrektor hotelu Benjamin D'Urban uniósł się zza biurka i wskazał krzesło. - Proszę wejść, panno Britten. Proszę usiąść.

Josephine usadowiła się na skraju krzesła i posłała Thorne'owi lodowate spojrzenie. Domyślała się powodu wezwania.

- Przykro nam, że nie było pani na noworocznym przyjęciu dla gości, panno Britten.

- Byłam bardzo zmęczona. Od tygodnia pracuję na dwie zmiany.

Thorne przytaknął ze zrozumieniem. - Oczywiście. Tak naprawdę nie dlatego panią wezwałem. Przeglądałem dziś rano książkę rozmów telefonicznych i zauważyłem, że ostatnio przeprowadziła pani dość dużo prywatnych rozmów zamiejscowych... - Nie dokończył zdania, bo Josephine skoczyła na równe nogi, oczy jej jarzyły się nieokiełznanym gniewem.

- Wpisałam każdą z nich na karcie, panie Thorne. Może pan sam sprawdzić, nie oszukiwałam pana i niech pan nie próbuje mówić, że tak.

Thorne wyciągnął pojednawczo rękę. - Panno Britten, jest pani ostatnią osobą, którą śmiałybym posądzić o oszukiwanie hotelu. Nie o to chodzi.

Josephine nie usiadła, patrząc w dół na dyrektora z otwartą wrogością. - Więc o co?

Thorne uśmiechnął się z zakłopotaniem i otworzył rejestr.

- Rozmowy z East London, Kapsztadem, Port Elizabeth. Myślałem, że szuka pani innej pracy, zanim odkryłem, że numery, na które pani dzwoniła, należą do agentów przewozowych i spedytorów. - Zamknął rejestr. - I proszę nie mówić, że nie mój interes. Dlaczego chce pani wracać do domu? Obawiam się, że niedługo stracę najlepszą recepcjonistkę, jaka kiedykolwiek pracowała w tym hotelu.

- Pracuję tu wystarczająco długo, żeby pan zrozumiał, że jestem odporna na komplementy - odparła Josephine zimno.

Thorne przytaknął. - Wiem to aż za dobrze. Stwierdziłem tylko fakt - będzie nam przykro panią stracić. Jeżeli chodzi o pieniądze...

- Nie, nie o pieniądze.

- Też tak myślałem. - Thorne zawahał się i powiedział zachęcająco: - Jest takie stare, głupie powiedzenie, musiała je pani słyszeć: od zwierzeń lżej się robi na sercu. Josephine spojrzała w oczy Thorne'a. Dyrektor hotelu wydawał się szczerze zaniepokojony. Ale z drugiej strony znała mężczyzn, którzy udawali, że martwią się o nią. Jedno trzeba mu przyznać, nigdy nie starał się jej poderwać. Usiadła i patrzyła uważnie na niego, by ocenić efekt swych słów.

- Dwa tygodnie temu dostałam depeszę od matki, że ojciec zachorował. W zeszłym tygodniu napisała mi, że lekarze dają mu nie więcej niż pół roku życia. Najpóźniej do połowy czerwca. - Nagle przerwała i z nagłym zainteresowaniem zaczęła bawić się paskiem od torebki. - Próbowałam dowiedzieć się coś o statkach do domu, ale nic nie znalazłam. Tych parę, co odpływa, ma miejsca wykupione aż do sierpnia. Wszędzie próbowałam - nawet w Lorenzo Marques. Nie ma nic... nic... Thorne nagle zdał sobie sprawę, że jeszcze chwila, a Josephine wybuchnie płaczem. Był zakłopotany - każda próba dodania otuchy przez kontakt fizyczny, jak objęcie jej ramieniem, zostałaby z pewnością gwałtownie odrzucona. Amerykanka wybawiła go z kłopotliwej sytuacji ruszając szybko do drzwi i otwierając je.

- Ma pan rację, panie Thorne - powiedziała nie patrząc na niego. - Jest to głupie powiedzenie. Nawet bardzo.

9

Kurt Milland wiedział, że zdarzy się katastrofa, gdy zobaczył, jak mała ćwiczebna łódź podwodna podchodzi do nadbrzeża na silnikach Diesla, zamiast na elektrycznych. Ostrzeżenie przyszło za późno, rozległ się okropny chrzęst, gdy dziób łodzi worał się w olbrzymi stos drewna mający chronić kamienne nadbrzeże portu w Wilhelmshaven od takich właśnie ataków. Siła uderzenia wyrwała belki z okuć i brutalnie wtłoczyła je pomiędzy wybrzuszony kadłub łodzi i nieustępliwy granit nadbrzeża. Nity wbiły się głęboko w nasiąknięte wodą belki zewnętrznej warstwy, obnażając blade drewno wiązu.

Dwaj ludzie stojący na osłonie przedniego pomostu łodzi, szykujący się do rzucenia cumy Millandowi, odskoczyli w tył z przerażenia, machając rozpaczliwie rękami do ludzi na mostku. Grupka dzieci w ubraniach chroniących dobrze przed przenikliwie zimnym wiatrem znad Morza Północnego wydała chórem okrzyk pochwalny, który ucichł pod wrażeniem miazdzącego spojrzenia Millanda, gdy groźnie postąpił ku nim.

Łódź zatrzymała się, a poobijany dziób z lekka trącał kamienne schody. Milland złapał rzuconą mu linę i zarzuciwszy pętlę na jeden z przysadzistych pachółków do cumowania, sztywno poszedł wzdłuż nadbrzeża i zatrzymał się na wysokości wieżyczki obserwacyjnej.

Młody oficer na mostku, błąd z przerażenia, wytrzeszczył oczy na Millanda, patrząc w ślad za jego wzrokiem na nieszczęsny dziób.

- Znakomicie, Herr Fischer. Znakomicie. Gdybym był statkiem nieprzyjacielskim, zapewne tonąłbym teraz, nieprawdaż?

Leutnant zur See Hans Fischer, przytaknął zgnębiony.

- Ale ja nie jestem wrogiem, prawda?

- Tak, Herr Kapitanleutnant.

- Jestem swój, prawda?

- Tak, Herr Kapitanleutnant.

- Dalszy ciąg dyskusji na temat, kim jestem i kim myślę, że pan jest, odbędziemy w moim gabinecie o godzinie piętnastej zero zero. - Milland spojrzał na zegarek. - Za trzy godziny. Oprócz tego porozmawiamy ogólnie o naszych

szansach na zwycięstwo w tej wojnie, jeżeli pan weźmie w niej udział.

Milland odwrócił się, przenosząc ciężar ciała na zdrową nogę, a używając jej jako osi, przemiescił protezę prawej nogi i odszedł z nadbrzeża dziwnym, kołyszącym się krokiem, który sprawiał wrażenie, że jest lekko pijany. Wspiął się za kierownicę swej podstarzałej dekawki i spojrzął na załogę łodzi ćwiczebnej mocującą łódź zgodnie z rozkazami Fischera.

Na siedzeniu obok niego leżał numer dziennika "Volkischer Beobachter" sprzed dwóch tygodni. Ściągnął rękawiczki i ponownie przeczytał główny artykuł, dla którego tak długo zachował gazetę. Rozpoczął się nagłówkiem:

ZDRADZIECKA NAPAŚĆ: AMERYKAŃSKI STATEK TARANUJE NIEMIECKĄ ŁÓDŻ PODWODNĄ

Milland odsunął gazetę na bok i spojrzął przez przednią szybę na szare, niespokojne Morze Północne. Myślami był przy tych czterdziestu, którzy przepadli dziesięć tysięcy kilometrów od swego domu. Bez wątpienia czas przyniesie dalszy ciąg tej historii. Należało przestać się wahać i iść prosto do Dowódcy Flotylli.

Konradmirał Hugo Staus, dowódca Drugiej Flotylli Ćwiczebnej Łodzi Podwodnych w Wilhelmshaven, pochodził z Prus i był chudym, o nieco odpychającej powierzchowności, prawie sześćdziesięcioletnim mężczyzną. Podczas pierwszej wojny światowej został wyróżniony za dowodzenie łodzią podwodną. Siedział właśnie przy biurku, podpisując raporty o uszkodzeniach, gdy usłyszał znajome skrzypienie sztucznej nogi Millanda w korytarzu przed swym gabinetem. Rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Staus zawołał do Millanda, by wszedł, i odłożył swoje złote wieczne pióro, gdyż za szczyt nietaktu uważał kontynuowanie pisania w chwili, gdy gość wchodził do jego gabinetu. Zauważył, że Milland niesie gazetę partyjną.

- Dzień dobry, Kurt - rzekł Staus - słyszałem, że miałeś właśnie nieszczęśliwy wypadek z jedną z moich drogiej dwójek?

- Nic poważnego, admirale - odparł Milland, nie po raz pierwszy zdumiony niezawodnie działającym wywiadem Stausa - stary zrzęda wszędzie miał swych szpiegów. - Jeden z moich podopiecznych zapomniał, że nie ma biegu wstecznego w dieslach łodzi podwodnej. Uszkodzenia nie są zbyt duże. Myślę, że nagana słowna wystarczy, chyba że zdecyduje pan inaczej.

Staus przytaknął. Stojący przed nim krępy oficer był jednym z jego najlepszych instruktorów i wcale nie miał zamiaru wtrącać się w jego sprawy. Admirał Staus nie zaproponował także Millandowi krzesła, gdyż wiedział, że spotka go taktowna odmowa. Milland był odważny i uparty. Mimo że miał protezę jednej nogi, nie pozwalał, by inni czynili dla niego ustępstwa. Wiedział, że nigdy nie będzie dowodził swoją łodzią, więc całą swoją energię skierował na szkolenie młodych dowódców. Kurt Milland żył łodziami podwodnymi i niczym więcej. Nie interesowały go także kobiety, choć Staus, ze strzępów plotek krążących po kwaterze głównej ze swobodą przeciągów, wiedział, że mimo kalectwa Milland był atrakcyjny przynajmniej dla kilku sekretarek.

- Co więc cię do mnie sprowadza, Kurt?

Milland rozłożył gazetę i podał ją Stausowi. - Chodzi o ten artykuł sprzed dwóch tygodni, admirale, kiedy amerykański statek staranował i zatopił U-497 na Oceanie Indyjskim.

- Ach tak. Ten haniebny wypadek. Jak sobie przypominam, Amerykanie twierdzą, że to przypadek.

- Nie sądzę, by był to przypadek, admirale.

Staus uniósł swe arystokratyczne brwi. - Czyżby?

- Znam kapitana statku, który zatopił naszą łódź, i wiem, dlaczego to zrobił.

Rysy Stausa stały się twarde. Spojrzał na gazetę.

- Więc znasz tego ... Roberta Gerrarda?

- Tak jest, admirale.

Staus zastanowił się przez chwilę i skinieniem głowy wskazał krzesło. -

Powinieneś usiąść, Kurt.

Milland z wdzięcznością opuścił się na krzesło i odblokował staw kolanowy w protezie, by usiąść z ugiętą nogą. Staus czekał cierpliwie, aż Milland uporządkuje myśli.

- Byłem pierwszym oficerem Gerrarda na "Tulsarze" - statku, który zatopił naszą łódź, zamustrowałem się u niego na Spitzbergenie, po zejściu z norweskiego statku "Kraken", w 1933. - Oczywiście Millanda rozjaśniły się w wspomnienie tych czasów. - Był nowy, zupełnie nowy, admirale. Najnowocześniejszy statek-przetwórnia, jaki pływa po morzach, zresztą nadal tak jest. Turbiny Parsonsa, własne szybkie łodzie pościgowe, samolot do obserwacji - wszystko. Zupełnie niezależny, nowa era w wielorybnictwie.

- Do kogo należy? - skwapliwie zapytał Staus, gdy Milland przerwał szukając właściwych słów.

- Korporacja Wielorybnicza z New Bedford. Konsorcjum z Detroit chciało zapewnić sobie dostawy oleju do automatycznych przekładni samochodowych, w które mieli wiele zainwestować. Sfinansowali "Tulsara", bo amerykański przemysł wielorybniczy praktycznie leżał, a nie chcieli polegać na dostawach z Japonii.

- Powiodło im się?

Głos Millanda stał się nagle szorstki. - Gerrard jest człowiekiem, który sprawił, że tak. - Zamilkł. Staus zauważył, że dłoń Millanda opadła na prawą nogę, podświadomie dotykając miejsca, w którym prawdopodobnie, jak Staus domyślał się, kończyła się jej zdrowa część.

- Opowiedz mi o nim - podsunął.

- Nic oprócz polowania nie miało dla niego znaczenia. Dwadzieścia, trzydzieści, czasami nawet czterdzieści sztuk dziennie, jak się udało. Doprowadzał ludzi do szaleństwa, byle tylko napełnić zbiorniki "Tulsara". Jeżeli oprawiacz nie uważał i zaciągał się przy ćwiartowaniu zwierzęcia, jego strata. Rany od noża oprawiającego zawsze kończą się zakażeniem, ale my nigdy nie zwracaliśmy do portu.

- Mielście chyba lekarza?

Milland uśmiechnął się smutno. - Takie były wymagania. Lecz Gerard powiedział, że tacy nic nie robią, tylko siedzą i okradają innych z premii. On sam był lekarzem na "Tulsarze". Nikt się nigdy nie skarżył, bo premie były trzy razy większe niż na innych statkach.

Palce Millanda były teraz białe od miejsca, w którym wczepiły się w udo.

Wydawało się, że zmusza się do mówienia, wspomnienia nie były już miłe.

- Pływałem z nim przez cztery lata - ciągnął Milland - wróciłem do Niemiec w 1936 i wstąpiłem do marynarki.

Staus przypomniał sobie kartę badań Millanda. Lekarze wojskowi uznali go za "w stu procentach zdolnego i w stu procentach niezdolnego do służby". Jego przyjęcie do marynarki było wynikiem uporczywej walki, jaką toczył z komisją kadrową, zanim ta, mimo że była pod wrażeniem jego odwagi i hartu ducha, ostatecznie się zgodziła.

- Prawie nigdy nie pisał - powiedział Milland. - Raz w 1938. Po ślubie

z dziewczyną z New Bedford. Przysłał mi zdjęcia ślubne. Następny przyszedł w dniu, kiedy Anglia wypowiedziała nam wojnę. Nadany w Liverpoolu. Pisał, że Cathy spodziewa się dziecka i że wysyła ją do domu przez Montreal na "Athenii".

W pokoju zapanowała zupełna cisza.

- Cathy Gerrard była wśród tych dwudziestu ośmiu Amerykanów, którzy ponieśli śmierć, gdy U-30 zatopiła "Athenię" - dodał Milland. - Dlatego myślę, że umyślnie staranował tę łódź na Oceanie Indyjskim.

Staus pozostał głęboko zamyślony przez kilka minut po wyjściu Millanda z gabinetu, po czym wezwał sekretarkę i podyktował jej pełne sprawozdanie do OKM - naczelnego dowództwa marynarki w Berlinie.

Uważał, że ta relacja spowoduje krótkotrwałe poruszenie w dowództwie Kriegsmarine, po czym odejdzie w niepamięć. Tym razem jego zwykle niezawodne wyczucie miało zawieść.

10

Gooding wyplątał się z obrotowych drzwi hotelu i przeciął mozaikową podłogę, idąc w kierunku recepcji, gdzie Josephine wystawiała rachunek starszemu małżeństwu z Ladysmith. Z uśmiechem pożegnała ich, kiwając na bagażowego, by pomógł im wynieść walizy, zanim odwróciła się ku Goodingowi i obdarzyła go zmodyfikowaną wersją swego uśmiechu, zastrzeżonego zwykle dla gości hotelowych.

- Dzień dobry, panie Gooding.

- Klimatyzacja - wyrzekł z zazdrością spedytor. - Cóż to znaczy mieć klimatyzację!

- Zawsze przysparza nam kłopotów w lutym, w pełni sezonu wakacyjnego.

Czy naprawdę przyszedł pan tutaj, by podziwiać naszą klimatyzację, czy też chciałby pan zarezerwować pokój?

- Ani jedno, ani drugie - powiedział Gooding, zastanawiając się, czy Josephine wykorzystywała swój dar wprawiania innych w zakłopotanie na gościach.

- Pamięta pani ten amerykański statek, który wszedł do portu, gdy była pani u mnie w biurze?

W oczach Josephine zapaliły się ogniki zainteresowania. - "Tulsar"? Tak, pamiętam.

- Popłynię do Nowego Jorku, jak tylko uda się naprawić mu dziób, i zabierze do dwudziestu pasażerów.

Josephine spojrzała na Goodinga bez wyrazu. - To bardzo dobra wiadomość, panie Gooding.

- Sądziłem, że panią to zaciekawi.

- Miał pan rację. Ile zajmie naprawa dzioba?

- Nie jesteśmy pewni. Zarząd Portu nalega, by najpierw naprawiać statki alianckie.

- Zależy mi bardzo, by być w domu najpóźniej do końca maja, najchętniej jednak wcześniej, jeżeli to możliwe.

Gooding zaśmiał się cicho. - Jestem przekonany, że "Tulsar" będzie w Nowym Jorku znacznie wcześniej.

Nieprecyzyjność tego określenia zdenerwowała Josephine. Obrażała poczucie precyzji i efektywności, które czyniło ją tak wartościową recepcjonistką w hotelu.

- Czy mógłby pan być bardziej dokładny?

- Dokładnie mogę tylko podać cenę przewozu.

- Która wynosi?

- Trzysta dziesięć funtów.

Spokój i powściągliwość opuściły Josephine. Spojrzała na Goodinga najpierw z przerażeniem, a później ze złością. - Ależ to szaleństwo - ponad tysiąc dolarów!

- Jest wojna, panno Britten - gładko odparł Gooding. - Warunki się zmieniły.

Ropa, żywność, płace - wszystko poszło w górę.

- Nie o tyle. Przez dwa lata mojej pracy tutaj dostałam podwyżki w łącznej wysokości jednego funta piętnastu tygodniowo.

- Panno Britten, po raz pierwszy daliśmy ogłoszenie wczoraj, a do dziesiątej dziś rano sprzedaliśmy dziewiętnaście z dwudziestu miejsc. Mamy tylko jedną wolną kabinę, więc trzysta funtów nie jest taką wysoką ceną. Przyszedłem odebrać samochód i pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, czy nadal chce pani wracać do domu.

- Gooding odsunął się od blatu recepcji. - Przepraszam, że zająłem pani czas.

- Chcę wracać - powiedziała Josephine ostro, rozgniewana, że musi poddać się tak szybko.

Gooding wyjął notes i zrobił krótką notatkę. - Dziękuję, panno Britten. Będzie pani musiała zapłacić w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Pełną kwotę?

- Pełną kwotę - potwierdził Gooding.

- Ja nie mam trzystu funtów na koncie - szybko rzekła Josephine. - Czy nie płaci się najpierw zadatku?

- W czasie pokoju tak - odparł, zaglądając do notesu. Pieniądze, jakie zebrał do tej pory, wystarczały na zakup blachy potrzebnej do naprawy "Tulsara", lecz nie dość, by rozpocząć prace. - Zatrzymam kajutę na pani nazwisko do końca przyszłego tygodnia. Jeżeli nie da pani rady zapłacić, obawiam się, że będę musiał ją sprzedać. Zatrzasnął notes i wyszedł z hotelu, nie oglądając się na Josephine.

11

Lądowisko w Zatoce Stołowej, oznaczone dwoma rzędami pomarańczowych boi, było wolne od pływających odpadków. Łódź inspekcyjna, przysłana z portu, usunęła się z pasa i wystrzeliła zieloną raketę sygnalizacyjną w bezchmurne niebieskie niebo.

Gdy potężny czterosiłnikowy wodnopłatowiec typu Empire przechylił się przy skręcie i zaczął wytracać wysokość, Ralph Holden na chwilę ujrzał zapierającą dech w piersiach swym majestatem Górę Stołową, wyrastającą jak czarny bastion z południowego Atlantyku, przygniatając swym ogromem Górę Sygnałową w kształcie leżącego lwa. Nad szczytem góry rozpościerała się śnieżnobiała chmura, przelewając się jak lukier przez olbrzymią skarpe, na kształt potężnej lawiny zagrażającej Kapsztadowi, która nigdy nie osiągała celu, bo ulegała rozpuszczeniu przez niżej leżące warstwy ciepłego powietrza broniące miasto.

- Góra przykryta dziś obrusem - zauważył inteligentny głos obok Holdena.

Był to admirał w starszym wieku, który wyglądał przez okienko Holdena. - Dziwne, tak w parę dni znaleźć się nagle w środku lata. Nigdy nie mogłem się do tego przyzwyczaić.

Holden posłał żeglarzowi swój zwykły czarujący uśmiech, lecz nie odezwał się.

Dobrze wiedział, że jego obecność na pokładzie wodnopłatuca była przedmiotem nie kończących się spekulacji wśród pozostałych piętnastu pasażerów przez trzy dni lotu z Falmouth w Kornwalii. Ich próby wciągnięcia jasnowłosego młodego człowieka do rozmowy, w nadziei dowiedzenia się czegoś o nim, skazane były na niepowodzenie dzięki jego zdolności do rozbijającego unikania odpowiedzi i stawiania własnych pytań, tak zręcznie sformułowanych, że w sumie dowiedział się

więcej od nich, niż oni od niego. Po pierwszym dniu lotu nauczyli się, że lepiej zostawić go w spokoju. Większość czasu spędzał siedząc na swoim miejscu i tuląc skórzaną aktówką z wytłoczonym herbem, która przykuta była kajdankami do jego dłoni.

Woda stała się rozmazaną plamą pod kadłubem, gdy wodnopławowiec wytracił wysokość. Później nastąpiło silne uderzenie, a w ślad za nim ogłuszający ryk dobywający się spod nóg pasażerów. Po sześciu postojach na zatankowanie od chwili opuszczenia Falmouth zdążyli się przyzwyczaić do budzącego przerażenia lądowania wodnopławowca i niewiele zadało sobie trud spojrzenia na widowiskowe rozbryzgi mgiełki wodnej wzniesiane przed kadłub. Nawet upiorne uczucie tonięcia, gdy łódź zaprzestała ślizgu i wbiła pływaki skrzydłowe w wodę, nie budziło już niepokoju.

- Miękkie lądowanie - skomentował admirał, łypiąc okiem na stalowy łańcuch łączący nadgarstek Holdena z aktówką i zastanawiając się, czy przypadkiem Holden nie jest jednym z kurierów Jego Wysokości.

- Bardzo miękkie, sir - zgodził się Holden.

Admirał chrząknął. Przynajmniej dobrze wychowany, a to już coś w dzisiejszych czasach.

Holden wyrzwał przez swoje okienko. Wodnopławowiec manewrował na spotkanie portowej łodzi patrolowej, która miała go zaholować w zacisze wewnętrznego basenu portowego.

- Pan Holden?

Wysoki, dostojnie wyglądający mężczyzna pod sześćdziesiątkę podszedł do Holdena w chwili, gdy ten wyszedł z sali przylotów i stał mrużąc oczy w jasnym świetle słońca. Bagażowy, dotknięty odmową Holdena, który nie podał mu swej aktówki, wydawał się znać wyższego z mężczyzn, gdyż w odpowiedzi na jego skiniecie włożył walizkę Holdena do bagażnika czekającego opodal rovera. Holden rozpoznał w nim kolorowego bagażowego, który zagadnął go w sali przylotów, a jak się okazało, był kierowcą samochodu. Holden nie lubił, gdy inni przejmowali inicjatywę, w potrząśnięciu ręki nie było serdeczności.

- Plum - rzekł wyższy, nie zwracając uwagi na chłodne powitanie. - Sir Max Plum. Spodziewam się, że wasi ludzie dali panu moje zdjęcie przed wyjazdem. Przygotowując na najgorsze. - Roześmiał się głośno i skierował Holdena do tylnych drzwi samochodu, które bagażowy trzymał otwarte.

- Dobrze się leciało, prawda? - zapytał Plum, siadając z tyłu obok Holdena, gdy rover wyjeżdżał z doku na pobrzeże Kapsztadu, pełne magazynów i kramów z owocami morza otoczonych przez krzykliwe kobiety wszystkich możliwych narodowości.

- Bardzo miło - wymamrotał Holden.

- Nie ma sensu iść od razu do banku. Musi pan być zmęczony, więc myślałem, że pojedziemy prosto do domu. Mary upichci coś do zjedzenia - Plum spojrział figlarnie na swego gościa. - Odpowiada to panu?

- Oczywiście - pod warunkiem, że będę mógł zaraz zabrać się do pracy.

Sir Max Plum, prezes Banku Rezerw, ośmiechnął się lekko. Stały podsekretarz w Ministerstwie Skarbu w Londynie ostrzegł go przed Holdenem: - Ten facet jest niezmordowany. Na miłość boską, nie wchodzi mu w drogę.

Samochód przemknął przez dzielnicę malajską i skierował się na południowy zachód, w kierunku Tuine, przedmieścia pełnego białych bungalowów wychodzących na tarasowe ogrody pełne kwiatów srebrnika.

Stopniowo mniejsze domki ustały we wspinaczkę na niższe partie Góry Stołowej i ustąpiły pola większym, bardziej okazałym rezydencjom.

Dom Pluma zbudowany był z drewna, przestronny, z szeroką werandą zwaną stoep, wychodzącą na Zatokę Stołową. Ramiona portu w Kapsztadzie, jak szczypce wychodzące w Atlantyk, przypominały stąd szereg napiętych jedwabnych nitok ułożonych na doskonałej gładzi niebieskiej trawy.

- Ale widok, prawda? - powiedział Plum, dumnie wskazując ręką.

Żona Pluma, siwiejąca, lecz wyprostowana kobieta zeszała ze schodów, by przywitać Holdena. Była nieco zaskoczona jego eleganckim przewiewnym garniturem, goście z Anglii przybywający wielopłatem mieli bowiem zwyczaj nosić ciężkie, nieodpowiednie ubrania. Trzeba przyznać, że ten jasnowłosy młodzieniec o niepokojąco błękitnych oczach umiał przewidywać.

- Panie Holden, bardzo mi miło. Pokój pana jest gotowy, na pewno chciałby pan wziąć prysznic i się przebrać. Wiem, że ma pan z Maxem wiele do omówienia, ale chciałabym bardzo usłyszeć coś o Londynie, gdy znajdzie pan chwilę czasu.

Bombardowania muszą być przerażające. Za pół godziny będzie herbata. Pospieszyla do domu wydać dyspozycje służbie przydzielonej w zakamarkach domu.

- Ile wie pana żona? - zapytał Holden prezesa banku dwie godziny później, gdy obaj siedzieli na werandzie.

Plum odstawił szklankę whisky i spojrzął ze zdziwieniem na Holdena. - Nic, oczywiście. Jedyne trzy osoby w Afryce Południowej znają powód pańskiej wizyty: pan, ja i Villieres z Banku Rezerw w Pretorii - ten musi wiedzieć, bo autoryzuje wydanie złota.

Holden przytaknął i upił łyk soku pomarańczowego, po czym też odstawił szklankę. - Zdaje pan sobie sprawę, że złoto musi być przewiezione natychmiast?

- rzekł zwoźniczo łagodnym głosem.

- Czy jest aż tak źle?

- Jeżeli nie dostarczymy złota do Londynu do czterech miesięcy, wojna jest dla nas praktycznie skończona.

- Biuro wywiadu morskiego w Simmonstown przetrząsnęło każdy port w Afryce Południowej - rzekł Plum z rozdrażnieniem. - Wszystko, co się rusza i unosi na wodzie, posłano do Liverpoolu. W całej Afryce Południowej nie ma ani jednego statku zdolnego rozwinać dwanaście węzłów, a co dopiero dwadzieścia pięć. Po co, u diabła, ma być taki szybki?

- Nasze doświadczenia z "Queen Mary" i "Queen Elizabeth" pozwalają przypuszczać, że szybki statek bez eskorty może uniknąć przechwycenia przez łodzie podwodne i jednostki nadwodne.

- To przyslijcie jedną z nich tutaj po to cholerne złoto - wymamrotał Plum.

Holden wskazał na odległy port. - Z Kapsztadu nie może wejść ani wyjść żaden statek bez wiedzy całej Południowej Afryki. To samo dotyczy wszystkich innych portów. Wystarczy, żeby jeden z proniemieckich Burów w Ossewa-Brandwag zaskrzeczał w nadajnik, że w okolicy pokazała się "Queen Mary" albo "Queen Elizabeth", a zjawi się tu tyle łodzi podwodnych, ile Doenitz zdoła zebrać, i wszystkie zaczają się pod Kapsztadem.

- Smuts kazał internować wszystkich fanatyków z Ossewa-Brandwag - zauważył Plum.

- Szef wywiadu morskiego w Londynie myśli inaczej - powiedział Holden. -

Jest pewien, że ich agenci wspomagają jednostki nawodne, przekazując wiadomości

o ruchach statków łożdziom podwodnym, które z kolei przesyłają je do Berlina. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu amerykański statek przypadkowo staranował i zatopił jedną z nich koło Durbanu. Co ona tam robiła, jeżeli nie szpiegowała? Nie było wcześniej przypadków kolizji statków handlowych z łodziami podwodnymi.

Plum nie odzywał się. Holden był dobrze poinformowany.

- Jeśli wysłalibyśmy okręt wojenny do Kapsztadu lub Simmonstown - ciągnął Holden - Niemcy, wiedząc, że wszystkie okręty wojenne są niezbędne w konwojach na północnym Atlantyku, natychmiast zgadliby, po co, i rzuciliby wszystko, co mają, przeciwko niemu.

- Niekoniecznie, jeżeli złoto przewożono by pod osłoną konwoju kapsztadzkiego - zaoponował Plum.

Holden pokręcił przecząco głową. - Nie możemy ryzykować transportu resztek naszego złota konwojowanego przez ćwierć drogi dookoła świata. Potrzebujemy okrętu szybkiego, bez cech charakterystycznych.

- Cóż, kiedy takiego nie ma. - Plum sięgnął do kieszeni i wręczył Holdenowi plik papierów. - To jest lista wszystkich statków znajdujących się w portach Afryki Południowej. Żaden z nich się nie nadaje.

Holden z uwagą przeglądał listę, wczytując się w kolumny, które podawały nazwy, klasę, tonaż i osiągi, a także gdzie dany statek aktualnie przebywał. Doszedł do ostatniej strony.

- Nie nadają się - stwierdził krótko Plum. - Tu jest dodatek - statki należące do krajów neutralnych, które oczekują naprawy. Bystre oczy Holdena dostrzegły cyfry - dwadzieścia sześć węzłów. - Jest tu taki jeden, który bardziej niż wystarczy - wielorybiczny statek-przetwórnia - zauważył. - Cumuje w Durbanie. Plum spojrział na miejsce, gdzie wskazywał palec Holdena.

- To niemożliwe - jest własnością amerykańską i płывa pod taką samą banderą.

- Więc?

Plum wytrzeszczył oczy na swego jasnowłosego gościa, który patrzył na niego na poły rozbawionym wzrokiem, - Niech to diabli, człowieku! - zaprotestował. - Nie możemy wywieźć reszty naszego złota na amerykańcu!

- Dlaczego nie?

- Bo to niesłychane!

- Ależ to właśnie znakomity powód, by tak zrobić - wymamrotał Holden.

"Tulsar". - Zmarszczył brwi. - Nazwa wydaje mi się znajoma.

- To ten Amerykanin, który zderzył się z niemiecką łożdzią podwodną koło Durbanu - odrzekł sztywno Plum.

Holden niespiesznie wysączył sok pomarańczowy i wstał. - Potrzebny mi bilet na pierwszy lot do Durbanu, sir Max. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan poczynić nieodzowne przygotowania i zarezerwować mi tam pokój w hotelu.

- Teraz?

Holden uśmiechnął się. - Tak sądzę. Nigdy nie mogę się nadziwić, jak szybko teraźniejszość staje się przeszłością.

12

Klucz do pokoju upadł bez ostrzeżenia na blat recepcji.

Josephine szybko podniosła wzrok i uśmiechnęła się do Anglika - nie odwróciła spojrzenia od obojętnych niebieskich oczu.

- O, pan Holden. Podoba się panu pokój?

- Ujdzie - odparł Holden. - Nie będzie mnie ponad godzinę. Na łożku

zostawiłem dwie koszule. Proszę dopilnować, by zostały wyprane i wyprasowane. Josephine obiecała, że będą gotowe na drugi dzień, i patrzyła za nim, gdy szedł przez hall ku obrotowym drzwiom. Poruszał się cicho, z wdziękiem kota. Nie rzucający się w oczy stalowy łańcuch, który zauważyła godzinę przedtem, gdy zameldował się w hotelu, był nadal na swoim miejscu, łącząc dłoń z aktówką. W chwili gdy wychodził, do hotelu weszła dziewczyna. Spoglądała przez chwilę za odchodzącym, zanim podeszła do recepcji.

- Ho, ho - pokręciła głową. - Kto to jest? Josephine wstała i sięgnęła po swe białe rękawiczki. -

Nasz nowy gość - odpowiedziała chłodno.

- Wygląda jak Leslie Howard. Przyjechał z żoną?

- Jenny, spóźniłaś się trzy minuty - zauważyła cierpko Josephine. -

Mówiłam ci, że jestem umówiona w ważnej sprawie.

Stary Zulus wyglądał na takiego, co to mógł walczyć jako jeden z wojowników Cetshwayo w bitwie pod Rorke's Drift. Imponujące nakrycie głowy ze strusich piór o mały nie spadło mu z głowy, gdy podnosił uprząż swej jaskrawo pomalowanej rikszy. Uśmiechnął się szeroko do Holdena.

- Dokąd, szefie?

- Proszę do portu - odparł Holden. Usadował się wygodnie na poduszkach i przestawił słomiany daszek rikszy.

Zulus wyprowadził rikszę sprzed hotelu i bez wysiłku jął biec wzdłuż zatłoczonego nadbrzeża.

Holden obejrzał się. Jakieś sto metrów z tyłu podążała inna riksza. Pasażerką była Amerykanka z hotelu.

- Niech pan posłucha, panie Gooding - powiedziała Josephine tonem, jak jej się wydawało, łagodnej perswazji. - Na przejazd z Nowego Jorku do Kapsztadu zarabiałam jako stewardessa, a w chwili przyjazdu do Południowej Afryki pracowałam jako recepcjonistka w kilku dużych hotelach, więc nie rozumiem, w czym tkwi problem.

Simon Gooding w zamyśleniu poskrobał się w nos. - Płatnik na statku to jednak nie całkiem to samo, panno Britten.

- Nie różni się aż tak bardzo od prowadzenia hotelu - zareplikowała

Josephine. - A poza tym większość pasażerów "Tulsara" stanowią Amerykanie, prawda?

Gooding przytaknął.

- Dobrze. Podróż statkiem wielorybniczym będzie dla wielu z nich doświadczeniem osobliwym przeżyciem - może chcieliby mieć możliwość zwrócenia się do rodzaków ze swymi problemami. Niech mi pan wierzy, ale z doświadczenia w zawiadywaniu hotelem Ben D'Urban wiem, że Amerykanie wydają się mieć więcej problemów niż inni.

- Dlaczego tak pani zależy, by dostać się do domu, panno Britten?

- Jest to, przepraszam pana, panie Gooding, że się tak wyrażę, nie pański interes.

Spedytor pomyślał chwilę i powiedział przytomnie: - W porządku, zamustruję panią jako płatnika na "Tulsarze" za połowę ceny biletu.

- Nie - rzekła z naciskiem Josephine. - Tak nie byłoby sprawiedliwie. Jeżeli warto mnie zatrudnić jako płatnika, warto też zapłacić.

Gooding przyznał się do porażki. Z doświadczenia wiedział, że dobry płatnik jest niezastąpiony. - Dobrze, panno Britten. Będziemy pani płacić dziesięć dolarów

tygodniowo jako płatnikowi "Tulsara".

- Dwanaście - skontrowała Josephine. - Zajmę się też menu.

- Niech będzie dwanaście - westchnął Gooding, zastanawiając się, czy interesy nie poszłyby lepiej, gdyby przyjął Josephine jako współnika.

Holden zatrzymał się przy końcu nadbrzeża, by przyjrzeć się dokładnie "Tulsarowi". Niewiele wiedział o jednostkach pływających, lecz potrafił docenić subtelne kształty statku. Był rzeczywistnie nowoczesny i stanowił dowód silnej wiary swych właścicieli, obecnie bankrutów, w szansę ożywienia przemysłu wielorybniczego w New Bedford.

Zgodnie z danymi technicznymi, które Holden dokładnie przestudiował w czasie lotu z Kapsztadu, "Tulsar" miał sto osiemdziesiąt metrów długości, wyporność siedmiu tysięcy ton, a jego dwadzieścia siedem tysięcy koni dawało budzące szacunek dwadzieścia sześć węzłów prędkości maksymalnej. Nadbudówka z pomieszczeniami dla załogi przecięta była pochylnią do wciągania wielorybów, opadającą jak wąż aż do linii wodnej na rufie.

Z przodu pomieszczeń dla załogi znajdował się pokład do oprawiania wielorybów, na którego otwartej przestrzeni ściągano tran. Później ciała zwierząt przeciągano pod pokład hydroplanu, gdzie oddzielano mięso od szkieletu. Oba pokłady otaczały serie okrągłych pokryw na zawiasach, osłaniających pochylnie do spuszczenia tranu i kości. Z tyłu za mostkiem wisiały dwie szybkie łodzie do polowań na wieloryby. Na najwyższym pomoście każdej z łodzi widniał złowróżbny zarys działa do wystrzeliwania harpunów typu Svend Foyn, z wybuchającą głowicą.

Holden podszedł do pogiętego dziobu, patrząc na uszkodzenia. Wydawało się niemożliwe, by po takim uderzeniu statek mógł jeszcze utrzymać się na powierzchni. Domyślił się, że musi mieć wodoszczelne przegrody w części dziobowej. Z tego, co Holden dowiedział się o kapitanie Robercie Gerrardzie, nie wynikało jasno, czy zderzenie z łodzią podwodną było przypadkowe.

Nagle zdał sobie sprawę, że jego obecność na nadbrzeżu przyciągnęła uwagę kogoś na statku. Ze szczytu pomostu wejściowego przyglądał się mu podejrzliwie olbrzymi Afrykaner w kapeluszu.

Holden poszedł dalej, z jedną ręką wsuniętą niedbale do kieszeni spodni, a drugą strzegącą aktówki.

Drogę przecięła mu lokomotywa do przetaczania, ze znużonym szczękiem popychająca długi sznur wagonów z wołowiną. Przez przerwy między wagonami mignęła sylwetka recepcjonistki hotelowej. Była blisko budynków administracyjnych, lecz przepadła gdzieś, zanim pociąg zniknął mu z pola widzenia.

Holden doszedł do wniosku, że dziewczyna go śledzi, co go zaniepokoiło.

Zaniepokojony Holden był groźny.

Josephine wróciła do swego pokoju pół godziny po uwieńczonym powodzeniem wizycie u Simona Goodinga i wzięła prysznic, by się ochłodzić. W letnie popołudnia z rzadka opuszczała klimatyzowane wnętrza hotelu, lecz ta wyprawa się opłacała. Była właśnie w połowie pisania listu do ojca, gdy rozległo się pukanie do drzwi pokoju. Był to pewnie goniec, którego prosiła o coś zimnego do picia.

- Proszę.

Drzwi otwarły się, Josephine odwróciła się i natychmiast owinęła szelkierem - w wejściu stał jasnowłosy Anglik.

- Panie Holden - powiedziała, szybko przywołując urzędowy uśmiech, który zarezerwowała dla gości hotelowych. - Musiał pan pomylić korytarze, jest pan

w części dla obsługi.

Holden zamknął drzwi i oparł się o nie. Wepchnął ręce głęboko do kieszeni i uśmiechnął się leniwie.

- Nie pomyliłem korytarzy - powiedział - szedłem uważnie za wskazówkami.

Josephine była już kiedyś w podobnej sytuacji, chociaż nigdy dotąd jej pokój nie został wytropiony przez mężczyznę.

- Panie Holden, będę musiała poprosić, by wyszedł pan stąd natychmiast, w przeciwnym razie ja będę miała kłopoty, a pana wyrzucą z hotelu na zбитy pysk.

- Lepiej więc będzie, jeżeli porozmawiamy szeptem, Jo. Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym nazywał cię Jo, czy wolisz Josephine?

- W tej chwili - odparła Josephine - wolałabym żeby się pan stąd wyniósł) a może mam wyrazić się jaśniej?

Holden skrzyżował ręce na piersiach na znak, że mówi prawdę.

- Przysięgam, że sobie pójdę, jeżeli powiesz mi, w jakim kolorze wystąpisz dziś wieczorem.

- Kolor? Dziś wieczorem? O czym pan, do cholery, mówi?

- Dziś wieczór jemy kolację w Pokoju Króla Edwarda. Dano mi do zrozumienia, że jest to najlepsza restauracja w Durbanie - Holden na moment przerwał, po czym dodał: - Lubię to, co najlepsze.

Josephine spróbowała otworzyć drzwi. - Ja też, panie Holden, i to jest pierwszy powód, dla którego nie zjem dziś z panem kolacji. Drugi jest taki, że będę wtedy w pracy.

Uśmiech Holdena rozjaśnił się jeszcze. - Nie będziesz, moja śliczna.

Dziewczyna, która ma teraz dyżur, zgodziła się wziąć nadgodziny.

Josephine zmieszła się. - Joyce? A dlaczego miałaby się zgodzić?

- Jest czuła na mój uśmiech albo na moje pieniądze - powiedział Holden. -

A może na jedno i drugie? Kto wie? - Otworzył drzwi. - Wypożyczyłem na kilka dni samochód, będę gotów punktualnie o ósmej. Białe pasowałyby do pani ciemnych włosów, jak mi się wydaje.

Josephine otworzyła usta w gwałtownym proteście przeciwko wyniosłej pozycji Holdena, lecz było już za późno.

Holden uniósł kieliszek brandy pod światło i przyjrzał się trunkowi

ze znużeniem, po czym skosztował z zadowoleniem. - Brandy z nie wyjaśnionych powodów rzadko się teraz spotyka w Londynie - zauważył.

- Dlatego przyjechał pan do Afryki Południowej? - podsunęła Josephine.

- A znasz lepszy powód?

- Czym jest pan z zawodu, panie Holden?

- Ralph - poprawił Holden. - Pozwalam pani używać mojego imienia.

Natomiast mojego nazwiska nie wolno używać nikomu, nawet mojej matce. Mówiłem ci o mojej matce. Niezwykła kobieta.

Josephine uśmiechnęła się kwaśno. - Domyślam się, że nauczyła pana sztuki

wymijających odpowiedzi. Ależ proszę nie udawać zaskoczenia, panie Holden,

za każdym razem, kiedy zadawałam panu pytanie osobiste, otrzymywałam

w odpowiedzi komplement i nic więcej. Gdy jedliśmy zupę, spodobała się panu moja

suknia, moja fryzura, kiedy jedliśmy rybę, a przy daniu głównym - zapach moich

perfum. Mam szczęście, że posiłek nie składa się z dwudziestu dań, bo mogłabym

sobie pomyśleć, że jestem Jean Harlow.

Ośmioosobowy zespół zakończył strojenie instrumentów i zaczął znęcać się

nad utworem Glenna Millera z pewnością siebie, która niewiele par skusiła do wyjścia

na parkiet. Większość pozostała na swych miejscach.

- Zatańczymy - zdecydował Holden wstając.

- Uratowany przez orkiestrę - skomentowała Josephine, również się podnosząc. - Jakaż dziewczyna mogłaby się oprzeć tak uprzejmej prośbie?

- Nie lubię, gdy ktoś ciągnie mnie za język - ostrzegł Holden, prowadząc Josephine wokół parkietu.

- A ja, gdy ktoś depta mi po stopach.

- To wina orkiestry - odrzekł Holden z pogodną wyniosłością.

Orkiestra tymczasem złapała rytm, co korzystnie odbiło się na jakości jej występu. Na maleńkiej powierzchni parkietu tłoczyło się coraz więcej par. Josephine zauważyła z ulgą, że Holden nie wykorzystał walca, aby się do niej przytulić.

Ośmielona powrotem, orkiestra przystąpiła energicznie do fokstrotu.

Josephine uprzytomniła sobie, że Holden tańczy znakomicie, mało tego, ku swemu zaskoczeniu odkryła też, że dobrze się bawi.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytał Holden.

- Jeden z moich przyjaciół powiedział kiedyś, że nie istnieje coś takiego jak Anglik umiejący tańczyć.

- Dlaczego wyjechałaś z domu? - zapytał nagle Holden.

W innej sytuacji Josephine obraziłaby się na takie pytanie, lecz kolacja, luksusowe otoczenie i nie całkiem przykre towarzystwo Anglika złagodziło jej zwykle nieprzyjemną postawę. - Chciałam poznać świat - odpowiedziała. - Sądzi pan, że to staromodne?

- Nie, chyba że ty tak sądzisz. Rodzice mieli coś przeciwko temu?

Josephine roześmiała się. - Była to druga wojna o niepodległość.

- Którą wygrałaś?

- Zaocznie - chyba tak. Uciekłam.

- Żeby nigdy nie wrócić? - zapytał Holden, zręcznie prowadząc Josephine obok zataczającej się pary, która musiała wypić za dużo.

- Tak wtedy powiedziałam - odparła Josephine, starając się uniknąć wzroku Anglika. Orkiestra skończyła grać. Rozległy się chaotyczne oklaski.

Holden poprowadził Josephine do stolika i nalał jej resztę wina.

- Gdzie mieszkałaś?

- W Nowym Jorku, Greenwich Village. Moja rodzina ma tam sklep z towarami żelaznymi - Josephine spojrzała w zamyśleniu na Anglika. - Dlaczego pan się tak mną interesuje, panie Holden?

Holden roześmiał się beztrząsco. - Nieczęsto spotyka się niezależne Amerykanki tak daleko od domu. Jak sobie radziłaś?

- Pracowałam, panie Holden. Ciężko pracowałam. Zatrudniłam się w towarzystwie przewozowym eksploatującym parowce, dlatego pokłóciłam się z ojcem - nie podobało mu się, że córka pracuje jako stewardessa. Tak wtedy powiedział.

Holden patrzył na nią uważnie i spostrzegł smutek w jej oczach na wspomnienie ojca.

Josephine wzruszyła ramionami. - Tak naprawdę chyba nie mógł pogodzić się z myślą, że utracił kogoś, kto prawie za darmo pracował w jego walącym się sklepie.

- Skoncentrowała wzrok na kieliszku wina, który trzymała w ręce, zastanawiając się, dlaczego opowiada to wszystkemu obcemu człowiekowi. Wino nie było przyczyną.

Nauczyła się z nim obchodzić, a poza tym nawet nie zbliżała się do górnej granicy czterech kieliszków, którą sobie narzuciła, gdy rozpoczynał się wieczór.

- Byłam dość dobra w prowadzeniu sklepu z artykułami metalowymi, panie Holden.

- Na pewno, Josephine - rzekł cicho Holden, wyczuwając, że właśnie nadszedł czas, kiedy będzie mógł sprowadzić rozmowę na temat, który sprawił, że zaprosił Josephine na kolację tego wieczoru.

- Kiedy kupowałam towar, sklep przynosił dochód, co niekoniecznie było najlepszym rozwiązaniem, bo oznaczało więcej pieniędzy, za które tata mógł kupować alkohol. Byłam warta więcej, niż tata chciał mi zapłacić, więc w 1936, jak skończyłam dwadzieścia lat, zabrałam się i poszłam do kompanii żeglugowej, gdzie znalazłam sobie pracę za cztery razy tyle, co płacił mi tata. Rok później znalazłam się w Durbanie i poddałam urokowi szalonej angielskości tego miejsca.

- Nawet portu? - powiedział Holden niedbale.

Josephine otworzyła szeroko oczy. - Niech go diabli. Nie zbliżam się tam, chyba że mam jakąś sprawę.

- Nieprzyjemne miejsce dla kobiety - zauważył Holden, z oczyma utkwionymi w Josephine.

- Umieć sobie radzić. Nie mogę tylko znieść smrodu cukru. Byłam tam dzisiaj, jest coraz gorzej.

Niespodziewane wyznanie zaskoczyło Holdena. - Poszłaś dzisiaj do portu?

Tym razem to Josephine była zaskoczona. - Pewnie. Chcę jechać do domu.

Nie wiem, dlaczego miałoby to pana obchodzić, panie Holden, ale udało mi się załatwić przejazd z powrotem do Nowego Jorku w zamian za pracę - przerwała i spojrzała na Anglika. - Co w tym takiego śmiesznego?

Holden nalał sobie jeszcze trochę brandy. - Wybacz mi, Josephine.

Uśmiechnąłem się z ulgą. Ja też byłem dzisiaj w porcie w pewnej sprawie. Twoja riksza jechała w ślad za moją.

- Myślał pan, że pana śledzę? Ja?

- Wtedy - tak.

- Dlaczego miałabym to robić, panie Holden?

Holden uśmiechnął się rozbrajająco. - Bardzo przepraszam, Jo - pospieszyłem się z wnioskami.

- Proszę zwracać się do mnie Josephine albo panno Britten. Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Holden znów się uśmiechnął. - Jeżeli mam być szczery, myślałem, że mnie szpiegujesz z polecenia moich konkurentów w interesach. Przyszło mi więc na myśl zaprosić cię dziś wieczór w nadziei, że jakieś pół butelki wina skłoni cię do wyznań. A zamiast tego dowiedziałem się, że załatwiasz przejazd - uśmiechnął się smutno.

- Ten wieczór będzie mnie kosztował fortunę. Mam to, czego chciałem.

Josephine przez kilka sekund mierzyła wzrokiem zuchwałego Anglika, nim pozwoliła przejść lodowatemu wyrazowi swej twarzy w lekki uśmiech. - Miło spędziłam ten wieczór, panie Holden. Po raz pierwszy od dłuższego czasu umówiłam się z mężczyzną i nie musiałam przez cały wieczór odpierać jego ataków ...

- Nic straconego - rzekł Holden figlarnie.

- ...ale jest coś, o czym powinien pan wiedzieć - ciągnęła Josephine, nie zwracając uwagi na słowa Holdena. - Jedyną rzeczą, której nauczyłam się od czasu wyjazdu z domu, to nie oczekiwać względów, nie odwzajemniać ich i nie darzyć nimi.

- Właśnie, Jo - zgodził się Holden.

- A więc się rozumiemy.

Holden uniósł kieliszek. - Wypijmy za nasze pojednanie, Jo.

- Telegram dla pana, sir - powiedział goniec kładąc gazety poranne w nogach łóżka Holdena i wyciągając w jego stronę płowożółtą kopertę. Holden podparł się na łokciach i do podziękowań dołączył sześciopensówkę. Ostry ból za oczami przypominał, że południowoafrykańskie wino i brandy nie stanowiły zbyt dobrej mieszanki.

- Za pół godziny śniadanie - powiedział wesoło goniec, zanim wyszedł z pokoju.

Holden otworzył telegram i rozłożył go na narzucie. Ze swej aktówki wyjął cienką czarną książkę do szyfrowania i począł przepisywać bezsensowną gmatwaninę szyfru w dający się odczytać tekst.

KOMISJA W NOWYM JORKU PODAJE ZAMÓWIENIE ZAKUPU TULSARA ZREALIZOWANE STOP PRAWO WŁASNOŚCI NABYTE PRZEZ KOMPANIĘ HOLDINGOWĄ W USA POTWIERDZONE DLATEGO TULSAR MOŻE POZOSTAĆ POD BANDERĄ USA ZGODNIE Z INSTRUKCJAMI STOP VILLIERES OCZEKUJE TWOICH POLECEŃ CO DO PRZESYŁKI STOP ŻĄDANY KONTAKT INSPEKTOR HUGO MARGENT STOP ADRES DOMOWY GOLF LINKS HOUSE MITCHELL ROAD DURBAN STOP POWODZENIA DO ZOBACZENIA WKRÓTCE W LONDYNIE STOP LACY

HOLDEN UŁOŻYŁ SIĘ WYGODNIE NA PODUSZKACH. BYŁ ZADOWOLONY Z WIADOMOŚCI, LACY BYŁ JEDNYM Z JEGO KOLEGÓW W LONDYNIE - URZĘDNIK KOMPETENTNY, CHOĆ BEZ POLOTU, KTÓRY ZAJĄĆ SIĘ WSZYSTKIM NIE PYTAJĄC, PO CO HOLDENOWI POTRZEBNE BYŁO NAZWISKO OFICERA POLICJI W NATALU, ODPOWIEDZIALNEGO ZA TROPIENIE FANATYKÓW Z OSSEWA-BRANDWAG. NAJWAŻNIEJSZE, ŻE MIAŁ PEŁNIĘ KONTROLI NAD "TULSAREM".

NA ODWRÓCIE TELEGRAMU UŁOŻYŁ ODPOWIEDZ DO LONDYNU I ZASYFROWAŁ.

DZIĘKI ZA DOBRE WIEŚCI O TULSARZE STOP PILNIE ZAŁATW TELEGRAFICZNĄ WIADOMOŚĆ OD KOMPANII HOLDINGOWEJ Z USA DO ICH PRZEDSTAWICIELA TUTAJ ŻE DZIAŁAM W IMIENIU NOWYCH WŁAŚCICIELI STOP PRZEDSTAWICIELEM JEST SIMON GOODING STOP ADRES TELEGRAFICZNY GOODSHIP DURBAN STOP HOLDEN

Gooding mógł otrzymać wiadomość z Nowego Jorku nie prędzej niż za sześć godzin, myślał Holden, nie było więc sensu spotykać się z nim wcześniej niż następnego ranka.

Temperatura w południe przekroczyła czterdzieści pięć stopni, co przeszkodziło w rozgrywkach plażowego krykieta. Na zatłoczonej plaży ludzie prawie się nie poruszali, dochodziły jedynie ciche pokrzykiwania stojących nad brzegiem morza dzieci, które próbowały skusić sennych rodziców do zanurzenia się w ciepłą wodę. Holden otworzył drzwi wypożyczonego samochodu, żeby ochłodzić wnętrze, i rozłożył plan Durbanu na rozpalonym dachu.

- Panie Holden.

Była to Josephine. Zeszła z frontowych schodów hotelu i podeszła do samochodu. Holden złożył plan i wrzucił do środka na przednie siedzenie.

- Dzień dobry, Jo. Podniosła byś mnie na duchu, gdybyś powiedziała, że nie bywa tu nigdy bardziej gorąco.

Josephine spojrzała na bezchmurne styczniowe niebo. - Wszystko przez tę przekłętą wilgotność. Nowy Jork jest taki sam. Powinien pan być kazać chłopcom osłonić samochód matami.

- Będę pamiętał na przyszłość - obiecał Holden. Patrzył na Amerykankę, czekając, żeby coś powiedziała.

- Spędziłam miły wieczór - zaczęła niezręcznie.

- Ja też.

- Niezbyt wyraźnie przypominam sobie, że mówiłam o moich planach powrotu do domu.

Holden poszukał w kieszeni kluczyków do auta. - Tak, Jo. Chcesz się pogodzić z rodzicami.

- Zwykle nie rozmawiam z nikim o moich planach, panie Holden. Może to było wino, sama nie wiem. Chodzi o to, że statek, na którym wracam do domu, odpłynie dopiero za dwa albo trzy tygodnie, może nawet za miesiąc. Tymczasem chciałabym tu jeszcze popracować, więc byłabym wdzięczna, gdyby nie przekazywał pan dalej tego, co mu powiedziałam.

Holden zatrzaskał drzwi od strony pasażera i usiadł za kierownicą. Przygładził dłonią swe jasne włosy i uśmiechnął w górę do Josephine. - Zwykle piję tylko sok pomarańczowy, więc istnieje pewna szansa, że zapomniałem, co powiedziałas. Jutro masz wolny wieczór, więc wybierzemy się popływać i wtedy to omówimy. Dobrze? Zapalił silnik i odjechał z parkingu hotelowego, zostawiając Josephine tłumiącą gniew.

- Słyszałem o panu, panie Holden - powiedział Margent składając list i oddając go przybyszowi. Miał zbyt wiele doświadczenia jako policjant, by nie zauważyć, jak Holden lekko drgnął, zaskoczony. Uśmiechnął się i oparł podbródek na pięści, z której byłby dumny bokser zawodowy. - Proszę się nie przejmować. Nic nie wiem o tym, co pana sprowadza do Południowej Afryki - tylko to, że ma pan zezwolenie na wysyłanie i przyjmowanie szyfrogramów.

Holden uspokoił się i upił trochę soku pomarańczowego. Było późne popołudnie, lecz południowe gorąco uparcie tkwiło w coraz dłuższym cieniu drzew akacjowych w ogrodzie Margenta. Postawił szklankę na drewnianym stole i przeszedł od razu do rzeczy:

- Chcę się czegoś dowiedzieć o Ossewa-Brandwag.

Margent z roztargnieniem bębnił mocarnymi palcami po stole, zastanawiając się nad odpowiedzią. - W dosłownym tłumaczeniu oznacza to Na Straży Latarni Wozu Zaprzężonego w Woły, co dla obcych niewiele znaczy, chyba że rozumieją prawie religijny kult, jakim otaczany jest wóz zaprzężony w woły w folklorze osadników. Dla ich rodzin, voortrekkerów, ciągnących w głąb nieznanego interioru, wóz był domem, środkiem transportu, miejscem modlitwy, a w nocy, kiedy rozprzęgali woły i zakładali laager, ich twierdzą. - Margent przerwał, by nabić fajkę z korzenia wrzośca. - Pochodzenie nazwy Ossewa-Brandwag wyjaśnia się na wiele sposobów, ale wersję, którą lubię najbardziej, opowiedział mi stary Bur, kiedy byłem młody. Nocą w obozie paliła się jedna mała lampa, strzeżona przez nocną wartę, tak aby na wypadek ataku kobiety mogły szybko zapalić swoje latarnie i w tym świetle ładować strzelby męczyzn. - Margent zapalił zapałkę i przytknął ją do fajki. - Wolę ją od innych, bo pasuje do dzisiejszego pojęcia Ossewa-Brandwag - latarnia strzeżona przez nocną wartę.

- Są nazistami? - zapytał Holden.

- Przypinamy im taką etykietkę dla celów propagandowych. W rzeczywistości są grupką ekstremistów, niekoniecznie sprzyjającą Hitlerowi, ale całkowicie przeciwną sojuszowi Afryki Południowej z Wielką Brytanią. Dla nich oznacza to zdradę wszystkiego, o co oni i ich rodzice walczyli i za co ginęli podczas wojen burskich. - Margent przyjrzał się uważnie cybuchowi swej fajki. - Aresztowałem do tej pory około dwudziestu komandosów Ossewa-Brandwag - rodaków, których

rodzice, żony i dzieci zginęły w brytyjskich obozach koncentracyjnych. Czy pan wie, że to Brytyjczycy wynaleźli obozy koncentracyjne i że sześćdziesiąt tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci zginęło w nich?

Holden odpowiedział własnym pytaniem. - Jak silna jest w tej chwili Ossewa-Brandwag?

Margent uśmiechnął się. - W obozie dla internowanych numer jeden w Koffiefontein mamy około pięćdziesięciu.

- W Anglii zostaliby powieszoni - rzekł Holden kwaśno.

Margent potrząsnął głową. - Smutsowi zależało na internowaniu. Będzie musiał rządzić po wojnie i nie widzi sensu zasypywać nacjonalistów gotowymi męczennikami. Tak czy owak, tych kilku, których dotąd internowaliśmy, pozbawiło resztę przywództwa z prawdziwego zdarzenia, to naprawdę byli fanatyczni członkowie Broederbonu. Niektórzy z nich to bez wątpienia naziści.

- Zostały na wolności jakieś grube ryby?

- Nie na moim podwórku. Większość z nich jest w prowincji kapsztadzkiej.

Tam policja działa inaczej - wolą trzymać drani pod obserwacją. Jak zaczął swoje sztuczki z wysadzaniem linii wysokiego napięcia w Natalu, to się nie pozbierają.

- Kto to jest, inspektorze?

- Muszą być ich setki.

- Chodzi mi o tych ważniejszych, organizatorów. Margent spojrział na gościa z zaciekawieniem. - Dlaczego to takie ważne, panie Holden?

Holden uśmiechnął się z lekka. - Za kilka dni rozpoczynam zaciąg na statek do Anglii. Sprawą najwyższej wagi, absolutnie najwyższej, jest, żebyśmy nie przekazali rybki z Ossewa-Brandwag angielskiej piątej kolumnie.

Margent przez chwilę zaciągał się fajką. - Znam dwóch takich. Jeden z nich to prawnik z Port Elizabeth, nazwiskiem John Voster. Syn hodowcy owiec z Karoo, północno-wschodnia prowincja kapsztadzka. Studiował na uniwersytecie Stellenbosch, prawdziwej kolebce nacjonalizmu. Był sekretarzem Głównego Sędziego prowincji, a przedtem przewodniczącym studenckiego oddziału Partii Narodowej w Stellenbosch. Teraz jest w Ossewa "generałem", ale rzekłbym, że jego ambicje są bardziej polityczne niż wojskowe. Jeżeli nacjonalisci doszliby kiedykolwiek do władzy w Afryce Południowej, Balthazar Johannes Voster jest człowiekiem, który wspiąłby się na sam szczyt. Jestem pewien, że polecenie jego internowania zostanie podpisane przed końcem' 1941 roku.

- A ten drugi? - podpowiedział Holden.

- Paulus Jan Kramer. Morderca i najbardziej niebezpieczny dzisiaj człowiek na wolności w Południowej Afryce. Z urodzenia jest Niemcem. Jego rodzice byli Prusakami, którzy osiedlili się wtedy w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej, zanim mandat Ligii Narodów nie odebrał Niemcom kolonii. W 1933, po dojściu Hitlera do władzy, próbował zorganizować zbrojne powstanie wśród osadników. Dostał wyrok dziesięciu lat w Windhoeku, ale odsiedział mniej niż dwa lata i czmychnął na rok do Niemiec tuż po wypuszczeniu. Nie wiem, co tam robił, ale jak tylko na nowo pojawił się w Kapsztadzie, zaczął wydawać antysemicką gazetę, która padła po pierwszym numerze. W 1938 został oskarżony o zamordowanie Żydówki w Bantry Bay, tuż za Kapsztadem, ale niczego mu nie udowodniono. Teraz ma restaurację w Kapsztadzie i wygląd zewnętrzny godnego szacunku przedsiębiorcy. Domyślam się, że w Niemczech nauczono go przez rok, jak obchodzić się z materiałami wybuchowymi, nożem, nadajnikiem radiowym, i tak dalej.

- Czy mógłbym otrzymać adresy tych dwóch?

- John Voster jest w książce telefonicznej Port Elizabeth, a Paulus Kramer - Kapsztadu. Pan płaci, pan wybiera.

Holden opuścił inspektora Margenta godzinę później. Usiadł wygodnie w samochodzie i zastanawiał się nad dwoma nazwiskami, które podał policjant. Nie było wiarygodnych dowodów na to, że John Voster, człowiek z ambicjami politycznymi, był nazistą, lecz Paulus Kramer bez wątpienia tak.

Wybrał Kramera.

14

Robert Gerrard oparł się o poręcz mostka i w ponurym nastroju obserwował pierwsze w tym sezonie kaszaloty wciągane po pochylni nadbrzeża wielorybniczego na przeciwległym końcu portu w Durbanie.

- Powiem panu coś, panie Gooding - rzekł do spoconego agenta. - Wydaje mi się, że nowi właściciele chcą mieć sprawny statek na morzu. Jeżeli chcą mieć sprawny statek, muszą zapłacić za jego naprawę. A jeżeli ich nie stać na opłacenie naprawy, to po jaką cholerę go kupowali?

Gooding otarł czoło. Była dziewiąta, po chłodzie poranka pozostało już tylko wspomnienie. Otworzył telegram, który przyszedł z Nowego Jorku godzinę wcześniej, i przeczytał go po raz dziesiąty. - Nic nie rozumiem - wymamrotał - po prostu nic nie rozumiem.

Gerrard wziął od niego telegram. - Co to za facet, ten Holden?

- A skąd, u diabła, ja mam to wiedzieć?

- Kapitanie! - ryknął głos z pokładu oprawiania wielorybów.

Był to Piet, który gestykulując wskazywał w kierunku pomostu wejściowego. -

Jakiś facet do pana, kapitanie! Ten, co tu wczoraj węszył!

Gerrard powiedział Pietowi, by poprosił gościa na pokład.

- Nie do wiary - wydusił Gerrard patrząc, jak Holden w świeżym białym garniturze, z aktówką, stąpa ostrożnie wzdłuż pokładu, krok w krok za Pietem. - Cóż to za jeden?

- Podejrzewam, że to jest właśnie nasz pan Holden - rzekł Gooding.

Holden odprawił ruchem ręki Pieta i zręcznie wybiegł na górę po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Gerrard domyślił się, że jest Anglikiem, zanim ten przemówił.

- Dzień dobry, panowie - powiedział Holden, niedbale podając dłoń

Goodingowi i Gerrardowi. - Nazywam się Ralph Holden. Reprezentuję nowych właścicieli tego statku. Byłbym wdzięczny, gdyby zaprowadził mnie pan do swej dziennej kajuty, kapitanie, i zamówił mi trochę zimnego soku pomarańczowego. Mamy wiele do omówienia.

- Przede wszystkim - powiedział Holden, rozkładając papiery ze swej aktówki na biurku Gerrarda - ile kosztować będzie naprawa dziobu "Tulsara"?

- Około półtora tysiąca funtów - odparł Gooding.

- Ile trzeba wydać na jego zatankowanie i zaprowiantowanie, żeby był gotowy do wyjścia w morze?

- Naprawy, prowiantowanie i tankowanie powiększają kwotę do około dwóch i pół tysiąca funtów - Gooding sięgnął do kieszeni. - Mamy tutaj wszystkie dane.

- Wierzę panu na słowo, panie Gooding. Jeżeli prace rozpoczną się natychmiast, kiedy "Tulsar" będzie gotowy?

Szeroko otwarte, niebieskie oczy Holdena sprawiły, że Gooding poczuł się nieswojo. - W pięć tygodni.

Holden otworzył książeczkę czekową, napisał coś szybko, wydarł czek i wręczył

go Goodingowi. - Pięć tysięcy funtów, które może pan wybrać ze Standard Bank na miejscu, w Durbanie - rzekł szorstko. - Powinno wystarczyć na premie dla pracowników stoczni, żeby statek był gotowy za trzy tygodnie. Załatwiłem wszystko z zarządem portu.

Gooding wybałuszył oczy na czek. - Trzy tygodnie? - rzekł nieśmiało. - Nie sądzę, by było to możliwe.

- Wolno panu wykorzystać te pieniądze na rozdział bodźców finansowych według własnego uznania. Oczekuję dokładnego rozliczenia kosztów, gdy "Tulsara" będzie gotowy do drogi, i wypiszę panu osobny czek jako prowizję. Teraz poproszę o potwierdzenie.

Gooding zrozumiał, że jest odprawiony. Wepchnął czek do kieszeni i wyszedł z kajuty wycierając czoło i mrużąc, że wróci za dziesięć minut.

Gerrard położył nogi na biurku, założył ręce za głowę i popatrzył na Holdena prawie sennie. - Nie powie mi pan chyba, że interesują pana polowania na wieloryby, prawda, panie Holden?

- Jaki jest zasięg "Tulsara", kapitanie?

Nie ruszając się ani nie spuszczając wzroku z Anglika, Gerrard odpowiedział: - Jedenaście tysięcy mil przy dziesięciu węzłach, osiem tysięcy przy dwunastu węzłach, pięć tysięcy przy piętnastu węzłach.

- A przy dwudziestu sześciu węzłach? Przy prędkości maksymalnej "Tulsara"?

- Byłoby to szaleństwo, chyba że upolowalibyśmy dużo wielorybów i chcielibyśmy być pierwsi, żeby dostać najlepsze ceny.

- Jaki? - naciskał Holden.

- Może ze dwa tysiące mil, jeżeli najpierw nie rozlecą się turbiny.

- A jeżeli wykorzysta się zbiorniki na tran do zatankowania większej ilości paliwa?

- Teraz wiem, że nie interesują pana wieloryby.

- Kapitanie - głos Holdena był lodowato zimny. - Byłbym wdzięczny za odpowiedź na pytanie.

Gerrard był nieporuszony. - A ja byłbym wdzięczny, gdyby mi pan powiedział, o co tu właściwie chodzi. Dlaczego kupiliście "Tulsara"? W gruncie rzeczy nie nadaje się do niczego oprócz łowienia i przerabiania wielorybów. Holden zabębnił palcami po biurku Gerrarda, zanim odpowiedział.

- Wolno mi wyjawić to panu dlatego, że zatopił pan niemiecką łódź podwodną, a także dlatego, że powinien pan wiedzieć. Jednak konsekwencją tego jest fakt, że życie pana będzie w ciągłym niebezpieczeństwie, jeżeli pokaże pan choćby zamiar zdradzenia tej informacji.

Leniwe oczy Gerrarda otworzyły się nieco. - Niebezpieczeństwo z czyjej strony?

- Z mojej.

- Ciekawe - zauważył Gerrard. - W domu mam reputację twardziela.

- Nie zabiłem jeszcze dosyć ludzi, żeby zdobyć reputację - rzekł łagodnie Holden. - Ale jestem zdecydowany zrobić początek.

Gerrard nagle wyczuł, że nienaganne ubrane Anglik ma w sobie coś więcej, niż na początku przypuszczał. Napotkał jego nieugięty wzrok i wzruszył ramionami. - W porządku. Najlepiej, jak mi pan powie.

- "Tulsara" ma przewieźć dużą ilość złota w sztabach do Anglii tak szybko i dyskretnie, jak to tylko możliwe. Chodzi przede wszystkim o prędkość, aby uniknąć wykrycia przez okręty wojenne i łodzie podwodne. A złota potrzeba, żeby utrzymać

dostawy broni i żywności ze Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Brytanii. Bez tego jesteśmy skończeni.

Gerrard zdjął nogi z biurka. - My?

- Alianci. Reprezentuję rząd brytyjski. Złoto w sztabach przechowywane w Pretorii ma wartość 240 milionów dolarów amerykańskich i jest końcówką naszych zapasów złota. Nasze oddziały w Londynie i Ottawie są zupełnie puste. - Holden spojrział beznamiętnie na Amerykanina i zauważył, że tamten wydaje się wstrząśnięty.

- Jezu Chryste - westchnął Gerrard po przerwie - dwieście czterdzieści milionów zielonych. - Gwizdnął. - Ile tego w złocie?

Holden uśmiechnął się lekko. - Rafineria złota w Johannesburgu zrobiła z niego sztabki próby 995 o wadze ponad jedenaście kilo każda. Mamy przewieźć osiemnaście tysięcy sztabek. Oznacza to trochę ponad dwieście ton.

Gerrard potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Jezu Chryste - powtórzył. - Boże drogi. Dwieście ton złota... - Z wrażenia zamilkł.

- Zwykle sztabki złota wkłada się po dwie do pojemnika - ciągnął Holden. - Ale ponieważ nasz list przewozowy opiewał będzie na ołów, użyjemy drewnianych skrzyń do przewożenia kęsów ołowiu. Każda pomieści dziesięć sztabek złota, co daje razem sto osiemdziesiąt skrzyń. Ma pan plany "Tulsara"?

Gerrard otworzył szufladę i posunął trzy kartki papieru w kierunku Holdena. - Kilka pobieżnych szkiców, które zrobiłem przed ostatnim remontem. Może pan je zatrzymać.

Holden uważnie przestudiował wymiary i plan pokładu "Tulsara".

- Każda skrzynia mierzy 30 centymetrów szerokości, 30 centymetrów wysokości i półtora metra długości - mamy dużo miejsca. Możemy kazać ekipie naprawczej wstawić tu dwie ścianki działowe i zrobić z tego ładownię.

- Jest coś, co pan przeoczył - powiedział oziębło Gerrard.

Holden uniósł brwi. - A o czym miałem zapomnieć?

- Sprzedaliśmy miejsca pasażerom, żeby zdobyć pieniądze.

- Dlaczego sądzi pan, że coś pominąłem?

Gerrard zdecydował, że nie lubi tego pewnego siebie Anglika.

- Bo skoro już nie płyniemy do Stanów...

- Ile miejsc sprzedaliście? - przerwał Holden.

- Osiemnaście.

- Wszystkie Amerykanom?

- Z wyjątkiem małżeństwa Kanadyjczyków.

Holden uśmiechnął się lekko. - Doskonale. Wszyscy będą pierwszorzędną załogą.

- Kłopot polega na tym, jak mi się wydaje - wycodził Gerrard z rozmysłem - że kupili bilety na podróż do Nowego Jorku w oparciu o rozsądne skądinąd przypuszczenie, że statek rzeczywiście płynie do Nowego Jorku.

- Będę musiał oznajmić zmianę miejsca przeznaczenia na środku Atlantyku - brzmiała gładka odpowiedź Holdena. - Zajmę się też ich przewozem ze Zjednoczonego Królestwa do Ameryki na neutralnym statku. Czy ma pan jeszcze jakieś problemy, kapitanie?

Gerrard wolno pokręcił głową. - Wydaje mi się, że zadbał pan o wszystko, ale to jest najbardziej szalony pomysł, o jakim słyszałem.

Holden w odpowiedzi uśmiechnął się blade. - Oczywiście, że szalony. Kto przy zdrowych zmysłach pomyślałby, że Anglicy byłiby na tyle głupi, żeby wysłać ostatki

swego cennego złota przez ćwierć drogi dookoła świata na wielorybniczym statku-przetwórni pod obcą banderą?

- Nikt - zgodził się Gerrard. - Domyślam się, że na tę szaloną wyprawę wybierze się pan z nami?

Holden przytaknął. - Jestem pewien, że znajdzie pan dla mnie dodatkową kajutę, kapitanie.

- Jasne - odparł niechętnie Gerrard. - Ale jest jeszcze jedna rzecz, którą musimy wyjaśnić, zanim popłynie pan z nami. Pan jest właścicielem "Tulsara", panie Holden, ale ja jestem kapitanem statku i ja wydaję rozkazy. Dobrze?

Holden wzruszył ramionami. - Nie widzę tu żadnych problemów, o ile będzie pan wykonywał moje rozkazy, kapitanie. Nie mam pojęcia o prowadzeniu statku.

Gerrardowi nie spodobała się odpowiedź Anglika. - Sprawne prowadzenie statku może oznaczać, że będę wydawał panu rozkazy, panie Holden. Chcę się tylko upewnić, że się pan im podporządkuje.

Holden odwzajemnił beznamiętny uśmiech Gerarrda. - Zajmiemy się tą kwestią, kiedy rzeczywiście wystąpi, panie Gerrard - zaproponował uprzejmie.

15

Gdy samolot liniowy Lockheed Electra przelatywał nad portem w Durbanie, Holden zauważył, że prace naprawcze są już w toku, pływający dźwig stał obok statku, a barki naprawcze zajęły swoje miejsca. Na prawo wznosiły się urwiste zbocza Gór Smoczyc, strome i odpychające, wprost z czerwonej afrykańskiej ziemi. Dźwięk silników zmienił się, gdy samolot wyrównał lot. Holden zamówił u stewarda sok pomarańczowy i zerknął na zegarek. Była 8.05 rano. Electra mogła przelecieć tysiąc mil do Kapsztadu w mniej niż pięć godzin i miała wracać do Durbanu następnego dnia. Holden miał nadzieję, że nic nie opóźni powrotu samolotu, gdyż nie powiedział nikogo o swoim wyjeździe, a jego nieobecność w Durbanie przez ponad dwadzieścia cztery godziny nie mogła pozostać nie zauważona. Kupił już nawet bilet za własne pieniądze i zajęł miejsce z przodu, żeby uniknąć ciekawskich spojrzeń pasażerów idących w nieprzerwanej procesji do toalety w tyle.

Taksówka marki Ford, podskoczywszy niezliczoną ilość razy na wybojach Tafelberg Road wysoko nad Kapsztadem, wysadziła Holdena naprzeciw dolnej stacji kolejki linowej na Górę Stołową. Masywna bryła tej Góry, zwrócona na północ, zatrzymała ciepło słoneczne, ogrzewając powietrze do tego stopnia, że po pięciu minutach czekania na kolejkę Holden był cały mokry od potu.

Kolejka łagodnie wślizgnęła się do swej wnęki. Mężczyzna z obsługi otworzył drzwi i trzymał lekko podskakujący wagonik, ułatwiając wyjście pięciu pasażerom. Minutę później Holden był w środku, za towarzystwo mając jedynie obsługującego, a wagonik kolejki rozpoczął jednomilową wspinaczkę na urwiste piaskowcowe zbocza Góry Stołowej.

- Cholernie zimno tam u góry - powiedział mężczyzna wskazując głową w kierunku grubej warstwy chmur spowijających szczyt. - Jest tak zawsze, kiedy zrywa się południowo-wschodni wiatr. Nic pan nie zobaczy.

- Być w Kapsztadzie i nie widzieć Góry Stołowej? - rzekł Holden.

Wiatr przybrał na sile, a wagonik wspinał się miarowo, jak pająk wdrapujący się na szczyt swej sieci. Holden instynktownie wstrzymał oddech, gdy zbliżali się ku wielkiej lawinie chmur przelewającej się znad krawędzi góry. Wagonik znalazł się wewnątrz "obrusa" i temperatura gwałtownie spadła.

- A nie mówiłem? - przypomniał mężczyzna, gdy Holden podniósł kołnierz.

Holden nie odpowiedział, lecz patrzył szeroko otwartymi oczami na wznoszący się jak wieża budynek górnej stacji kolejki, który powoli wyłaniał się z mgły. Wydawało się, że wagonik jest nieruchomy, tylko szeroka warga góry opada im na spotkanie. Prawie niedostrzegalne drgnięcie oznajmiło, że wagonik zatrzymał się.

- Niech pan nie odchodzi za daleko od stacji - ostrzegł mężczyzna przytrzymujący wagonik, by Holden mógł wysiąść. - Jak pan usłyszysz sygnał, proszę wracać. Niech pan też nie schodzi z oznaczonych ścieżek, bo przekona się pan, jak łątwo spaść.

Na górze nie było widać nic oprócz kwadratowych plam żółtego światła oznaczających okna małej herbaciarni. Kroki Holdena brzmiały dziwnie martwo, gdy szedł wąskim szlakiem, wijącym się między kępami lilii górskich i rubasznie. W niektórych miejscach ścieżka była tak wąska, że wilgotna trawa ocierała się o jego spodnie. Zatrzymał się i nadsłuchiwał. Panowała cisza - nie słychać było nawet śpiewu ptaków, z których słynęła Góra Stożowa - nic tylko martwa cisza. Holden zaczął doceniać przebiegłość człowieka, który wybrał to miejsce na spotkanie, miało bowiem dla niego same zalety - zwłaszcza jeżeli znał skalisty teren równiny. Prawdopodobnie teraz się mu przyglądał, upewniając się, czy jest sam. Nagle spod nóg Holdena zerwał się szczur skalny i z rozgniewanym piskiem zniknął we mgle. Parę kroków za sobą Holden usłyszał jakiś dźwięk. Szybko poszedł w ślad małego gryzonia i kucnął za skałą, patrząc uważnie na ścieżkę. Z mgły zmaterializowała się sylwetka mężczyzny i przeszła obok skały, za którą był Holden. Mężczyzna zaklął pod nosem i przyspieszył kroku, gdy zdał sobie sprawę, że jego ofiara zniknęła. To wystarczyło. Holden stąpając po tłumiących jego kroki kępach trawy ruszył za nim i powalił go na ziemię. Mężczyzna próbował przewrócić się na plecy, lecz Holden chwycił obie jego ręce i wykręcił je na wysokości krzyża. Był to bolesny chwyt, lecz mężczyzna nie wydał z siebie jęku.

- Pan Kramer, jak mi się wydaje? - zapytał uprzejmie Holden. Twarz mężczyzny była wciśnięta w trawę. Przekręcił głowę na bok, zaklął w języku osadników i spróbował zrzucić z siebie przeciwnika, podrzucając swe potężne ciało. Nagle z obu stron szyi uczuł zaciskające się kleszcze uścisku i przeszywający ból przeniknął go na wskroś. Jęknął.

- Proszę się nie ruszać, panie Kramer, a nic panu nie zrobię. Kramer przestał stawiać opór i niesamowity ból zelżał. Mężczyzna poczuł, jak niewidzialne palce poruszają się pod jego marynarką.

- Nie jestem uzbrojony.
- Chcę się tylko upewnić.

Holden wyprostował się. - W porządku, niech pan wstaje. Kramer podniósł się z trudnością i ponuro przyglądał uśmiechniętemu napastnikowi rozcierając szyję.

- Nie będzie siniaków - powiedział Holden - nie użyłem zbyt dużo siły. Tak czy owak najprawdopodobniej nigdy nie będzie pan bliższy śmierci niż wtedy.

- Pan to pan Holden?

- Miło mi, panie Kramer. Rozczarowałam mnie pan. Sądziłem, że komendant komórki Ossewa w Kapsztadzie będzie na tyle przebiegły, że nie da się tak łatwo zaskoczyć.

- Kto panu dał mój adres i numer telefonu?

- Nasi wspólni przyjaciele z Berlina - odparł Holden. - Dawno temu.

Straciłem kontakt, dlatego musiałem zobaczyć się z panem. O ile się nie mylę, ma pan nadajnik radiowy. Przyda się teraz, bo władze w Kairze robią trudności

wszystkim, którzy chcieliby zatelegrafować do Niemiec.

- Nie wiem, o czym pan mówi - warknął Kramer.

- Jestem w posiadaniu interesującej informacji na temat wysyłki do Anglii reszty zapasów złota aliantów z Afryki Południowej - powiedział Holden. -

Informacji, z którą zamierzam się rozstać w zamian za dwa miliony franków szwajcarskich wpłaconych na moje konto w banku Montreux. Przekaze pan do Berlina, że transakcja będzie bardzo opłacalna, ponieważ mają przewozić około dwustu ton złota warte sześćdziesiąt milionów funtów, a zawładnięcie nim nie powinno sprawić Kriegsmarine większych kłopotów.

Kramer włożył ręce do kieszeni. - Nic o panu nie wiem. Nie wiem, kim pan jest i czy można panu ufać.

- Oczywiście, że pan nie wie - przyznał Holden. - Lecz sam pan widzi, że wiemy dość o sobie, by każdy z nas zawisł na szubienicy, jeżeli dostaniemy się w ręce policji.

Kramer zwrócił uwagę na ubranie Holdena.

- Jest pan Anglikiem?

- Który ceni bardziej pieniądze niż swój kraj.

- Dla kogo pan pracuje?

- Jestem urzędnikiem skarbu państwa Zjednoczonego Królestwa.

- Gdzie pan mieszka?

Holden podał mu swój adres w Kensington.

- Niech mi pan opowie o tym statku - rzekł Kramer.

- Ani słowa, zanim mój bank nie przekaze mi, że połowa należności wpłynęła na moje konto.

- Gdzie pan się zatrzymał?

- W hotelu Benjamin D'Urban, w Durbanie.

Kramer zapytał obojętnie: - Ten statek... odpływa z Durbanu?

- Pełne informacje, gdy dostanę połowę pieniędzy. Kramer zastanowił się. -

Rozumie pan, to nie ja podejmuję decyzje. Przekazuję jedynie informacje, nic więcej.

Holden powiedział, że rozumie. Kramer wskazał na kłębiącą się mgłę. -

Do stacji kolejki linowej tędy, panie Holden.

Pięć minut później, gdy upewnił się, że Anglik już poszedł, Kramer skierował się przez spowitą mgłą równinę w stronę ogromnego nawisu skalnego, Srebrnego Ramienia, obok wąwozu Plateklipp, gdzie grupa żeglarzy portugalskich po raz pierwszy wspięła się na szczyt Góry Stożowej w 1503 roku. Ukłękł i spod samego nawisu usunął trochę wrzosu, odsłaniając szeroką, płaską skałę, drugą na jakieś sześćdziesiąt centymetrów. Przez chwilę mocował się z blokiem skalnym i wreszcie wyciągnął małą walizeczkę, którą uważnie położył obok siebie, nim otworzył zamki i pokrywę, odsłaniając starannie ułożone słuchawki i zwój drutu antenowego. Był to Telefunken Mark III "Afu" Agentenfunk, stacja nadawczo-odbiorcza agenta.

Ustawił dzwignik przełącznika w pozycji "I", założył słuchawki i rozwinął antenę. Trzysta metrów nad poziomem morza, żadnych zakłóceń, wystarczało przerzucić antenę przez krawędź wąwozu, by zwisała prosto w dół. Góra Stożowa była wymarzoną miejscem dla dziesięciowatowego urządzenia małej mocy jak Afu.

Ciche mruczenie w słuchawkach powiedziało Kramerowi, że radio nagrzało się.

Popatrzył na wskaźnik w środku aparatu i nacisnął kilka razy klucz Morse'a.

Wskaźówka poruszyła się, co oznaczało, że urządzenie działa bez zarzutu pomimo wilgoci w miejscu, gdzie było przechowywane. Główną zaletą aparatu było utrzymywanie częstotliwości za pomocą kryształu kwarcu, w związku z czym

obsługujący musiał znać tylko alfabet Morse'a, żeby się nim posługiwać. Kramer nauczył się alfabetu Morse'a podczas swojej ostatniej bytności w Berlinie. Nauczył się słabo, co umożliwiło jednak radiooperatorom łodzi podwodnych szybko zdefiniować jego "rękę". Spokojnie nadał serię kropek i czekał na potwierdzenie odbioru. Sygnały nadchodzące w odpowiedzi odebrał czysto i wyraźnie, co oznaczało, że łódź podwodna dostroiła się do jego częstotliwości. Uważnie wystukał:

GOTOWI DO ODBIORU. Odpowiedź brzmiała:

GOTOWI. Krzaczaste brwi Kramera zmarszczyły się sygnalizując koncentrację, gdy zaczął wystukiwać swój komunikat, gdyż musiał zrobić błąd na jedenastej i dwudziestej pozycji tekstu, jako środek ostrożności potwierdzający prawdziwość komunikatu. Błąd na trzydziestej drugiej pozycji oznaczał, że "został złapany i przeszedł na stronę wroga", który zmusił go do przekazania fałszywych informacji. Powoli, z napiętą uwagą, nadał pełne sprawozdanie ze spotkania z Holdenem, pamiętając o błędach we właściwych miejscach.

16

- Dziwi mnie tylko - powiedział Strick - jak udało mu się otworzyć konto w banku szwajcarskim.

- Trudne, lecz nie niemożliwe - odparł admirał Canaris. - Pracuje w skarbie państwa, jest więc prawdopodobne, że wykorzystał połączenie radiowo-telefoniczne Londynu z Genewą dla swoich celów.

Strickowi wydawało się, że Brytyjczycy trzymaliby takie połączenia pod ścisłą kontrolą, lecz nie zaprzeczył admirałowi.

Jako szef Abwehry - potężnej organizacji wywiadowczej i kontrwywiadowczej o budżecie i środkach dziesięciokrotnie przekraczających jego własne - przedwcześnie posiłkował admirał ze swym upodobaniem do niechlujnego cywilnego ubioru, sprawiający wrażenie dobrodusznego niezdecydowanego, chociaż niezbyt wysoko ceniony w kręgach partyjnych, jednak zdobył sobie znaczącą pozycję i wpływ swą niesamowitą zdolnością bycia we właściwym czasie na właściwym miejscu.

- Czego pan się o nim dowiedział, admirale? - zapytał uprzejmie Strick.

Canaris przerzucił z niezdecydowaniem jakieś kartki w swoim segregatorze i wyjął dokument. - Niewiele. Jest kilku R. Holdenów wymienionych w książce telefonicznej departamentu skarbu w randze od pomocnika do naczelnika wydziału. Dla Stricka nie była to nowa informacja, posiadał bowiem kopię tego dokumentu w swojej bibliotece. - Czy dowiedział się pan czegoś bardziej bezpośrednimi metodami śledczymi? - Strick starał się być taktowny.

- Nasz człowiek w Afryce Południowej kazał przeszukać jego pokój w hotelu w Durbanie. Niewiele znalazł. Kilka nie zapłaconych rachunków na kwotę około dwustu funtów.

Brak precyzji zirytował Stricka. - Domyślam się, że znaczenie tej sumy zależy od tego, czy jest pomocnikiem, czy naczelnikiem wydziału - skomentował ironicznie.

Canaris uśmiechnął się. - Ja w każdym razie uważam długi w wysokości dwustu funtów za znaczące. Brytyjczycy nie przepłacają swych urzędników. Bez względu na jego rangę, taka suma nie jest łatwa do spłacenia i sugeruje, że nasz pan Holden zaczyna lubować się w życiu ponad stan.

- Możliwe - powiedział Strick bez przekonania. - Ale czy naprawdę sądzi pan, że wiemy o nim wystarczająco dużo, aby ryzykować ponad milion franków szwajcarskich? W oparciu o to, co wiemy, wszystko mógł sfabrykować wasz agent

w Południowej Afryce.

Canaris stanowczo pokręcił głową. - Niemożliwe. Znam go. To nasz najpewniejszy człowiek w Afryce Południowej. Porozmawiam z Funkiem z samego rana i zarządę dokonanie pierwszej wpłaty. - Zachichotał i spojrzął na swego gościa błyszczącymi oczyma.

- Głowa do góry, doktorze. Dostaniemy dwieście ton złota po okazyjnej cenie.

17

Jedną z zasad, którymi Simon Gooding kierował się w życiu, było jak najoszczędniejsze wydatkowanie energii, zwłaszcza w wilgotne miesiące natalskiego lata. Z tego powodu codzienna obecność Ralphi Holdena w jego biurze sprawiała, że czuł się zdecydowanie nieswojo. Każdy problem powstały przy okazji przygotowań do wyjścia "Tulsara" w morze był przez niego rozwiązywany tak szybko i z taką zaradnością, że korpulentny spedytor denerwował się i coraz bardziej uświadamiał sobie swój wiek. Bez względu na to, czy chodziło o brak blachy stalowej na naprawę burty jednego dnia, czy kłopoty z dostaniem materiałów spawalniczych następnego dnia, wszystkie problemy były sprawnie likwidowane dzięki kombinacji krótkich telefonów i długich czeków Holdena. Następną z jego cech, której zazdrościł mu Gooding, była zdolność do zachowywania absolutnej obojętności, gdy sprawy nie szły po jego myśli.

Gooding jedząc kanapkę spoglądał właśnie przez okno swego biura na ruch na nadbrzeżu, gdy zauważył osobę starannie ubraną w przewiewny garnitur idącą szybko przez targ rybny. Był to Holden. Dotąd Gooding nie widział spieszącego się Holdena. Powrócił więc do swego biurka i udawał, że jest bardzo zajęty, gdy Holden wpadł do środka. Podniósł oczy - mając nadzieję, że jego dobrotliwy uśmiech powinien maskuje zaniepokojenie.

- Dzień dobry, panie Holden. Wszystko w porządku?

- Zauważyłem na "Tulsarze" Amerykankę - rzekł szorstko Holden. - Pannę Josephine Britten. Pracuje w recepcji mojego hotelu i chciałbym wiedzieć, co robi na statku.

Gooding wytarł kark z potu. - Jest naszym płatnikiem, panie Holden.

- Od kiedy?

- Od czasu, gdy dałem jej tę pracę - odparł rozdrażniony Gooding.

Holden przypomniał sobie, jak Josephine mówiła mu, że załatwiła sobie pracę na statku płynącym do Nowego Jorku, ale nie powiedziała, na którym.

- Jej nazwiska nie ma na liście pasażerów, którą mi pan dał - powiedział Holden.

- Bo nie jest pasażerką. Sam mi pan kazał rozejrzeć się za załogą.

- Dlaczego chce płynąć do domu?

- Jest dziewczyną, której nie zadaje się zbyt wielu pytań. Poza tym to nie mój interes - Gooding napotkał niebieskie oczy Holdena. - W dodatku bardzo się przydaje. Urządziła kajuty - doglądała przemalowania, a nawet załatwiła dywany, które usuwano z hotelu. Kazała cieśłom zmontować bar w restauracji. Ona wie, co robi. Przepracowała każdą wolną chwilę na statku.

Holden nie odpowiedział. Gooding wyjaśnił, dlaczego prawie nie widział Josephine w ciągu ostatnich trzech tygodni.

- Muszę mieć jej adres domowy - rzekł po chwili namysłu. - Wiem tylko, że mieszka gdzieś w Greenwich Village. Gooding potaknął i przebiegł palcami plik papierów nabitych na kolec. - Jak postępuje naprawa? - wybrał jeden i wręczył Holdenowi.

Ten spojrział przelotnie na kartkę i włożył do jednej z wewnętrznych kieszeni. - Kadłub jest skończony - odparł. - Gerrard mówi, że widział już lepsze nitowanie i spawanie, ale będzie musiało wystarczyć. Pływający dźwig jutro spuszcza dziób "Tulsara" na wodę.

Gooding zdziwił się. - Czyli będzie gotowy do wyjścia w morze w przyszłym tygodniu?

Holden uśmiechnął się zimno. - Trzeba jeszcze wprowadzić parę zmian. Chcę usunąć kilka z przednich pojemników na olej, żeby zrobić miejsce na ładownię.

- Ładownię? - powtórzył jak echo Gooding. - Na co panu ładownia?

- Dlaczego nie mielibyśmy zarobić trochę po drodze? - rzekł Holden. - Poza pasażerami "Tulsar" będzie wiózł ładunek ołowiu. Wymagane papiery będzie pan miał z końcem przyszłego tygodnia.

Gooding miał zamiar zwrócić uwagę, że opłata za fracht nie uzasadnia kosztów przeróbki "Tulsara", lecz zdecydował, że lepiej będzie milczeć.

18

Hall hotelu Benjamin D'Urban wypełniał się właśnie pasażerami "Tulsara" i ich bagażem, kiedy Holden zszedł na dół po śniadaniu, dnia 17 lutego. Z uśmiechem rozbawienia spoglądał na Josephine próbującą ułagodzić agresywnego potentata cukrowego i jego nie mniej kłótliwą żonę.

- Panie Vanson - mówiła doprowadzona prawie do rozpaczki Josephine - bardzo mi przykro, ale nie mogę podać panu daty wyjścia w morze, bo sama jej jeszcze nie znam.

- Wie pani, jak długo tkwimy w tym kraju? - wykrzyknął Eli Vanson. - Ponad rok, tak długo. A pani mówi, że mamy siedzieć w tym hotelu od siedmiu boleści. Wszyscy pasażerowie zorientowali się, że Josephine ma coś wspólnego z tajemniczą linią okrętową, która miała zabrać ich do domu, i wszyscy, z wyjątkiem dwóch uśmiechniętych sióstr urszulanek, krzyczeli w głos. Najpopularniejszym tematem rozmów były najwyraźniej dalekie od komfortowych warunki podróży pociągiem, którym przybyli z Kapsztadu.

Holden przedarł się przez tłum i oparł na blacie recepcji, czekając, aż Josephine go zauważy.

- Słyszałem, że będziesz płatkikiem na "Tulsarze", Jo. Nic dziwnego, że prawie wcale cię nie widziałem. Myślałem, że umyślnie mnie unikasz.

- Ani mi to w głowie, to raczej pan wydawał się urażony. Czy mogę coś dla pana zrobić?

- Znajdź mi wygodną kajutę na "Tulsarze", Jo - Holden uśmiechnął się szeroko na widok jej zaskoczenia i dodał: - Widać, że niezbyt dokładnie przejrzałaś listę pasażerów, moja droga.

- Płynię pan do Nowego Jorku na "Tulsarze"? - zapytała Josephine z niedowierzaniem.

- Tak. Spodziewam się najlepszej kajuty, jaką masz do dyspozycji.

- Panie Holden - odparła ostrożnie Josephine - na "Tulsarze" nie ma klas.

Wszystko, co mogę panu obiecać, to to, że pańska kajuta będzie odpowiednia. Przepraszam, ale nie mogę robić wyjątków.

- Nawet dla właściciela?

Kpiące niebieskie oczy zirytowały Josephine. Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Mam wrażenie, że próbuje mi pan coś powiedzieć.

- Tak, mój aniele - jako przedstawiciel właściciela sądzę, że mam prawo do przyzwoitej kajuty. Sprawdź u Simona Goodinga, jeżeli mi nie wierzysz.

Josephine rzuciła okiem na Holdena i pokiwała głową.

- Zobaczę, co się da zrobić, panie Holden. - Odwróciła się do przegródek na listy, wyglądających jak plaster miodu, i podała mu telegram. - Doręczono dziesięć minut temu, panie Holden.

Holden wrócił do swego pokoju i pospiesznie odszyfrował treść telegramu z Londynu.

JOSEPHINE BRITTEN Z 41 KRESKA 3 CZYSTA STOP NIE MA ZWIĄZKÓW Z NAZISTAMI ANI RUCHAMI IZOLACJONISTYCZNYMI W USA DLATEGO BRAK SPRZECIWU WOBEC PRZEJAZDU STOP OJCIEC CHORY NA NERKI STOP ZOSTAŁO MU MNIEJ NIŻ TRZY MIESIĄCE

Holden spoglądał na płomienie, które zamieniały telegram w czarne płatki.

Roztarł pozostałość w pył, który uważnie przesypał z popielniczki do kosza na śmieci.

Przez parę sekund siedział bez ruchu, patrząc przez okno na morze parasoli słonecznych na plaży. Gdy powiadomił Urząd Skarbu, że "Tulsar" będzie przewoził pasażerów, nalegali na otrzymanie listy ich nazwisk oraz adresów w celu sprawdzenia. Josephine była ostatnia. Zastanawiał się, dlaczego chciała wracać do domu, teraz wiedział już, że chodziło o chorego ojca. Nie miał zamiaru mieszać się w sprawy osobiste pasażerów, lecz polubił Josephine na tyle, że nie chciał, by wsiadła na statek płynący rzekomo do Nowego Jorku, a tak naprawdę do Anglii.

Było tylko jedno rozwiązanie.

Charakter Goodinga miał jedną silną cechę, której zupełnie nie oczekiwał Holden. Spedytor zmiotł całe naręczce papierów ze swego biurka, wepchnął do pudła na kartoteki i wcisnął to wszystko Holdenowi.

- Nie mogę zazać zatrzymać panny Britten - powiedział spoglądając ku Gerrardowi, który stał po drugiej stronie, w nadziei uzyskania poparcia. - Ale sam w tym nie wezmę udziału. Oddam prowizję, którą mi pan zapłacił, i niech pan sobie szuka innego agenta.

Obaj przesywali się pełnym wściekłości wzrokiem.

- Chodzi mi tylko o to - powiedział spokojnie Holden - żeby zarezerwował jej pan przejazd do domu na innym statku, ja opłacę podróż.

- Nie ma innych statków - odparł Gooding. - Ta dziewczyna strasznie się napracowała, zorganizowała wszystko - zdjęła mnie i kapitanowi Gerrardowi wielki kłopot z głowy i niech mnie szlag trafi, jeżeli zwolnię ją bez powodu. Włożył filcowy kapelusz i podszedł do drzwi. - Muszę iść do urzędu celnego w sprawie ładunku ołowiu. Niech mu pan spróbuje wytłumaczyć, kapitanie.

- O co ta cała awantura? - zapytał Gerrard, gdy Gooding wyszedł.

- Musiałem sprawdzić przez Londyn wszystkie nazwiska pasażerów - powiedział Holden. - Przyszłali mi informację, że ojciec Josephine Britten ma jeszcze tylko cztery miesiące życia. Domyślałem się, że z tego właśnie powodu ona chce wrócić do domu.

Gerrard uśmiechnął się leniwie. - Więc powie jej pan, że "Tulsar" nie płynie do Nowego Jorku?

- Niech pan nie udaje idioty.

- A mnie się wydaje, że to nie ja jestem idiotą. Nie sądziłem, że straci pan głowę dla dziewczyny.

Holden zignorował poufalość Amerykanina. - Nie chcę tylko, żeby jej się coś stało, gdy jej ojciec umrze, zanim wróci do domu.

Gerrard wzruszył ramionami. - Nie chcę, żeby mi pasażerowie zawracali głowę. Z dziewczyną rozmawiałem tylko parę razy, ale wydaje mi się, że poradzi

sobie z nimi. - Uśmiechnął się ponownie. - Podniosą piekielny raban, jak się zorientują, że nie płyniemy do Nowego Jorku, więc myślę, że powinna zostać.

19

Po przejechaniu osiemdziesięciu mil od Durbanu w dół wybrzeża Holden o pierwszej po południu dotarł do Port Shepstone, małego miasteczka o przynębiającym nieokreślonym charakterze. Zaparkował przy Duke of Bedford Inn, niewielkim jednopiętrowym hotelu, i wszedł do restauracji, gdzie przy stoliku w kącie niecierpliwie wyglądał go Kramer.

- Spóźnił się pan godzinę - zauważył z przekąsem. - Miał pan trzy godziny, a ja trzy dni jazdy z Kapsztadu i zdążyłem na czas.

- Bezpiecznie tu? - zapytał lakonicznie Holden. Kramer wzruszył ramionami.

- Jak wszędzie. Obaj zamówili lekki lunch i zaczęli, aż kelner odejdzie.

- Pański bank powinien otrzymać już pieniądze - zaczął Kramer.

- Dziś rano odebrałem od nich wiadomość - powiedział Holden ostrożnie.

- Myślałem, że banki szwajcarskie nie są skłonne do wysyłania wiadomości - zauważył obojętnie Kramer, jakby odpowiedź Holdena niezbyt go obchodziła.

Holden zdał sobie sprawę, że szorstki Afrykaner, mimo licznych wad, wcale nie jest głupi. - Są na to sposoby.

Kramer wbił zęby w łydę selera i żuł głośno. Bardzo interesowały go wszelkie możliwości wysyłania wiadomości poza Południową Afrykę. - Jakie sposoby?

Kelner przyniósł zamówione potrawy i oddalił się. - Mam dla pana wiadomość - oznajmił chłodno Holden.

Kramer chrząknął. - Czas najwyższy. Więc co to za statek? Jak się nazywa?

- "Tulsar". Amerykański statek-przetwórnia wielorybów.

Kramer opuścił nóż i wybałuszył oczy na Holdena. - "Tulsar"? Człowieku, czy to nie ten cholerny Jankes, który przed świętami staranował i zatopił łódź podwodną?

- Tak mi się wydaje - odparł Holden wymijająco. - Tym bardziej atrakcyjną zdobyczą powinien być dla pana zwierzchników. - Skinął na kelnera i zamówił karafkę soku pomarańczowego.

- Odpływa z Durbanu 25 lutego - za tydzień.

Kramer kiwnął głową.

- Jest jeszcze jedna rzecz, na której mi zależy - powiedział Holden, wpatrując się w Afrykanera zimnym, niebezpiecznym wzrokiem. - Ma zostać zdobyty, nie zatopiony. Muszą to jasno zrozumieć.

W uśmiechu Kramera było coś wilczego. - Nikt nie zamierza posłać złota wartego 60 milionów funtów na dno, więc o co chodzi?

- Ja będę na "Tulsarze" - rzucił Holden cierpko. - Spodziewam się, że zostaną uwięzieni i przetransportowani do Szwajcarii.

- Internują pana.

- Już to załatwiłem.

- Ze Szwajcarami? - Kramer nie dowierzał.

- Nie pański interes, Kramer. Do pana należy przekazywać informacje, które panu podaję.

Spojrzeni na siebie podejrzliwie.

- Pozostaje sprawa pasażerów - rzekł Holden. - Wszyscy są obywatelami amerykańskimi, oprócz dwojga Kanadyjczyków...

- Pasażerowie? - Kramer uniósł brwi ze zdziwienia. - Jacy pasażerowie?

- Zabiera się ich dla osłony "Tulsara". Sądzą, że płyną do Nowego Jorku.

Kramer obnażył żółte zęby w uśmiechu. - Sprytnie.

- Więcej w tym przypadku niż planowania. Mają zostać repatriowani natychmiast, zrozumiano?

Kramer przytaknął. - W porządku. Ilu ich jest?

- Osiemnastu. Pod żadnym pozorem nie może im się stać nic złego.

- Nie widzę żadnych problemów, ale rzecz jasna Kanadyjczycy są sojusznikami Brytyjczyków. Trzeba ich będzie uwięzić lub internować.

- Jeszcze jedna sprawa - powiedział Holden. - Miejsce przechwylenia statku. Proponuję odłożyć to na tyle, na ile będzie możliwe - u wybrzeży Francji, w zasięgu działania lotnictwa osłaniającego przechwytną żałogę. Jeżeli "Tulsar" schwyty zostanie na południowym Atlantyku, Brytyjczycy rzucą wszystkie siły, żeby go odbić albo zatopić. - Holden zawahał się, przechodząc do najważniejszej kwestii, którą odłożył umyślnie na sam koniec.

- Musi pan przekazać swoim kolegom, że jedyną szansą na schwytanie "Tulsara" jest użycie któregoś z pancerników, na przykład "Tirpitz".

Oczy Kramera zwięźli się. - Dlaczego?

- "Tulsar" jest szybki, cholernie szybki. Dwadzieścia sześć węzłów. Nie dogonią go niczym innym.

Kramer na kilka sekund utkwiał przenikliwe spojrzenie w jasnowłosym Angliku, zanim przytaknął. - Jeszcze dzisiaj przekażę tę informację. Będą chcieli mieć nazwisko kapitana "Tulsara".

- To stary kapitan, Robert Gerrard, ten, co zatopił łódź podwodną.

- Ma pan odrysowane plany "Tulsara"?

- Nie będą wam potrzebne - odpowiedział Holden. - Sam pokażę nowej żałodze, gdzie trzymane jest złoto, gdy wejdą na pokład.

- A jeśli coś się panu stanie? - wymamrotał Kramer. W głosie Holdena pojawiła się lodowata nuta. - A coś takiego mogłoby mi się przydarzyć, panie Kramer?

- Musimy się zabezpieczyć.

Obaj milczeli, pewni, że jeden chce przechytrzyć drugiego. Holden wzruszył ramionami, sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wręczył Afrykanerowi plany "Tulsara". Ten spojrział przelotnie na odręczne rysunki i schował je. Tego właśnie chciał.

Po posiłku obaj wypili dyskretny toast za powodzenie ich przedsięwzięcia -

Kramer szklanką piwa, a Holden - soku pomarańczowego.

20

Sygnal radiowy "Kukułka do Alicji" Kramera został odebrany przez jego kolegę, "generała" Rudolfa Messenera z Kommando VI Gruppe Ossewa-Brandweg w Windhoek, w Afryce Południowo-Zachodniej w zakresie trzecim. Messener sprawdził wiadomość pod względem umyślnych błędów szyfrowania, aby się upewnić, czy Kramer nie "przeszedł na stronę wroga", i ponownie nadał wiadomość na fali 15.460 kilocykli, wykorzystując potężny 500-watowy nadajnik RCA, który Kramer przywiózł z Berlina w 1937 roku w skrzyni z napisem "elektryczne części zapasowe".

U-395 z Drugiej Flotyli ładowała właśnie akumulatory trzy tysiące mil na wschód od Montevideo po drugiej stronie Atlantyku, gdy jej radiooperator uchwycił sygnały Messenera. Sprawdzenie błędów szyfrowania przebiegło pomyślnie, więc przeszyfrował wiadomość na "Purpurę" Kriegsmarine za pomocą maszyny do szyfrowania Enigma i retransmitował ją na fali 4.995 kilocykli - standardzie przydzielanym niemieckim łodziom podwodnym.

Prawie po drugiej stronie globu, w Treuebrietzen leżącym nieco na południe

od Berlina, anteny na dachu stylowej, pokrytej sztukaterią wiejskiej rezydencji, należącej do stacji nasłuchu Chieffrierabteilung OKW, odebrały sygnał nadany przez U-395.

Wiadomość została sprawdzona pod względem autentyczności w pokoju nasłuchowym i szybko przekazana, nadal w zakodowanej formie, do pomieszczenia adresowego, gdzie tylko pierwsze linijki tekstu zostały odszyfrowane, w celu znalezienia adresata przekazu. Słowo "Alicja" sprawiło, że oficer dyżurny natychmiast zaniechał standardowej procedury i odszyfrował pozostałą część przekazu bez przesyłania do odpowiedniego pomieszczenia, gdzie musiałyby czekać na swoją kolej.

Pięć minut później czerwona maszyna w banku dalekopisów Geheimschreiber w kwarterze głównej admirała Canarisa w Berlinie zaczęła stukać. Był to jedyny dalekopis, który drukował przekazy bez kopii.

Długa i kręta droga przekazu nie opóźniła w zasadzie jego podróży. W godzinę potem jak Kramer wpełznął swą walizkę z "Afu" pod łóżko w pokoju hotelowym w Port Shepstone, różowa kartka znalazła się przed obliczem admirała Canarisa w Berlinie. Nie ucierpiała także dokładność przekazu, prócz pisowni miasta Durban, którą zmieniono na Durbin.

Przed piątą trzydzieści Canaris i Reichsminister Walter Funk zakończyli pilną odprawę u Hitlera, informując go szczegółowo o planach brytyjskich. Prawdziwym celem wizyty było przekonanie Führera, aby wydał zgodę na wysłanie pancernika, jak "Bismarck" czy "Scharnhorst", na Atlantyk w celu przechwycenia i zdobycia "Tulsara". Lecz Hitler stanowczo odmówił z obawy przed upokarzającą porażką, jak zatopienie okrętu wojennego "Graf Spee" w grudniu 1938 roku. Jego neurotyczne obawy dotyczące niemieckich okrętów poszły tak daleko, że bliźniaczy okręt "Grafu Spee", "Deutschland" zmienił nazwę, gdyż Führer rozporządził, że żaden okręt o takiej nazwie nie może być zatopiony. Nowa nazwa okrętu - "Lutzow", nie przyniosła mu zbyt wiele szczęścia, stracił rufę po operacji Weserübung w Norwegii.

- Mamy szybkie okręty nawodne - zauważył Hitler. - Możemy wysłać je na Ocean Indyjski.

- Z całym szacunkiem, mein Führer - powiedział Canaris. - Taka koncentracja obudzi czujność Brytyjczyków i z pewnością doprowadzi do zmian w ich planach przewozu złota. Wydaje nam się najlepszym rozwiązaniem nie zdradzać naszych planów, zanim "Tulsar" nie znajdzie się na środku Atlantyku, bez możliwości zawinięcia do przyjaznego portu w celu wyładowania złota. Poza tym, nawet z radionawigatorem na pokładzie, nasze jednostki pościgowe nie dysponują ani konieczną prędkością, ani radarem, by odszukać określony statek na pełnym morzu - zostały zbudowane w celu nawiązywania walki i niszczenia wrogich statków, na które natkną się przypadkiem.

Hitlera nie interesowały podobne argumenty. Jeszcze raz odmówił zgody na użycie pancerników i krążowników, po czym rozpoczął długą tyradę o bezużyteczności okrętów wojennych.

- Wiecie, o ile więcej okrętów podwodnych mielibyśmy, gdyby się nie pozwoliło Raederowi na plan "Z" i te krowy w rodzaju "Tirpitz"? Czteryście! - pienił się. - Z czterystoma łodziami podwodnymi na morzu wojna z Anglią byłaby skończona! Funk miał szaloną ochotę powiedzieć, że wojna skończy się za kilka tygodni, jeżeli złoto przewożone na "Tulsarze" nie dostanie się do Anglii, lecz zdecydował, że mądrzej siedzieć cicho, kiedy Hitler wpadał w furię z powodu marynarki. Głos Hitlera zamienił się w krzyk, gdy tak perorował do swych gości. Funk

zadrżał przed spodziewanym atakiem, podczas gdy Canaris milczał niewzruszenie.

- Te okręty bardziej przydają się stojąc na kotwicy, gdzie mogą się do nich dostać Brytyjczycy, niż na morzu - ich obecność i obawa, że mogą wyjść w morze, wiąże tysiące ludzi i mnóstwo statków w eskortach konwojów, które i tak nie przeszkadzają łodziom podwodnym zatapiać statków handlowych. Łodzie podwodne są naszą jedyną siłą morską - weźcie jedną z nich, niech zdobędzie złoto Churchilla.

Godzinę później Canaris i Funk siedzieli w gabinecie Stricka relacjonując mu przebieg spotkania. Ekonomista słucał uważnie i poprosił Funka o powtórzenie ostatnich słów Hitlera.

- Powiedział, żeby wysłać łódź podwodną, by zdobyła złoto Churchilla - powtórzył Funk.

- Czyli dokładnie to musimy zrobić - oświadczył Strick. - To był rozkaz, prawda?

- Nie brzmiało to jak rozkaz - rzekł niepewnie Canaris.

- Możecie być pewni, że Hess potrafi potraktować to jako rozkaz, jeżeli będzie chciał - zauważył Strick. - Domyślam się, że czas spotkania był liczony w minutach?

Canaris przytaknął.

- A więc proponuję, żeby Hess potwierdził stanowisko Hitlera. Poszczucie "Tulsara" łodzią podwodną jest lepszym rozwiązaniem niż żadnym. Może nawet ucieszą się ze sposobności. Przecież to "Tulsar" zatopił naszą łódź w grudniu. Jak się nazywał kapitan?

- Robert Gerrard - odpowiedział Canaris. - Amerykanin.

- Zastanawiam się, czy mamy o nim jakieś informacje - rzekł Strick. - Jeśli Brytyjczycy są na tyle szaleni, żeby wykorzystywać w takim celu neutralny statek dowodzony przez kapitana, obywatela neutralnego kraju, byłoby niedorzecznością nie skorzystać z okazji i przynajmniej nie sprawdzić, czy tego Gerrarda nie da się przekupić lub zastraszyć.

Strick podniósł słuchawkę jednego ze swych telefonów i zapytał dyżurnego w centralnej bibliotece dokumentów, czy nazwisko Gerrard w nich nie występuje.

- Jest niewielka szansa - powiedział Strick odkładając słuchawkę i naciskając przycisk intercomu, by zamówić kawę.

Parę minut później do gabinetu wszedł urzędnik i położył mu na biurku teczkę, którą Strick otworzył i szybko przeczytał krótki raport znajdujący się wewnątrz. Funk i Canaris spoglądali na niego.

- No cóż - rzekł Strick podsuwając Canarisowi dokument - możemy wykluczyć szantaż, żona Gerrarda utonęła po storpedowaniu "Athenii".

Canaris uważnie przeczytał raport i zmarszczył brwi. Spojrzał na pierwszą stronę szukając nazwiska jego autora. Zesztywniał.

- Nie do wiary! Pańskie informacje na temat Gerrarda pochodzą od jego dawnego kolegi, który jest teraz instruktorem na łodziach podwodnych.

- Co w tym takiego dziwnego? - zapytał Strick - Polowania na wieloryby podobnie jak Legia Cudzoziemska przyciągały zawsze wszystkie narodowości pod słońcem.

Canaris pokiwał swą białą głową. - Zupełnie mnie pan nie zrozumiał, doktorze. Wpadłem na pomysł, że skoro mamy użyć łodzi podwodnej do polowania na złoto Churchilla, kto lepiej się nada do poprowadzenia wyprawy niż człowiek, który zna Gerrarda, jego sposób myślenia i samego "Tulsara"?

Olbrzymia lokomotywa firmy Henshel owinęta się kłębami syczącej pary, nim ze zgrzytem zatrzymała się obok "Tulsara". Robert Gerrard wychylił się przez poręcz i z ciekawością spoglądał na czterdzieści płaskich wagonów, które 111-tonowa lokomotywa przywlokła przez równinę z Pretorii. Każdy wagon załadowany był drewnianymi skrzyniami wielkości trumny, po pięćdziesiąt na jednym, z których każda nosiła znak kompanii wydobywającej ołów z Broken Hill koło Lusaki w północnej Rodezji.

- Nie ma straży? - zapytał Gerrard.

Holden podszedł do niego. - Po co prowokować niewygodne pytania, posyłając straż do konwojowania ładunku ołowiu?

Fala robotników portowych zalała skrzynie, odwiązując liny, podczas gdy ruchomy dźwig portowy przytoczył się na swoje miejsce.

Pięć minut później pierwsza partia skrzyń opuszczona została ostrożnie przez zapadnię zionącą w pokładzie "Tulsara". Holden wolał nie myśleć o konsekwencjach wypadku, gdyby jedna ze skrzyń rozleciała się odkrywając prawdziwą zawartość swego wnętrza.

W ślad za Gerrardem szedł po stalowej drabince do gorącej, dusznej ładowni "Tulsara". Obaj poruszali się w wąskim przejściu między rzędami skrzyń ustawionych po osiem jedna na drugiej i zabezpieczonych zręcznie powiązаныmi linami. Na dole było jak w piecu hutniczym. Słońce prażyło wprost na błyszczące, oleistoczarne grzbiety spoconych Zulusów, którzy wpychali ciężkie bale włókna kokosowego między skrzynie a kadłub "Tulsara".

- Chronią naskórek - odpowiedział Gerrard na pytanie Holdena. - "Tulsar" nie jest przeznaczony do przewozu drobnicy. Gdyby skrzynie poluzowały się podczas sztormu, rozwalibyby burtę z taką łatwością, jak psy cyrkowe przebijają papierową obręcz.

Zakończywszy obchód, wrócili na pokład. Josephine zauważyła, jak wychodzili, i osaczyła ich zręcznie dzierżąc w dłoni notatnik, który stał się niezbędną częścią jej ekwipunku jako płatkina na "Tulsarze".

- Kapitanie - powiedziała z ożywieniem - opracowałam plan rozmieszczenia osób w restauracji na pierwszy tydzień podróży i potrzebuję pańskiej akceptacji. Gerrard spojrział na nią poruszony. - Dlaczego ja, moja droga?

Taka odpowiedź wprawiła Josephine w zakłopotanie. - No więc, zwykle kapitan akceptuje listę osób, które będą siedziały z nim przy stole, chyba że pozwoli mi pan...

- Będę jadł razem z załogą, jak zawsze - zdecydował Gerrard patrząc wyzywająco na Josephine, jakby prowokował ją do sprzeczeki.

Josephine podjęła wyzwanie. - Nie może pan - odcięła się - stół kapitański w dobrym tonie jest dla pasażerów jedną z atrakcji towarzyskich związanych z przebywaniem na pokładzie.

Holden uśmiechnął się lekko na widok zakłopotania Gerrarda.

- Wątpię, czy kapitan Gerrard byłby atrakcją towarzyską.

- Racja - burknął Gerrard, wdzięczny za spostrzegawczość - nie będę atrakcją towarzyską.

- Nie ma też smokingu - dodał lakonicznie Holden.

- Racja - potwierdził Gerrard, świadom, że Holden uśmiecha się do niego. -

Powiem pani coś, moja droga. Skoro pan Holden jest właścicielem, niech on czyni honory domu.

Uśmiech zniknął z twarzy Holdena. Josephine odwróciła się w stronę Anglika i przyjrzała mu się krytycznie. Kiwnęła głową w stronę Gerrarda:

- W porządku, kapitanie, zgoda - jeżeli uważa pan, że pasażerom wystarczy namiastka.

22

Po południe 25 lutego zastało Gerrarda mierzącego z mostka groźnym wzrokiem podekscytowanych pasażerów i tłum gapiów kłębiący się przy schodkach prowadzących na pokład "Tulsara".

Ci, którzy akurat nie próbowali krzykiem zwrócić na siebie uwagi Josephine, albo dokonywali ostatnich zakupów u czeredy zuluskich kobiet, sprzedających naszyjniki w jaskrawych kolorach, albo potykali się o bagaże wynoszone z autobusu przez wynajętą służbę. Dwóch celników ustawiło drewniany stolik i jęli wypisywać tajemnicze znaki na skrzyniach i walizach podróźnych, co najwidoczniej obywatelom się bez sprawdzania ich zawartości. Dwie zakonnice, urszulanki, tworzyły czarną oazę spokoju, siedząc na skrzyni i odmawiając różaniec, podczas gdy nowo poślubiona para, przybyła zeszłej nocy z Kapsztadu, ignorując panujący wokoło chaos obejmowała się ciasno ramionami, zamknięta w swym kokonie szczęścia. Josephine zazdrościła im, próbując uspokoić panią Rose Lewis, lecz nie dając się przy tym wyprowadzić z równowagi.

- Zapewniam panią, pani Lewis, że nie będzie pani musiała dzielić z nikim kajuty. Kajuta będzie wystarczająco przestronna.

Pani Rose Lewis, surowa Kanadyjka, była właścicielką kilku sporych podbródków i jednego małego, zażenowanego męża, który stał obok i bardzo tego żałował.

- Musi mieć także otwierane okna. Herbie i ja mamy problemy z oddychaniem w nocy, brak nam powietrza. Prawda, Herbie?

- Tak, Rose - posłusznie potwierdził pan Lewis. Nie miał kłopotów z oddychaniem, lecz jego żona była zdania, że jej dolegliwość, podobnie jak długi za kosztowne stroje, które zwykła zaciągać, można przelewać na męża.

Josephine ułagodziła panią Lewis paroma nie sprecyzowanymi bliżej obietnicami i zaraz została wciągnięta w dyskusję między panem Eli Vanson i jednym z celników na temat złotej pięćdziesięciodolarówki, którą pani Eli Vanson nosiła na szyi.

- Przepisy mówią wyraźnie, sir - rzekł uprzejmie celnik - wywóz złota z Wielkiej Brytanii i krain Imperium jest zabroniony na mocy przepisów stanu wyjątkowego.

- Na miłość boską, przecież to jeden z moich ślubnych prezentów dla niej - warknął rozwścieczony Eli Vanson. Podczas swej pierwszej wizyty w Afryce Południowej oboje z małżonką odkryli, że brytyjscy celnicy są najbardziej odpychającymi typami na całej planecie.

Odwrócił się ku Josephine. - Mogłaby to pani wytłumaczyć temu idiocie, panno Britten?

- Przepisy mówią bardzo wyraźnie - powiedział niewzruszenie celnik - wolno wywozić biżuterię osobistą, lecz nie wolno złotych monet i sztabek.

Spór zakończyła interwencja drugiego celnika, starszego rangą.

Wyciągnął wagę i odważniki do ważenia metali szlachejnych i oświadczył, że Departament Ceł i Opłat Jego Wysokości ma prawo do zakupu złotej monety po cenie rynkowej, dodając przepaszająco, że ma za zadanie dopilnować, by jedyne złoto na pokładzie "Tulsara" znajdowało się w plombach podróźnych.

Josephine otwarta drzwi kajuty. - Numer sześć, panie Holden - oznajmiła radośnie. - Pana dom na następne kilka tygodni.

Holden przyjrzał się ciasnej kajucie bez entuzjazmu. Koja przymocowana do jednej ściany zajmowała większą część powierzchni podłogi. Przeciwległa ściana mieściła szereg szafek otaczających umywalkę i lustro. Poniżej jednego okna stało małe biurko z krzesłem. - Nie tak wyobrażałem sobie luksusową kabinę właściciela statku - skrzywił się.

- To największa kajuta na statku, o piętnaście centymetrów dłuższa z każdej strony. Zmierzyłam osobiście.

- Bardzo ładnie z twojej strony, Jo.

- Skoro jest pan przyzwyczajony do wszystkiego, co najlepsze, powinien pan to dostać. Oczywiście jeśli się panu nie podoba, może pan tylko sobie robić wyrzuty, że nie kupił pan większego statku. Przełączniki klimatyzacji znajdują się obok łóżka, a nad biurkiem jest przycisk przywołujący. Jeden raz na stewarda kabinowego, dwa razy na kelnera.

- Ile razy na ciebie?

- Mój gabinet-kabina otwarty będzie od ósmej do ósmej codziennie. W razie mojej nieobecności zostawię kartkę na korespondencję.

- Będę z niej często korzystał - obiecał Holden.

Josephine wypuściła klucz z rąk na koję. - W szufladzie jest kartka z porami posiłków. - Podeszła do drzwi. - Życzę panu miłej podróży, panie Holden. Kramer zdołał wślizgnąć się na pokład nie zauważony. Jak inni pasażerowie wszedł po schodach, trzymając w jednej ręce walizkę ze swoją przenośną radiostacją "Afu", a w drugiej torbę podróżną. Wybrał chwilę, gdy na statku i wokół panował ogólny rozgardiasz, z tłumem pasażerów, багаżowych, riksarzy i gapiów zebranych przed statkiem i na pokładzie. Przepacerował się po statku niedbale, zatrzymując się tu i ówdzie, by przypatrzeć się fragmentom konstrukcji, które go zainteresowały, kiwając głową do pasażerów czyniących to samo. Mała ich grupka patrzyła w górę na hydroplan firmy Northrop i dyskutowała o jego przeznaczeniu. Nie zwrócili uwagi, gdy przeszedł obok nich i skierował się ku prawej stronie rufy, gdzie wisiała najbliższa szalupa ratunkowa, niewidoczna z mostka ani nadbrzeża. Była podciągnięta wysoko na zakrzywionych ramionach żurawi. Kramer modlił się w duchu, by nie wybrano jej do ćwiczeń instruktażowych. Upewnił się, że nikt nie patrzy, i wyciągnął rękę, poluzowując linkę podtrzymującą płótno, którym przykryta była szalupa. Wepchnął do łodzi radiostację i torbę podróżną, po czym chwycił się okrężnicy i podniósł do góry. Stoczył się do środka łodzi i błyskawicznie przesunął płótno do pierwotnej pozycji. Chwilę siedział skulony w ciemności, wsłuchując się w nadchodzące dźwięki, by wyłowić te, które zwiastowałyby, że jego wejście do szalupy zostało zauważone. Gdy upewnił się, że wszystko w porządku, wyciągnął latarkę z torby podróżnej i przyjrzał się wnętrzu swego nowego domu. Szalupa ratunkowa miała prawie dziesięć metrów długości i wyposażona była w pięć par wioseł. Szafki pod krótkimi pokładami z obu końców łodzi były dobrze zaopatrzone w puszki z żywnością, a pod każdą z pięciu ławek znajdował się pełny zbiornik słodkiej wody o pojemności dwustu litrów. Były nawet koce w wodoszczelnych pokrowcach. Schował plany "Tulsara" pod oparciem z desek i zajął się urządzeniem swego mieszkania.

Josephine pożegnała się już ze wszystkimi w hotelu, nie bawiąc się w zbytne sentymenty, zmarszczyła więc brwi ze zniecierpliwienia, gdy Jenny zastukała nieśmiało do jej otwartych drzwi i weszła do kajuty.

- Zaraz jak wyszłaś, przyszedł do ciebie telegram - powiedziała. Otworzyła torebkę i podała Josephine kopertę. - Pan Thorne mnie przysłał. Powiedział, że może to być coś bardzo ważnego.

- Dziękuję, Jenny. Miło, że przysłałaś.

- Będzie mi ciebie brakowało. Bez ciebie nie będzie tak samo. Na pewno wyjdzie z tego okropny bałagan. Zrobię podwójne rezerwacje na wszystkie pokoje, czy coś w tym rodzaju.

- Dasz sobie radę. Pamiętaj, nigdy nie złość się na gości hotelowych. Jeśli odpowiesz uprzejmością na nieuprzejmość, zrobi im się głupio. Sprawdza się zawsze.

- Będę pamiętać - obiecała Jenny.

Josephine otworzyła kopertę, gdy została sama.

TATA NIE POSIADAŁ SIĘ Z RADOŚCI KIEDY MU POWIEDZIAŁAM ŻE WRACASZ DO DOMU STOP LEKARZE MÓWIĄ ŻE POWINIEN ZOSTAĆ W SZPITALU BO SAMA NIE DAM SOBIE Z NIM RADY STOP DALEJ JEST SŁABY ALE CAŁY CZAS MYŚLI O TOBIE STOP JEST MU PRZYKRO Z POWODU WSZYSTKIEGO CO SIĘ STAŁO STOP TWOJA KOCHAJĄCA MATKA

Gdy Josephine chciała się zabrać do powtórnego przeczytania telegramu, w jej drzwiach nagle pojawił się świeżo upieczony mąż. Przez chwilę z zażenowaniem zagadywał o niczym, by wybuchnąć niezadowoleniem z powodu piętrowych koi, z którymi on i jego żona musieli sobie jakoś radzić. Był to jeden z problemów, które nigdy nie występowały w hotelu lub na dużym statku. Josephine zdała sobie sprawę, że bycie płatnikiem na "Tulsarze", mimo iż niełatwe, nie będzie przynajmniej nudne. Kramer wepchnął swój nóż w mocne brezentowe płótno pokrywające szalupę nad jego głową i poruszał nim w tył i w przód, zanim otwór nie stał się na tyle szeroki, że umożliwił mu normalne oddychanie i zapewnił wystarczającą ilość światła w dzień, by nie musiał używać latarki. Rozpakował swą torbę podróżną i na jednej z ławek położył w zasięgu ręki Walthera P-38. W razie gdyby go odkryto, chciał drogo sprzedać swe życie.

Minutę przed północą pilot zarządził wybranie cum. Dwóch robotników portowych odczepiło przednie i tylne cumy, a mały holownik portowy zaczął delikatnie odpychać "Tulsara" od nadbrzeża. Nieruchoma sylwetka pilota w samej koszuli stała w łagodnej poświacie z oprawy kompasu i rzucała polecenia: wolno do tyłu - prawa, wolno do przodu - lewa.

"Tulsar" obrócił się powoli na kilu, aż dziób osiągnął środek geometryczny naturalnej zatoki Port Natalu.

Tylko Gooding wyszedł pożegnać statek o tak późnej porze. Dla spoconych Murzynów, ładujących łód na kutry rybackie w wilgotną noc, "Tulsar" był jeszcze jednym statkiem białego człowieka wychodzącym w morze, którego tradycyjnie się obawiali.

- Obie wolno do przodu - krzyknął pilot do Brody'ego stojącego przy sterze.

- Obie wolno do przodu - powtórzył Brody, posłusznie wykonując polecenie.

- Widziałem wasz nowy dziób - powiedział pilot, szukając paczki papierosów w kieszeniach swej kurtki. - Wygląda zgrabnie, muszę przyznać, ale statek, który dostał takiego szturchańca, nigdy nie będzie ten sam.

- Tak się nie odpływa - powiedziała pani Vanson do swego męża, który stał obok niej na pokładzie. - Powinna być orkiestra, i serpentyny, i sireny okrętowe, a nie tak wyslizgiwać się w nocy, jak złodzieje.

- Kochanie, teraz, jak już płyniemy do domu, nie obchodzi mnie, jak

odpływamy.

Gerrard oparł się o barierkę, paląc wymiętoszone cygaro hawańskie, i patrzył na przesuwające się światła portowe, pozwalając swym zmysłom dostroić się do "Tulsara". Nareszcie przytłumiony pomruk turbin i miękki dźwięk telefonu do maszynowni zastąpił przyprawiający o dreszcze huk nitownic i młotków spawaczy. "Tulsar" znów stał się statkiem, żywą istotą wokół niego, nie zaś bezsilną masą żelastwa na łasce obojętnych stoczniovców i równie obojętnych szczerów lądowych, którzy zupełnie nie znali się na statkach.

Josephine obudziła się, uświadomiwszy sobie, że statek płynie.

Wykrzywiła usta i usiadła na łóżku - podanie wina na przyjęciu powitalnym, które zorganizowała dla pasażerów, było pomyłką.

Odsłoniła okienko i spoglądała na ciemny, garbaty zarys Bluffu cicho przesuwający się do tyłu. Latarnia morska omiatała horyzont snopami światła. Przez kilka minut patrzyła na oddalający się kraj, który dał jej niezależność, nie szcędząc zarazem twardych, lecz wdzięcznie przyjętych lekcji przetrwania. Teraz chciała tylko, by „pulsar” jak najszybciej dowiózł ją do Nowego Jorku, żeby mogła pogodzić się z ojcem, zanim nie będzie za późno, lecz wiedziała, że wróci znów do Afryki Południowej.

Ukryty w szalupie ratunkowej Kramer poruszył się i otworzył oczy w ciemności. Przez sekundę dziwne odgłosy i obce kołtysanie sprawiły, że omal nie wpadł w panikę, nim zdał sobie sprawę, że "Tulsar" płynie. Wyciągnął dłoń, a dotyk zimnej stali pistoletu i noża dodały mu otuchy. Uspokojony, zasnął znowu.

"Tulsar" wypłynął poza Bluff i uniósł się na pierwszej fali chłodnego Oceanu Indyjskiego, jakby wzdychając z ulgą po uwolnieniu się z wiążących go objęć zamyślonych, poszarpanych wzgórz strzegących kontynentu afrykańskiego.

CZĘŚĆ DRUGA

Walka

1

Kurt Milland czuł okropny ból w tym, co pozostało z jego prawej nogi, i był pewien, że krew zaczyna się sączyć przez niemiłosiernie otartą skórę. Jeszcze pięć minut tego piekielnego chodzenia, pomyślał, a skórzana pochwa jego sztucznej nogi będzie zbyt wilgotna, by utrzymać kikut. Spróbował napiąć pas naramienny przez koszulę, wkładając rękę pod płaszcz, lecz oznaczało to, że musiał puścić uchwyt barierki na wąskim chodniku z desek. Prawą stopą zaczepił o zwój liny i zatoczył się na dwóch mężczyzn, którym tak rozpaczliwie chciał dotrzeć kroku w drodze ku czterem gigantycznym hangarom Germania Werft Kruppa, stoczni budującej łodzie podwodne. Admirał Staus podtrzymał Millanda i spojrzął na niego z niepokojem. - Dobrze się czujesz, Kurt?

Milland zacisnął zęby i przytaknął, świadom, że dyrektor stoczni przygląda mu się z pogardą.

- Jak daleko jeszcze? - zapytał Staus.

Cywil wskazał na ukończoną już łódź podwodną, którą pokrywano właśnie ostatnią warstwą szarej farby. Była oddalona o pięćdziesiąt metrów, zacumowana przy betonowym nadbrzeżu w towarzystwie dwóch pokrytych rdzą kadłubów łodzi podwodnych, które jeszcze przed wykończeniem wyglądały na zużyte. Hałas licznych uderzeń młotów i fontanny ognia z palników żukowych wytryskujące z otwartych hangarów podsuwały myśl, że zakłady Kruppa rozbierają łodzie podwodne, zamiast je budować.

Trzech mężczyzn szło powoli wzdłuż nadbrzeża i zatrzymało się obok łodzi

podwodnej. Po raz setny tego zimnego ranka Milland zastanawiał się, dlaczego przerwany został ważny program szkoleniowy, a on przywieziony do Kilonii, żeby przyrzeć się łodziom podwodnym w budowie - nie interesował się budową łodzi podwodnych, jego zadaniem było kształtowanie mężczyzn, którzy mieli zabrać je na wojnę.

- Niezła łódka, prawda, Kurt? - powiedział Staus.

Milland próbował zapomnieć o bólu w prawej nodze i jeżeli nie zainteresowanym, to przynajmniej doświadczonego okiem obrzucił nową łódź. Był to typ IXD, oceaniczny, o wyporności 1600 ton - dwukrotnie więcej, niż będące już w akcji. Milland czytywał wielokrotnie o nowych łodziach i powątpiewał w ich użyteczność; taktyka nocnych ataków na powierzchni zaczynała zdawać egzamin. Nauczano jej we flotyllach treningowych wyposażonych głównie w niewielkie łodzie podwodne z małymi wieżyczkami obserwacyjnymi, trudnymi do zauważenia przez obserwatorów konwojowych. Milland zdecydował, że jeżeli dowództwo zaprosiło go, by popatrzył na nowe podwodne krążowniki oceaniczne, powie dokładnie, co o nich myśli.

- Kawał łódki - powiedział do admirała Stausa. - Ale za duża do zamaskowanych ataków nocnych na konwoje.

Staus zachichotał. Na Millandzie można było polegać w kwestii szczerości. - Wyobraź sobie, Kurt, że nie do tego są przeznaczone.

- Z całym szacunkiem, admirale, nie powinniśmy budować łodzi w żadnym innym celu, jak tylko zatapianie okrętów wroga. Skuteczność łodzi podwodnej nie jest proporcjonalna do wielkości, co ma miejsce w przypadku innych okrętów wojennych. Dyrektor spojrzął ze złością na Millanda. - Te łodzie mają zanieść ofensywę na dalekie wody - Pacyfik i Daleki Wschód.

- Myślę, że powinniśmy wejść na pokład - szybko wtrącił Staus.

Dyrektor poprowadził gości po kładce na osłonę przedniego pokładu łodzi. Milland przeraził się rozmiarami pokładu, domyślając się, że długość łodzi przysporzy szczególnych problemów załodze próbującej zapobiec wystawianiu dzioba nad powierzchnię w zanurzeniu peryskopowym. Utrzymanie równowagi było największym problemem głównego mechanika łodzi podwodnej. Minęli solidnie wyglądające 88-milimetrowe działo zamontowane z przodu i wspięli się po metalowych stopniach przyspawanych do jednego z boków Wieżyczki. Milland umiał sobie radzić z drabinami, gdyż wyrobił mięśnie rąk i ramion do tego stopnia, że mógł wspinać się wyłącznie za pomocą rąk.

Szywno przerzucił prawą nogę przez barierkę ochraniającą wielolufowe działo przeciwlotnicze i wszedł za dyrektorem i admirałem Stausem do tonącego w półmroku pomieszczenia kontrolnego.

- Witam na pokładzie U-330 - rzekł tajemniczo dyrektor.

Millandowi przysła do głowy pewna myśl, gdy rozglądał się po obszernym pomieszczeniu. - Czy to flotyle treningowe mają być wyposażone w te łodzie, admirale?

Staus uśmiechnął się. - Nie sądzę, Kurt. A zwłaszcza w tę. Tylne przedziały torpedowe zostały usunięte, więc nie nadawałyby się do ćwiczeń załogi torpedowej.

Milland był zaskoczony. - Dlaczego usunięto przedziały torpedowe?

- Żeby zrobić miejsce dla diesla Maybacha - odpowiedział dyrektor. -

Olbrzymie, dranie - każdy ma cztery tysiące koni. Dwadzieścia pięć węzłów na powierzchni - najszybsza nasza łódź podwodna kiedykolwiek zbudowana.

Trzydzieści osób pracowało po piętnaście godzin na dobę, żeby ją przygotować.

Radar, dodatkowe zbiorniki z paliwem, żeby zwiększyć zasięg do 22 tysięcy mil, wszystko. I jeszcze nie skończyliśmy. Dzisiaj ściągamy działło 88-milimetrowe i montujemy na to miejsce 104-milimetrowe, szybkostrzelne, a także poczwórne 20-milimetrowe działło przeciwlotnicze na tylnym pokładzie. - Przerwał. - Zanim skończymy, ta łódź będzie miała większą siłę ognia niż "Tirpitz" i będzie prawie tak samo szybka.

Milland spojrział krzywo na Stausa. - Nie rozumiem, admirale. Co ja mam z tym wspólnego?

Staus skinął głową na dyrektora. - Dziękuję, proszę nas teraz zostawić samych.

Dyrektor posłusznie wyszedł z pomieszczenia kontrolnego. Staus wskazał Millandowi miejsce. Oficer usiadł z wdzięcznością na koi i wyprostował nogę, by dać jej odpocząć. Spojrział pytająco na swego zwierzchnika.

Staus sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął zapieczętowaną kopertę Kriegsmarine, którą zaczął się bawić, zbierając myśli.

- Kurt - zaczął - pamiętasz, jak mi opowiadałeś o swoich dawnych kontaktach z Robertem Gerrardem, człowiekiem, który zatopił w grudniu U-497 na Oceanie Indyjskim?

- Tak, admirale - odparł Milland, wyczuwając nadchodzące kłopoty.

- Z naszej rozmowy sporządziłem rutynowy raport. Sam rozumiesz, nie było w nim nic osobistego o tobie. Oczywiście sądziłem, że cała sprawa wzbudzi trochę szumu i zostanie zapomniana. Lecz nie została. - Staus przerwał i postukał palcami w kopertę. - To, co ci teraz mam powiedzieć, Kurt, jest ściśle tajne i może zostać wyjawione tylko na warunkach podanych w tym rozkazie. 25 lutego "Tulsar" wypłynął z Durbanu do Anglii z ładunkiem dwustu ton złota - resztkami rezerw aliantów. Bez nich nie będą mogli kontynuować tej bezsensownej wojny. Führer wydał rozkaz, że łódź podwodna ma przechwycić "Tulsara", a zatopić, jeżeli okazałoby się to niemożliwe. Właśnie ta łódź podwodna.

Milland nagle zdał sobie sprawę, dlaczego został tu przywieziony z Wilhelmshaven. - Mam odbyć odprawę z nowym kapitanem tej łodzi, admirale?

Staus pokręcił głową. - Nie, Kurt - ty jesteś kapitanem tej łodzi.

Milland szeroko otwartymi oczyma spoglądał na zwierzchnika zapomniawszy o bólu w nodze. - Jestem kim?

Staus powtórzył i wyciągnął kopertę w kierunku Millanda, który przyjął ją zdrętwiałymi palcami. - Mimo twojego kalectwa, OKW zdecydowało, że powinieneś objąć dowództwo tej łodzi. Załatwię przysłanie twoich rzeczy z Wilhelmshaven. Twoja załoga przybędzie, jak tylko uda mi się ją zebrać. Nie ma czasu na przeszkolenie wstępne, więc będziesz musiał je przeprowadzić en route na przyjęcie "Tulsara".

Milland spoglądał na Stausa, prawie nie rozumiejąc, co ten do niego mówi.

- Muszę wiedzieć jedno - powiedział Staus. - Kiedyś mówiłeś mi, że Robert Gerrard jest zdecydowany na wszystko.

- Bezwzględny - dopowiedział Milland, trzymając kopertę tak, jakby spodziewał się, że wybuchnie.

- Skoro tak, zdobycie "Tulsara" nie będzie łatwe. Będziesz chyba musiał ostrzelać go...

- Chyba rozumiem, co chce pan powiedzieć, admirale - przerwał nagle Milland. - Jeżeli będę musiał zabić Roberta Gerrarda, nie zawaham się.

Milland kuśtykał wzdłuż nadbrzeża z podniesionym kołnierzem, 5 marca bowiem wiał gryzący zimny wiatr znad Bałtyku, niosąc ze sobą zamieć śnieżną. Podszedł do dziobu U-330 i oparł się pokusie popatrzenia na swą pierwszą placówkę. Obrócił swe ciało na lewej nodze i wrócił wzdłuż łodzi. Dwaj ludzie, zakładający wiązki anten stacjonarnych wokół krawędzi wieżycy obserwacyjnej, z minami winowajców wrócili do pracy, gdy ujrzeli Millanda patrzącego na nich wilkiem.

Milland naciągnął mocniej na głowę czapkę z daszkiem i spojrzął na zegarek. Spóźniali się. Po trzech dniach opóźnień, podczas których stocznia skorzystała z całego repertuaru wymówek - z czasem wymyślając nowe - Milland miał dość. Chciał zabrać swoją łódź i wyprowadzić przez Kanał Kiloński i Morze Północne na wojnę, z dala od ogłupiającego bagna zamówień magazynowych, sprawozdań o awariach sprzętu, kart przyjęć i poprawek. Nie do wiary, przez jaką ilość papierkowej roboty trzeba było przebrnąć, by łódź podwodna została przyjęta jako gotowa do akcji. Jedną tylko formalność celowo ominięto: ceremonię przyjęcia okrętu do służby. U-330 była łodzią-widmem. Jej sekretna misja miała taką wagę, że w rejestrach Kriegsmarine U-330 nie istniała.

Z drugiej strony nadbrzeża, obok wejścia do portu, wyłonił się autobus i jechał turkocząc w kierunku Millanda przez pokryty kałużami asfalt. Pojazd zatrzymał się i wysiadło z niego dwudziestu mężczyzn w cywilnych ubraniach, wyciągając swe walizki i torby podróżne z bagażnika. Milland zauważył, że ktoś przytomny nie dał im toreb wojskowych. Wśród nich rozpoznał kilka osób, które przeszły przez jego ręce we flotylli ćwiczebnej. Był Munt, główny mechanik, o którego Milland specjalnie prosił Pierwszą Flotyllę, i Hans Fischer, nieszczęsny oficer, który pogiął łódź podwodną w Wilhelmshaven.

Jeden z nowo przybyłych ujrzał biel czapki Millanda i ostrożnie podszedł ku niemu. Milland przyjrzał mu się z uwagą. Wyglądał zbyt młodo, by mógł być jego pierwszym oficerem. Odpowiedział na salut.

- Kapitan Milland?

- Tak.

Młody mężczyzna uśmiechnął się. - Dzień dobry, kapitanie. Jestem Leutnant Peter Sarne. Przywiozłem panu załogę.

- Bardzo dobrze, panie Sarne. Zbiórka w dwuszeregu. Oficerowie i podoficerowie z przodu.

- Tak jest, kapitanie - powiedział żywo Sarne. Wyjął kopertę. - List od admirała Stausa. Prosił mnie o przekazanie najlepszych życzeń powodzenia w pana nowej misji - tu zawahał się - ja chciałbym dołączyć swoje własne, kapitanie.

- Jest pan Bawarczykiem, panie Sarne?

- Tak jest, kapitanie - brzmiała wesoła odpowiedź Sarnego. - Monachium

- perła południa. Na kursie oficerskim powtarzali mi zawsze, że mój akcent będzie przeszkodą w karierze.

Milland o mało się nie uśmiechnął. - Niech pan uważa, żebym ja nie stał się większą - ostrzegł.

- Będę uważał, kapitanie - zapewnił gorąco Sarne.

Teraz Milland uśmiechnął się. Niefrasobliwy dobry nastrój Sarnego będzie cennym skarbem podczas długiej misji, którą mieli przed sobą.

3

Gerrard pstryknął niedopałek cygara do wody i odwrócił głowę ku Holdenowi.

Obaj mężczyźni znajdowali się na mostku "Tulsara".

- Panie Holden - wycedził Gerrard. - Sądzę, że wyraziłem się jasno - jestem kapitanem i skoro mówię, że popłyniemy zygzakiem przez Ocean Indyjski, to popłyniemy zygzakiem przez Ocean Indyjski.

- Robimy to już od dziesięciu dni - zauważył Holden. Gerrard wzruszył ramionami. - Nie moja wina, że koło Kapsztadu są dwa niemieckie okręty pościgowe. Jak tylko Simmonstown da sygnał, że droga wolna, płyniemy do Kapsztadu, lecz nie wcześniej.

- Kiedy nadeszła ostatnia wiadomość z Simmonstown?

- Dwa dni temu.

Holden beznamytnie przyjrzał się amerykańskiemu marynarzowi.

- W przyszłości chciałbym znać wszystkie nadchodzące sygnały.

- To zwykłe ostrzeżenia dla wszystkich statków. Chce pan też prognozy pogody?

- Chciałbym znać wszystko, kapitanie.

Gerrard znów wzruszył ramionami i wyjął zmiętoszone cygaro z kieszeni bluzy.

- W porządku. Powiem Jackowi Colby'emu.

- Jest jeszcze coś - rzekł Holden. - Codziennie rano pan i ja ustalimy plan podróży na następne dwadzieścia cztery godziny.

- Niemożliwe - odparł Gerrard, zapalając cygaro.

- To rozkaz, panie Gerrard.

Gerrard uśmiechnął się szeroko. - Jeżeli chce pan wiedzieć z góry to, czego ja sam nie wiem, lepiej będzie, gdy przejmie pan dowodzenie "Tulsarem".

Holden pozostał niewzruszony. - Kapitanie, chcę tylko...

- A ja, panie Holden, chciałbym tylko powiedzieć, że jeśli chce pan, żeby statek bezpiecznie dotarł do miejsca przeznaczenia, niech mi pan zostawi prowadzenie statku. Pan się martwi o ładunek, ja o statek. Dobrze?

- Chcę tylko trochę współpracy z pana strony.

Gerrard roześmiał się. - Powiem panu coś, panie Holden. Niech pan pójdzie do jakiego chce baru portowego od Sydney do Bostonu i zapyta, co Robert Gerrard sądzi o współpracy. Powiedzą panu - nie wie nawet, co to słowo znaczy. Może nie prowadzę teraz statku wielorybniczego, ale nic się nie zmieniło. Jestem samotnikiem, panie Holden. Zawsze byłem i będę.

4

Milland wmasowywał właśnie spirytus w prawą nogę, by zahartować skórę, uwrażliwioną przez nie kończące się chodzenie po stoczni, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Zaletą oceanicznych łodzi podwodnych była wystarczająca ilość miejsca na osobną kabinę dla dowódcy.

- Wejść!

Był to Sarne. Oczy otwarły mu się szeroko, lecz szybko opanował zaskoczenie na widok obciętej nogi Millanda.

- Kapitanie, mijamy właśnie Helgoland. Chciał pan wiedzieć.

Milland chrząknął, założył nową skarpetkę na szczątek prawej nogi i ruchem ręki pokazał Sarnemu, by usiadł.

- Co pan myśli o naszej załodze, Sarne?

- Wolałbym odpowiedzieć za dwa tygodnie, kapitanie.

- Niech pan powie teraz - zachęcił łagodnie Milland.

- Potrzebujemy rejsu ćwiczebnego. Ćwiczeń z zanurzania, cichego płynięcia, strzelania...

- Będziemy mieli na to dość czasu - przerwał Milland - Ale za parę dni będziemy w środku trasy konwojów. - A skoro wypłynęliśmy poza Helgoland, mogę panu teraz wyjawić cel naszej wyprawy. Nie interesują nas statki - ścigamy jeden określony statek.

Gdy Milland w krótkich słowach opisał cel misji U-330, blada młoda twarz Sarnego wydawała się stawać jeszcze bledsza, lecz gdy Milland skończył, zademonstrował zdolność koncentrowania się na problemach praktycznych.

- "Tulsar" nie jest eskortowany, kapitanie?

- Nie, bo jest szybki.

- Więc jak możemy mieć nadzieję, że odnajdziemy go na Atlantyku?

- Mamy aparat DT - radar i najnowszy hydrofon, który może wykryć szum śruby okrętowej z odległości pięćdziesięciu mil.

- W sprzyjających warunkach - zauważył Sarne.

- Na pokładzie statku mamy dwóch agentów - powiedział Milland.

- Jeden z nich ma radiostację, za pomocą której co dwadzieścia cztery godziny będzie przekazywał nam położenie "Tulsara", a drugi jest jednym z pasażerów. - Milland uśmiechnął się, widząc wyraz zaskoczenia na twarzy Sarnego. - Myślę, że mamy wspaniałą szansę na zdobycie "Tulsara", panie Sarne. Sarne wrócił do pomieszczenia kontrolnego, włożył nieprzemakalny kombinezon, na który naciągnął ciepłą bluzę. Dołączył do czterech obserwatorów na mostku, którzy śledzili horyzont przez lornetki, wypatrując śmiertelnego wroga łodzi podwodnych - samolotu.

U-330 szedł z prędkością sześciu węzłów, by zaoszczędzić paliwa, lecz wzburzone morze przelatywało przez pokład, jakby łódź uderzała w nie z prędkością piętnastu węzłów. Ołowiana podstawa chmur rozciągała się z każdej strony po sam horyzont jak całun. Wiatr rozbijał dziobowy pył wodny i bielił coraz grubszą warstwą lodu wielkie 104-milimetrowe działo. Jeden z obserwatorów najwidoczniej cierpiał na chorobę morską, lecz Sarne nie robił nic, najlepszym lekarstwem było wynaleźć dla niego jakieś zajęcie.

Oparł się o rurę peryskopu bojowego, by utrzymać równowagę na kołyszącej się łodzi. Gdy w myślach obracał słowa Millanda, nagle zadał sobie pytanie: skoro ich misja była tak ważna, dlaczego wybrano Millanda na dowódcę? Dlaczego wybrali człowieka, który był kaleką?

5

Dla Kramera jedyne chwile wytchnienia przychodziły w nocy, gdy mógł zaryzykować odwiniecie poły pokrowca szalupy ratunkowej i połykać chłodne, odświeżające porcje nocnego powietrza. Wytrzymał dwa tygodnie w szalupie, mimo że słońce niemiłosiernie prażyło ciemnoniebieski brezent nad jego głową; dwa tygodnie leżał we własnym pocie, prawie nie ośmielając się poruszać, nawet najmniejszy wysiłek bowiem przyprawiał go o zawroty głowy z przegrzania; dwa tygodnie dokuczliwego niepokoju, dlaczego kompas mówił mu, że "Tulsar" płynie zygzakiem na wschód, podczas gdy powinien był obrąć kurs prosto na Kapsztad, na południowy wschód.

Podświetlone wskazówki zegarka pokazywały godzinę 3.30 nad ranem, gdy odsznurował pokrowiec i wstał. Nocne powietrze smakowało jak szampan.

Najpilniejszą potrzebą było teraz odwiedzić toaletę.

Nadśluchiwał uważnie. Jedyным dźwiękiem był nikły pomruk turbin i spokojna fala Oceanu Indyjskiego, przesuwająca się wierzchołkami piany wzdłuż kadłuba "Tulsara". Pewien, że droga wolna, przełożył nogę przez burtę szalupy i cicho

wylądował na pokrytym metalowymi płytami pokładzie.

Pani Rose Lewis szturchnęła wybrzuszenie zwisające z górnej koi.

Wybrzuszenie poruszyło się. - Nie mogę spać, Herbie.

Herbie zachrapał wyraźnie, co oznaczało, że on mógł spać, i co więcej, naprawdę spał.

Pani Rose Lewis westchnęła i zsunęła prześcieradło na skraj koi. W kajucie było niewiarygodnie gorąco, na koi zaś nie było już chłodnego miejsca, które odnaleźć by mogła stopami. Nie mogła się już doliczyć, ile razy przewracała poduszkę. - Chce mi się pić - poskarżyła się w kierunku wybrzuszenia.

- Zadzwoń na stewarda, żeby ci coś przyniósł - wymamrotał Herbie.

- W nocy nigdy nie odpowiadają na dzwonek. To wstyd. Poniżej krytyki. -

Postawiła stopy na podłodze i wstała. - Wychodzę na pokład zaczerpnąć tchu. Nie mogę tu oddychać. - Po omacku znalazła szlafrok i włożyła go. Minutę później wspinała się już po schodach prowadzących na przedni pokład. Stopy jej domagały się kontaktu z zimną stalą.

Kramer przykucał w cieniu wentylatora i nadsłuchiwał przez kilka sekund, zanim puścił się biegiem przez otwartą, piętnastometrową przestrzeń pokładu służącego do oprawiania wielorybów. Dokładnie w tym samym czasie, z precyzją bez zarzutu, pani Rose Lewis pojawiła się w wejściu dla załogi i patrzyła osłupiała na skuloną sylwetkę Kramera biegnącą ku niej.

- No cóż - powiedziała. - Pan pewnie też nie może spać?

Reakcja Kramera nastąpiła błyskawicznie, gdyż nerwy nastawione były na działanie. Skręcił w bok ku pani Lewis i chwycił ją za gardło, zanim zdążyła krzyknąć. Palce wpiły się głęboko w poddające się ciało i mocno zacisnęły wokół tchawicy. Broniła się słabo, kiedy włókł ją wstecz, w stronę kuchni. Pchnięciem otworzył drzwi i zwinnie przygwoździł kolanem do podłogi, szukając noża. Wydała z siebie parę duszących dźwięków i zaczęła walczyć ze zdumiewającą siłą.

Kramer rozerwał jej koszulę nocną i poniżej lewej piersi szukał dotykami przerwy między dolnymi żebrami. Kobieta kopnęła go nagle oboma kolanami w krzyż, prawie że zrzucając z siebie. Żebra ludzkie zbudowane są jak zachodzące na siebie listewki prawie zamkniętej żaluzji, co utrudnia wykonanie pchnięcia z góry, ostrze noża może ześlizgnąć się z żebra na żebro. Kramer wiedział, że prawidłowy cios musi być zadany w górę, i to z dużą siłą, by przebić twardą tkankę międzyżebrową.

Kramer ustawił nóż przy piersi pani Rose Lewis i pchnął, błyskawicznie zmieniając chwyt, by wbić dwudziestocentymetrowe ostrze pełną dłońią. Poczuł nagły skurcz, który przebiegł przez nóż, co powiedziało mu, że przebił serce. Trzymał nóż nadal, by pulsujący organ sam się zniszczył na ostrej jak brzytwa stali noża. Ciało kobiety padło bezsilnie. Puścił nóż. Uchwyt drgał przez chwilę i uspokoił się. Rana nie krwawiła zbyt obficie, gdy wyjął nóż - większość krwi z przedziurawionej komory wypełniła klatkę piersiową.

Kramer spojrział na lewo i prawo, upewniając się, że na pokładzie wciąż nie ma nikogo. Prerażony możliwością zdemaskowania, prędko powłókł ciało kobiety, ciągnąc za łydki, w stronę luku odpływowego, starając się, by spoczywało na plecach i nie zostawiało zdradzieckich plam krwi na pokładzie. Odetchnął, gdy ukrył siebie i zwłoki w cieniu jednego z wysokich wentylatorów. Zastanawiał się, co zrobić z ciałem. Najprościej było wyrzucić je za burtę, ale w tym tkwiło niebezpieczeństwo: gdy rankiem na statku podniesie się alarm i okaże się, że zaginionej nie ma na pokładzie, można było przypuszczać, że Gerrard zawróci "Tulsara". Jako sprawny

żeglarz potrafi wziąć poprawkę na wpływ prądu Mozambickiego. Statek wielorybniczy pełen był ludzi, którzy potrafili obserwować morze. Było możliwe, że ciało kobiety zostałyby znalezione. Trzeba przyznać, szansa była bardzo mała, lecz Kramer czuł, że nie powinien ryzykować. Trzeba będzie zwabić rekiny, by się nim zajęły. Z ich zdolnością wyczuwania krwi w wodzie nie powinno być to trudnym zadaniem. Przeciął koszulę nocną kobiety i zerwał z ciała. Później zrobił dwa głębokie nacięcia przez jej tors, zaczynając od obojczyków, a kończąc na przeciwległym udzie. By całkiem się upewnić, rozchylił jej nogi i pchnął nożem do góry, obracając ostrzem zjadale w ciełe, nim wyciągnął go na zewnątrz. Krew zaczęła płynąć z okropnych ran. Nogą wypchnął ciało przez luk odpływowy. Jeszcze jedno kopnięcie i zniknęło z oczu, wpadłszy bezgłośnie w białą pianę.

Kramer wytarł nóż w koszulę nocną, którą następnie wyczyścił pokład i rzucił w ślad za ciałem pani Rose Lewis.

O czwartej nad ranem Gerrard poszedł na mostek zastąpić Pieta.

- Nowy kurs, zanim zejdziesz, Piet - powiedział Gerrard spoglądając znad żyrokompasu. - Dwa-dwa-zero. Czas płynąć na południowy zachód. Nasz pan Holden zaczyna się skarżyć. Kto jest na wachcie w maszynowni?

- Midge - odparł Piet.

Gerrard uśmiechnął się szeroko, podszedł do telegrafu i dał całą naprzd na obie turbiny. Dzwonek wewnętrznego telefonu odezwał się prawie natychmiast.

Gerrard podniósł słuchawkę i powiedział:

- Żadnych dyskusji, Midge, proszę. Czas, żebyśmy się ruszyli.

"Tulsar" przechylił się łagodnie, gdy Piet obrócił sterem.

Gerrard patrzył, jak bliźniacze wskazówki obrotomierzy stopniowo zbliżają się do maksimum. Ruchowi wskazówek odpowiadał wzrastający pomruk turbin. "Tulsar" zaczął przyspieszać.

6

- O co chodzi, panie Lewis? Spóźni się pan na śniadanie - Josephine dostrzegła niskiego Kanadyjczyka w okularach na korytarzu za drzwiami swej kajuty. Miał nadał na sobie piżamę i szlafrok i wyglądał nieprzytomnie.

- O Rose, panno Britten. Nie widziałem jej, odkąd się obudziłem. Wstała w nocy i wyszła na pokład zaczerpnąć świeżego powietrza. - Herbie patrzył na Josephine z przerażeniem, jakby miał nadzieję, że weźmie ona na siebie kwestię jego zaginionej żony.

- O co chodzi? - zapytał Holden, wyszedłszy z kajuty.

- Pan Lewis zgubił żonę - wyjaśniła Josephine.

- Gdzieś musi być. Pan Holden i ja rozejrzemy się - a pan niech idzie na śniadanie - zaproponowała Josephine.

Gerrard cierpliwie wysłuchał relacji Lewisa z wydarzeń poprzedniej nocy i popatrzył na Josephine i Holdena, stojących po obu stronach nieszczęsnego Kanadyjczyka.

- Sprawdziliście w pustych kabinach?

- Przeszukaliśmy cały statek - powiedziała Josephine - z wyjątkiem ładowni.

Gerrard wstał i spojrzał pytająco na Holdena.

- Cóż, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Holden, sprawdzimy we dwóch ładownię, ale nie mam pojęcia, jak mogłaby się tam sama dostać. Holden poświecił latarką w ostatnią szparę między drewnianymi skrzyniami, przetkanymi matami z włókna kokosowego.

- Nic tu nie ma - krzyknął do Gerrarda.

Amerikanin podszedł do niego i przyjrzał się wąskiemu przejściu. - Może powinniśmy przesunąć parę zwojów.

- Strata czasu - powiedział Holden. Zmarszczył nos z niesmakiem. - Poza tym te maty śmierdzą.

Nagle padł na nich cień. Podnieśli głowy i ujrzeli głowę i tors Pieta w okrągłym luku.

- Mamy coś, kapitanie - oświadczył ponuro Afrykaner. - Ale musimy się zatrzymać.

Wyłączenie turbin obudziło Kramera. Szalupę, w której się ukrywał, co chwilę mijały podniesione głowy. Wiedział, że zniknięcie kobiety wywoła poruszenie na statku, lecz nie znał powodu, dlaczego miało się to odbywać tak blisko jego szalupy. A może coś przeoczył? Plama krwi na pokładzie albo coś nie w porządku z szalupą? Niemożliwe, przecież starał się nie zostawić żadnych śladów, a pokrowiec łożdi był na miejscu. Lodowaty klin strachu nagle urósł mu w gardle - zatrzymano silniki! Szalupa otoczona ludźmi! Oznaczać to mogło tylko jedno - jego szalupa została wybrana do próbnej ewakuacji.

Sięgnął po pistolet i czekał.

Mniej niż cztery metry od miejsca, gdzie Kramer leżał mokry ze strachu, szczebioczący Malajczycy pomagali swemu rodakowi wdrapać się z powrotem na pokład "Tulsara", gdzie Piet wziął od niego trofeum.

Gerrard rozpostarł poplamioną krwią nocną koszulę na stole i spojrział zimno na Lewisa. Kanadyjczyk wziął ją na chwilę do ręki i pokiwał głową.

- Gdzie pan to znalazł, kapitanie? - Okulary pokryły mu się mgiełką. Zdjął je i wytarł szkła chusteczką.

- Niedaleko miejsca, skąd ją pan wyrzucił. Zaczepiła się o wylot skraplacza prawej turbiny.

Lewis zmrzył oczy i spojrział na Holdena. Jasnowłosego Anglik przyglądał mu się zamyślony i nie odzywał się. - Nie rozumiem, kapitanie.

- O krótki kawałek rury wystającej z kadłuba.

- Nie, chodzi o to, co pan powiedział o mnie. - Ręka Lewisa zadrżała, gdy dotknął koszuli nocnej. - Co to za ślady?

- Krew - brzmiała tajemnicza odpowiedź Gerrarda.

- Nie jest to takie pewne - zauważył Holden.

- Wiem, jak wyglądają plamy krwi. Skąd się wzięła krew, panie Lewis? Nie wystarczyło jej popchnąć? A może bał się pan, że będzie krzyczała?

Oczy Kanadyjczyka zaszkliły się łzami. - Nie zabiłem jej. Oskarżając mnie, pozwala pan uciec prawdziwemu zabójcy.

Gerrard wsparł podbródek na rękach. - Panie Holden, co u diabła mamy z nim zrobić?

- Nic nie możemy zrobić, zanim nie dotrzemy do portu - wymruczał Holden.

Umysł jego pracował na przyspieszonych obrotach, rozważając, dlaczego zamordowano panią Rose Lewis i kim był morderca. Był pewien, że jej mąż nie zabił, dlaczego bowiem zidentyfikował jej nocną koszulę?

- Nie chcę wolnego mordercy na moim statku - stwierdził Gerrard. - Piet! Piet van Kleef pojawił się w drzwiach sterówki. - Kapitanie?

Gerrard wskazał palcem na Lewisa. - Zamknij go w przedziale dziobowym. Holden znużonym wzrokiem spojrział w stronę dziobu.

- Nie powinien pan tego robić, kapitanie.

- Zajmowanie się mordercami nie jest może częścią moich codziennych obowiązków na statku - powiedział zimno Gerrard - ale odpowiadam także i za to.
- Zwrócił się do Piet. - Dopilnuj, żeby co wachtę miał z dziesięć minut ruchu.
- Nie może pan tego zrobić - zaprotestował Lewis, gdy Piet ujął go za ramię.
- Przysięgam na Boga, ja tego nie zrobiłem! - Próbował uwolnić się z uścisku, lecz nagle zdał sobie sprawę, że nie ma sensu dalej protestować. W sterówce zapanowała cisza, gdy Piet zabrał Lewisa pod pokład. Holden zdecydował, że nie będzie interweniował; były jeszcze ważniejsze bitwy do stoczenia z Robertem Gerrardem, które postanowił wygrać.
- Ma pan coś do powiedzenia, panie Holden? - zapytał Gerrard.
Holden wydał wargi i potaknął.
- Chciałbym omówić dzienny plan żeglugi, kapitanie...

7

Pięć dni po opuszczeniu Kanału Kilońskiego i wzięciu kursu na północ U-330 dotarła do Koła Polarnego i skierowała się na zachód drogą wokół Islandii przed wejściem w Cieśniny Duńskie i właściwy północny Atlantyk. Droga była długa i męcząca, lecz zmniejszała ryzyko spotkania hudsonów i sunderlandów, wodnopławców jednostek obrony wybrzeża RAF-u na patrolach przeciwko łodziom podwodnym.

Zgodnie z oczekiwaniami Millanda, pogoda wykluczała trzymanie się przez Sarnego dokładnego harmonogramu zanurzeń, ćwiczeń strzeleckich, opanowywania awarii i ewakuacji łodzi. Niemniej jednak załoga była sprawna, a morale wysokie. Otto Munt, główny mechanik łodzi, składał codzienne sprawozdania na temat stanu maszyn, jego wyczerpania paliwa zaś były wyjątkowo dokładne. Co ważniejsze, zgadzał się z podoficerami, a jego mechanicy zapoznali się z niestandardowymi dieslowskimi silnikami Maybacha.

Radiooperatorem U-330 był Dieter Venner - porywczy podoficer z Kolonii. Odpowiadał także za marynarzy obsługujących hydrofony i urządzenia radarowe. Leutnant zur See Hans Fischer, dowódca drugiej wachty na U-330, przyznał, że kiedyś pracował w znakomitej frankfurckiej restauracji, które to wyznaczenie doprowadziło do mianowania go maître d'hotel okrętu. Był więc odpowiedzialny za codzienne menu. Odpowiedzialność uderzyła mu do głowy, a jego ambitne pomysły oczarowania załogi tym, co można było przygotować z ograniczonych w swej różnorodności zapasów okrętu, pogorszyły stosunki. między nim a kucharzem.

Głównym zajęciem załogi w czasie wolnym od obowiązków było snucie domysłów na temat celu misji U-330. Tajemnica otaczająca ich zaokrętowanie na łodzi nasuwała przypuszczenie, że chodzi o coś bardzo ważnego. Przedsiębiorczy mechanik torpedowy zbierał zakłady o to, czy U-330 miała przeprowadzić serię spektakularnych akcji ofensywnych na statki aliantów, idąc w zawody z sukcesami pościgowca "Atlantis". Gdy Sarne i Milland byli razem w pomieszczeniu kontrolnym, wachty z udaną obojętnością przysłuchiwały się ich rozmowom, mając nadzieję, że uda im się wyłowić choć aluzję na temat celu ich wyprawy.

Gdy powiadomiono Millanda, że U-330 jest o godzinę od Cieśnin Duńskich, zdecydował, że czas położyć kres plotkom i spekulacjom. Wszedł do pomieszczenia kontrolnego i patrzył, jak Fischer wypełnia dziennik okrętowy i wykreśla kurs, które to zadanie było praktycznie niewykonalne, gdyż łódź bardzo kołysała, a prędkość ośmiu węzłów bynajmniej nie wpływała na zwiększenie stabilności. - Wszystko w porządku, panie Fischer?

Fischer podniósł wzrok znad dziennika okrętowego. - Tak jest, kapitanie. Obermaschinist Koenig zdążył przytrzasnąć sobie palce pokrywą wężu kontrolnego do przedziału czwartego akumulatorów. Sanitösobermatt Steiner pozszywał go i dał mu zastrzyk morfiny.

Milland zaplanował w myślach, że złoży pechowemu mechanikowi wizytę.

W swych wykładach mnóstwo razy wspominał o konieczności okazywania troski członkom załogi przez zwierzchników, czas było teraz wprowadzić to w życie.

Najpierw należało jednak zająć się czym innym.

- Panie Venner!

Dieter Venner wychylił się ze swej kabiny radiooperatora.

- Na rozkaz, kapitanie?

- Wyłączyć głośnik na mostku. Nie chcę rozpraszać obserwatorów na wachcie. - Milland sięgnął po mikrofon, służący do komunikowania się z załogą.

- Żołnierze U-330 - zaczął, a głos wracał echem do niego przez otwarte wodoszczelne drzwi z głośników rozmieszczonych na łodzi. - Długo zastanawialiście się nad celem waszej misji. Nadszedł czas rozwiać waszą niepewność. Dostaliśmy największe zadanie, jakie ojczyzna kiedykolwiek postawiła przed swymi walecznymi żołnierzami: mamy przyczynić się walnie do szybkiego zakończenia tej bezsensownej wojny!

Milland mówił przez pięć minut, nie przepraszając za częste przypomnianie o uzależnieniu aliantów od złota, którym finansowali swój wysiłek wojenny.

- Imperium Brytyjskie składa się w większości z krajów nierozwiniętych, o niewielkim lub żadnym stopniu uprzemysłowienia, skoro nie mogą korzystać z fabryk europejskich. Tylko Ameryka może zaspokoić ich potrzeby w czołgach, okrętach i samolotach. Wstrzymanie przepływu złota w mgnieniu oka zakończy wojnę... Panowie, złożyłem zapewnienie, że U-330 nie spocznie, póki nie osiągnie celu - a celem zdobycie złota "Tulsara"! To wszystko.

Rozległy się okrzyki radości w maszynowni, w ślad za nimi poszła wachta pomieszczenia kontrolnego. Fischer w zdumieniu gapił się na Millanda, podczas gdy Munt, jego sternik i pilot wodnopłatowca rechotali klepiąc się wzajemnie po plecach. Milland ostrożnie odwiesił mikrofon i napotkał wzrok Fischera.

Znał go na tyle dobrze, by domyślić się, co sądzi ten poważny młody oficer: Ocean Atlantycki rozciąga się na przestrzeni trzydziestu dwóch milionów mil kwadratowych. Jak na miejsce śmiertelnej zabawy w chowanego, większe szansę były po stronie chowającego się.

8

Pot spływał Kramerowi po twarzy i ginął w dwutygodniowym zaroście, gdy nadsłuchując uważnie, upewniał się, czy nikogo nie ma w pobliżu jego szalupy, nim odważył się podnieść skraj brezentu i wyjrzeć na zewnątrz. Było wczesne popołudnie, słońce prażyło z nieokiełznaną siłą.

Tak jak oczekiwał, pokład był pusty. Zawiesił lornetkę na szyi, po czym lekko zeskoczył na pokład. Niedbale oparł się o poręcz na kilka chwil, nadsłuchując, czy nikt go nie zauważył.

Pokład, gdzie umieszczona była jego szalupa, kończył się na rufie, gdzie pochylnia do wciągania wielorybów, chroniona rzędem barierek, opadała ku linii wodnej.

By móc spojrzeć przez prawą burtę, musiał podejść do przodu na pokład do oprawiania wielorybów. Nie było innej możliwości. Szedł zwyczajnie, gdyby ujrano go, jak się skrada - groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Oparł się

o obudowę wentylatora i wymierzył lornetkę w stronę leniwego przylądka. Nie było mowy o pomyłce - ostry jak brzytwa grzbiet skalny sięgający w morze, z przysadzistą wieżą latarni morskiej na końcu: był to Cape Point. Po zygakowatym rejsie na Oceanie Indyjskim, prawdopodobnie w celu ominięcia szlaków handlowych, "Tulsar" wreszcie opływał wystrzępioną rafę Przylądka Iglastego, najbardziej na południe wysuniętą część potężnego kontynentu afrykańskiego, i wpływał na wody Oceanu Atlantyckiego. Ponad siedem tysięcy mil na północ U-330 także wpływała na wody Atlantyku. Myśliwi i jego zdobycz znajdowali się teraz na tym samym łowisku.

9

Agent londyńskiej Komisji Nabywczej patrzył, jak stalowa łapa wędruje do ładowni brytyjskiego frachtowca. Po chwili wyłoniła się stamtąd, ściskając wielką porcję gruzu w swych masywnych palcach. Cegły i fragmenty muru, wyslizgujące się z uchwytu, wpadały do East River, lecz główna część ładunku pozostała nienaruszona. Operator przesunął ramię dźwigu i pociągnął za drążek otwierający łapę. Spadający gruz potęgował jeszcze tumany kurzu wznoszące się nad nadbrzeżem Nowego Jorku między ulicami Wschodnią 59 a 42.

Dwadzieścia statków handlowych pod banderami państw sprzymierzonych czekało zakotwiczonych na redzie na swoją kolej rozładunku.

Ładunek, przywieziony jako balast przez szary północny Atlantyk, zawierał tysiące ton londyńskiego gruzu, wynik realizowanego przez Luftwaffe Blitzkriegu. Resztki pubów, magazynów, sklepów, fabryk i kościołów, z których wiele wybudowano, gdy Broadway był jeszcze indiańskim szlakiem, tworzyło teraz podwaliny terenów odzyskanych na Manhattanie. Gdy ładownie opróżniono i wyczyszczono, statki miały zostać załadowane silnikami samolotowymi, częściami zamiennymi, działami przeciwlotniczymi, karabinami i milionami pocisków, celowników do bombardowania, narzędzi i niezliczonych akcesoriów nowoczesnej wojny.

- I co nowego? - zapytał agent swego towarzysza.

Urzędnik z Departamentu Stanu wsadził ręce do kieszeni i popatrzył na statki.

- Nie możemy wydać ani jednego naboju, nawet w oparciu o postdatowane czeki, zanim złoto nie znajdzie się w Fort Knox, pieczętowanie zaksięgowane. - Nie odrywał wzroku od statków, by nie musieć spoglądać na brytyjskiego urzędnika, który stał obok. - Nasi prawnicy mówią, że "kupno za gotówkę" znaczy to co znaczy.

Agent milczał. Podczas wizyty w Waszyngtonie widział kobietą demonstrację przed Białym Domem, na której transparentach widniały hasła nakłaniające senatorów i kongresmanów, by głosowali przeciwko "Ustawie wojennej Roosevelta z roku 1776". Na innych były napisy w rodzaju "Umowa o pożyczce i dzierżawie pod zastaw naszej wolności!" czy "Następna herbatka w Bostonie - odrzućcie HR 1776".

Był jednak promyk nadziei: nie wszystko udawało się izolacjonistom, Komitet Obrony Ameryki przez Pomoc Aliantom prowadził efektywną kontrkampanię z wykorzystaniem sugestywnych plakatów i całostronicowych ogłoszeń w gazetach. Mimo tych dających otuchę sygnałów wydawało się agentowi, że jedyna część Londynu, która nie skończy pod butami hitlerowców, znajdować się będzie pod stopami nowojorczyków.

10

17 marca, dwie minuty po północy, Kramer zakończył obserwację księżyca i Krzyża Południa za pomocą sekstansu, robiąc po jednym odczycie na górnym i dolnym ramieniu, by zminimalizować błąd pomiaru względem księżyca.

Zasunął pokrowiec i usiadł z notesem, latarką i almanachem morskim w celu obliczenia pozycji "Tulsara" z największą dokładnością, pomimo małego doświadczenia w obsłudze sekstansu. Dwa dodatkowe czynniki uniemożliwiły dokładne obliczenia. Przede wszystkim, po dwóch tygodniach na morzu, nie był pewien, czy zegarek nadal wskazuje dokładny czas. Nawigacja według gwiazd - pomiar wzajemnego położenia księżyca i gwiazd oraz kąta ich wysokości ponad horyzontem, zależy od dokładnego przyrządu do pomiaru czasu. Po drugie, nie był stuprocentowo pewny, jak wysoko ponad horyzontem jest jego szalupa, by móc wprowadzić dokładne poprawki kątowe względem zanurzenia.

Piętnaście minut później miał już obliczone położenie statku, było ono jednak cokolwiek wątpliwe. Szerokość geograficzna powinna być obliczona z dokładnością do pięciu stopni, co oznaczało, że "Tulsar" płynął właśnie na wysokości Walvis Bay na atlantyckim wybrzeżu byłej niemieckiej kolonii Afryki Południowo-Wschodniej. Przypomniał sobie kolegę, "oficera" z Ossewa-Brandwag w Windhoeku. Co noc generał Rudolf Messener miał być na nadsłuchu w oczekiwaniu na wiadomości nadawane przez Kramera, który miał następnie przekazywać dalej na swej silnej radiostacji, pracującej na falach krótkich.

Kramer schował sekstans do futerału i sięgnął po walizkę z radiostacją "Afu".

11

Milland podciągnął się na mostek U-330 i z ulgą wdychał powietrze nie zatrute smrodem potu i ropy. Postawił kołnierz swej skórzanej kurtki i żywo zacierał ręce dla rozgrzania się. Ranek rozpoczynał swój szturm na wschodni horyzont.

- Dzień dobry, kapitanie - powiedział Sarne, wyczuwając, że Milland jest w dobrym humorze.

- Dzień dobry, panie Sarne - odpowiedział Milland. - Garść dobrych wieści na zakończenie wachty. Kwatera główna przekazała nam pozycję "Tulsara". Ich agent na jego pokładzie zasługuje na pochwałę. - Wręczył Sarnemu niebieską kartkę papieru. Młody oficer przyjrzał się jej.

- Dwadzieścia trzy stopnie południowej - dziesięć stopni wschodniej?

- Więc? - spytał Milland.

- Nie sądzi pan, że jak na pozycję statku to niezbyt precyzyjne? Pełne stopnie, żadnych minut?

Milland zaśmiał się cicho. - Jednak lepsze to niż nic, panie Sarne.

Sarne nie odpowiedział. Rozumiał dobrze podniecenie kapitana. Wiadomość była o wiele spóźniona, w duchu obawiali się, że ich agent na pokładzie "Tulsara" został odkryty.

- Mimo wszystko mamy jeszcze kawał drogi, panie Sarne - rzekł Milland uprzejmie. - Najważniejsze, że wiemy, gdzie jest "Tulsar" oraz że nic o nas nie wiedzą. Jest prawie nasz, panie Sarne.

12

Josephine skinęła głową na dzień dobry urszulankom, opartym o poręcz jak para łagodnych wron. Nowożeńcy, nie całkiem już nowo poślubieni, siedzieli po przeciwległych stronach pokładu do oprawiania wielorybów, niedwuznacznie ignorując się nawzajem, podczas gdy inni pasażerowie w małych grupkach dyskutowali ściszymi głosami o morderstwie pani Rose Lewis, temat, który prawie od miesiąca nie schodził z ust. Pan i pani Vanson głośno prowadzili jedną ze swych zajadłych kłótni na temat długich godzin spędzonych przez pana Vansona w restauracji nad kieliszkiem czegoś mocniejszego, kiedy próbował zapomnieć o pani Vanson.

Josephine słyszała piskliwy głos żony potentata cukrowego, gdy szła po schodach na pokład separatora oleju. Pod pokładem temperatura była znacznie wyższa i czuła, jak okładki czasopism, które niosła, przyklejają się jej do rąk. Ściany przepastnego korytarza zbliżały się ku sobie stopniowo, gdy szła w stronę dziobu. Robiła taką wycieczkę dwa razy dziennie. Zastukała w stalowe wodoszczelne drzwi, oddzielające przedział dziobowy od reszty statku.

- Panie Lewis? Nie śpi pan?

Po drugiej stronie drzwi dał się słyszeć ruch.

- Panna Britten? - odpowiedział pełen nadziei głos.

- Dzień dobry, panie Lewis. Znalazłam jeszcze dwa czasopisma. Zostawię je tutaj, a marynarze dadzą je panu po porannej gimnastyce.

- Dziękuję, panno Britten. Jest pani bardzo uprzejma.

- Dobrze się panu spało?

W odpowiedzi było coś przepaszającego. - Niezbyt dobrze, panno Britten ...

Słyszałem jakieś dźwięki. Są coraz głośniejsze, tak mi się wydaje.

Josephine zmarszczyła brwi. - Jakie dźwięki, panie Lewis?

- Nie chciałem wcześniej nic mówić, bo mogłaby pani pomyśleć, że się wygłupiam.

- Jakie dźwięki? - zapytała powtórnie Josephine, trochę zirytowana.

- Takie metaliczne zgrzyty.

Josephine nadsłuchiwała. - Nic nie słyszę.

- Raz są mocniejsze, raz słabsze. - Lewis przerwał. - Chyba coś jest nie w porządku albo ze mną, albo ze statkiem.

- Panie Lewis, porozmawiam z panem Holdenem, żeby pana stąd zabrano.

- Nie powinna pani robić zamieszania z mojego powodu. Obiecała pani.

- Obiecałam, że nie będę rozmawiać z kapitanem. W przeciwieństwie do niego, pan Holden nie jest pozbawiony rozsądku.

Holden zamknął książkę, gdy Josephine usiadła obok niego na wolnym leżaku.

, - Musi pan coś zrobić z tym nieszczęśnikiem zamkniętym w przedziale dziobowym - powiedziała bez ogródek.

- Ja?

- Jest pan właścicielem. '

- Reprezentuję właścicieli - poprawił Holden.

- Co teraz oznacza dokładnie to samo. Trzymanie go tam na dole jest niehumanitarne. Nie zabił swojej żony, i pan wie o tym.

- Czyżby? - zapytał Holden ironicznie.

Josephine wyczuła, że jasnowłose Anglik kpi z niej. Złamała swoje postanowienie i pozwoliła wzbierającej złości przejąć kontrolę nad swym zachowaniem.

- Niech pan posłucha, gdyby choć trochę znał się pan na ludziach, wiedziałby pan, że Lewis nigdy nie zamordowałby własnej żony. O Boże, wystarczy na niego spojrzeć.

- Chodzi ci o jego wyraz twarzy?

- Tak.

- Crippen z pozoru też wyglądał tak, jak gdyby nie był zdolny skrzywdzić nawet muchy, Jo. Powiem ci jeszcze coś - nikt spośród pasażerów ani załogi nie miał motywu do zabójstwa pani Lewis.

- Skąd pan wie?

- Znam przeszłość wszystkich - nawet tych dwóch zakonnic.

Josephine spoglądała na Holdena, podczas gdy on przyglądał się jej z półuśmiechem, który wprawił ją w furję. - Nawet moją?

Holden założył ręce za głowę i popatrzył na bezchmurne niebo.

- Nawet twoją, Jo. Wiem, że twój ojciec jest chory i niewiele mu czasu zostało, a chociaż podróż trwa tak długo, ty nic nie mówisz. Podziwiam cię za to. - Wstał. - Załatwię, co się da, z kapitanem.

13

8 kwietnia, o trzeciej nad ranem, Kramer odchylił brezentowy pokrowiec szalupy i spoglądał na przepych łukowatego sklepienia Drogi Mlecznej na czystym zwrotnikowym niebie.

Skierował lornetkę na pomoc, w stronę, w którą zmierzał "Tulsar", i szybko uchwycił widoczny fragment dyszla Wielkiego Wozu. Dwie gwiazdy w nim znane były marynarzom jako Wskazówki. Kramer odnalazł je i poszedł w ślad za kierunkiem, który wyznaczały na horyzoncie. Prawie natychmiast ujrzał punkt światła. Widział go już wcześniej, podczas wizyty w Niemczech w 1936 roku. Gwiazdy tej nigdy nie widzieli ludzie zamieszkujący wyłącznie półkulę południową. Wisząca kilka lat świetlnych nad biegunem północnym z dokładnością jednego stopnia, była gwiazdą, która prowadziła żeglarzy przez wieki od pierwszych nieśmiałych wypraw Fenicjan i wikingów. Jej niezawodna obecność spowodowała eksplozję cywilizacji, odkryć i handlu na półkuli pomocnej, podczas gdy kultura na półkuli południowej, pozbawiona podobnie niezawodnej gwiazdy, przeżywała zastój.

Była to Polaris - Gwiazda Północna.

Pojawienie się jej uświadomiło Kramerowi, że "Tulsar" przekroczył równik, lub docierał do niego, co potwierdził dwadzieścia minut później, gdy skończył obliczenia na sekstansie.

Na minutę przed umówionym czasem nadania włączył "Afu" i czekał, aż się nagrzej. Zastanawiał się, jak daleko może być łódź podwodna i czy go usłyszy.

14

- Kapitan do pomieszczenia kontrolnego! Kapitan do pomieszczenia kontrolnego!

Milland obudził się już i właśnie przypinał protezę, gdy głośnik na ścianie umilkł.

- Lepiej dla pana, żeby to były dobre wieści, panie Sarne - burknął wchodząc do pomieszczenia kontrolnego.

Pierwszy oficer wręczył mu niebieską kartkę. - Najlepsza wiadomość, od kiedy wypłynęliśmy z Kilonii, kapitanie.

KUKUŁKA DO ORŁA

TULSAR 2PN 30ZACH PŁYNIE PROSTO NA PÓŁNOC 25 WĘZŁÓW

- Pierwsza wiadomość, którą odebraliśmy prosto z "Tulsara" - rzekł Sarne. -

Pomyłki szyfrowania były we właściwych miejscach, nie ma więc wątpliwości, że jest prawdziwa.

- Dwa stopnie na północ! - krzyknął radośnie Milland. Podszedł do mapy i spojrzął na położenie U-330. Znajdowała się tuż pod Zwrotnikiem Raka, sześćset mil na północny zachód od wysp Zielonego Przylądka. Naniósł pozycję "Tulsara" na mapę i zmierzył dzielącą go od łodzi odległość cyrklem.

- Dwadzieścia stopni - skomentował Sarne, mając nadzieję, że jego głos nie zdradza wzrastającego podniecenia. - Dzieli nas tysiąc dwadzieścia mil. Jesteśmy na tej samej długości, więc jeżeli on utrzyma swoją maksymalną prędkość kursem na północ, a my naszą kursem na południe, zbliżać się będziemy z prędkością pięćdziesięciu węzłów.

- I przechwycimy go za dwadzieścia cztery godziny - dokończył Milland.
- Jeżeli będziemy mieli szczęście i wytrzyma pogoda. Nachylili się nad mapą, by potwierdzić swe wnioski.
- Sternik! - krzyknął nagle Milland. - Ster jeden-siedem-pięć! - U-330 przechyliła się lekko, gdy jej dziób ustawiał się na nowy kurs.
Milland spojrział z satysfakcją na żyrokompas. - Dobrze. Cała naprzód na obu!
W maszynowni mechanicy zatkali sobie uszy watą i otwarli szeroko przepustnice.

15

Gerrard przyjrzał się czarnemu pudełku z niejaką podejrzliwością. Nie przypominało to w niczym urządzeń, które widział dotychczas, a założone zostało w pomieszczeniu radiooperatora "Tulsara" przez specjalistów od elektroniki wojskowej z Simmonstown podczas naprawy statku w Durbanie. Jack Colby, sympatyczny radiooperator z Kanady, przeszedł krótkie przeszkolenie w zakresie działania i obsługi sprzętu.

- Na miłość boską, Jack - wyszeptał Gerrard. - Któż u diabła mógłby nas szpiegować przy takiej prędkości?

Colby wzruszył ramionami. - Żeby mnie pan zabił, nie wiem. Mówię tylko, że przez dwie noce z rzędu odbieram jego sygnały. Zawsze z tej samej strony - od rufy - i o tej samej sile sygnału. Cokolwiek to jest, dotrzymuje nam kroku.

Gerrard odwrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem z podbródkiem na oparciu krzesła, wlepiając wzrok w czarne pudełko. Był to jeden z najnowszych wynalazków brytyjskich - aparat do określania kierunku częstotliwości - znany oficjalnie jako HF DF, a nieoficjalnie jako "Huff Duff". Ów godny uwagi przyrząd umożliwiał określenie kierunku nadawania sygnałów radiowych bez pomocy stacji odbiorczych na brzegu, wyposażonych w ruchome anteny. Jack Colby zademonstrował Gerrardowi zasadę działania. Była ona niezwykle prosta: w środku czarnego pudełka znajdował się mały ekran, o średnicy około piętnastu centymetrów. Gdy antena Huff Duffa odbierała sygnały, pojawiały się one na ekranie w postaci świecącej elipsy. Operator musiał tylko ustawić pokrętko w takiej pozycji, by elipsa stała się odcinkiem. Kąt między linią a podziałką na ekranie określał pozycję źródła sygnałów. Dzięki temu można było zlokalizować nawet krótkie serie sygnałów. Brytyjczycy opracowali urządzenie w celu ustalania pozycji "gadatliwych" łodzi podwodnych płynących w ślad za konwojami. Dotąd nie było możliwe określenie kierunku, skąd nadchodziły sygnały na pełnym morzu.

Gerrard był skłonny przyjąć do wiadomości, że urządzenie działa, lecz nie mieściło mu się w głowie, że jakiś statek może płynąć za "Tulsarem" nie zauważony przy bezchmurnej pogodzie oraz że może trzymać się kurczowo tej samej pozycji względem "Tulsara", niezależnie od częstych zmian jego kursu. Było to po prostu fizyczną niemożliwością, i tak też powiedział Colby'emu. Chudy Kanadyjczyk, zgodnie ze swym zwyczajem, wzruszył ramionami.

- Jak pan chce, kapitanie. Ale to cacko jest w porządku. Znajdzie panu Rio w mgnieniu oka. Ktoś nas śledzi, to jasne, siedzi nam na ognie.

Gerrard obudził Holdena godzinę przed wschodem słońca. Mimo tak wczesnej pory Anglik był przytomny i siedząc na koi słuchał, co Gerrard ma do powiedzenia.

- Colby jest przekonany, że ktoś płynie za nami - powiedział Amerykanin.

- Kto? - Holden uniósł brwi.

- Żebym to wiedział. Ale Colby jest pewien, że Huff Duff pokazuje, że coś siedzi nam na ognie.

Nawet Holden wyglądał na zaskoczonego. - Powiedziałbym, że to niemożliwe.

- Tak mu właśnie powiedziałem.

- Co pan zamierza zrobić?

- Nic.

- Czy to w porządku? - zapytał Holden.

- Więc może, zacznijmy znów płynąć zygzakami?

Ten pomysł nieledwie sprawił Holdenowi ból. - Dlaczego nie możemy zrobić rzeczy oczywistej?

- Czyli? - spytał podejrzliwie Gerrard.

- Rzucić okiem.

Gerrard wyrównał lot northropa na pięciu tysiącach i krążył, dając Holdenowi czas na przyjrzenie się horyzontowi przez lornetkę. W czystej, złotawej poświacie wczesnego poranka można było widzieć na ponad sto mil z tej wysokości, lecz jedyny ruch, jaki Holden dostrzegł na lśniącej, niebieskiej powierzchni tropikalnego Atlantyku, to ciągle rozwierające się ramiona błyszczącego kilwatu "Tulsara", który z wysokości wyglądał jak zabawka.

- Można wyżej? - wrzasnął Holden, przekrzykując ryk silnika.

Gerrard otworzył przepustnicę silnika Wright Cyclone i mały samolocik wbił się łagodnie do góry. Horyzont rozciągnął się jeszcze bardziej i dalej, aż jego granice zaczęły zlewać się w jedno z bezchmurnym błękitem nieba.

- Najczystsze, jakie widziałem! - krzyknął Gerrard do swego towarzysza.

I nadal nic.

Gerrard wyrównał lot na siedmiu tysiącach metrów. Holden uczył dławienie w płucach - wynik małej ilości tlenu w powietrzu. Próbował szukać dalej. Widoczność we wszystkich kierunkach była doskonała. "Tulsar" był zupełnie sam w środku oceanicznego kręgu o promieniu trzystu mil - nic nie znacząca kropka na środku rozległej nicości.

Holden opuścił lornetkę i potrząsnął głową. Gerrard przymknął przepustnicę i zniżył lot, zataczając szerokie kręgi wokół "Tulsara", podczas gdy Holden nadal przeszukiwał horyzont. Gerrard miał właśnie zamiar skontaktować się z Colbym przez radio, by mu powiedzieć, że wraca, lecz odłożył mikrofon ujrawszy, że statek zwalnia i zatrzymuje się. Przeleciał nad "Tulsarem" na wysokości stu siedemdziesięciu metrów, chcąc wylądować od zawiętrzonej strony statku. Właśnie wtedy zauważył, że coś jest nie tak z pokrowcem na jednej z rufowych szalup ratunkowych. Zwiększył obroty, wprowadził hydroplan w wąski łuk nad "Tulsarem", by lepiej się przyjrzeć.

- Podarty pokrowiec szalupy ratunkowej - odpowiedział na pytanie Holdena.

- Coś poważnego?

- Tak, do szalupy może się nalać kilka ton wody z opadów i wzburzonego morza. Jedna taka spadła mi na pokład i o mało nie zabiła dwóch ludzi na mojej pierwszej wyprawie.

Gerrard uważnie wycelował w długą dolinę leniwej fali oceanu i zmniejszył obroty, gdy pływaki dotknęły powierzchni. Potężny opór wody stawiany pędzącym pływakom zatrzymał go, nim zdołał przepłynąć sto metrów. Manewrował dziko wierzgającym samolotem, aby trafić w pas spokojniejszej wody, utworzony dryfującym kadłubem "Tulsara", i w napięciu obserwował, jak statek wolno sunie ku nim. Wysunięto ramię dźwigu z malajskim chłopcem, uczepionym ryzykownie haka. Gerrard wyłączył silnik, by nie pokaleczyć chłopca śmigłem hydroplanu. Przez decydujących kilka sekund Gerrard i Holden byli zdani całkowicie na łaskę zręczności

chłopca, niezdolni do ucieczki przed bryłą "Tulsara" w razie kłopotów.

Stopy chłopca wylądowały na skrzydle. Rozległ się dźwięk haka zaczepianego o pętlę do podnoszenia hydroplanu. Sekundę później para inteligentnych oczu spojrzała z góry przez przezroczysty dach.

Chłopak pokazał Gerrardowi podniesiony do góry kciuk na znak, że wszystko w porządku, i powtórzył gest w kierunku statku do Pieta, obsługującego silnik wyciągarki.

Olbryzmi Afrykaner włączył sprzęgło maszyny i podniósł hydroplan z wody. Usłużne ręce pomagały pływakom znaleźć właściwe miejsce na platformie i podtrzymywały otwarty dach dla Gerrarda i Holdena.

- Nic - powiedział Gerrard do Colby'ego, który spoglądał na niego wyczekująco z kręgu trajkoczących Malajczyków i Hindusów. - Zupełnie nic. Nie ma nawet morświnów. Równie dobrze mógłbyś tego Huff Duffa wywalić do morza.

Gerrard zeskoczył na pokład, Holden zaraz za nim. Colby wzrokiem poprosił Anglika o potwierdzenie. Ten skinął głową bez wyrazu.

- Piet! - krzyknął Gerrard. - Pokrowiec szalupy numer sześć ma taką dziurę, że mógłby przejechać autobus. Zaraz się tym zajmij.

Piet zeskoczył z siedła operatora podnośnika i rzucił polecenie malajskiemu chłopcu, temu, który pomógł wyłowić hydroplan.

Pasażerowie śledzili start i lądowanie samolotu z wielkim zainteresowaniem.

Była to odmiana w monotonnej podróży. Josephine przepchnęła się przez mały tłumek w kierunku Holdena.

- Jak wycieczka?

- W porządku - odparł Holden, otrzepując dłońmi swój lekki garnitur i patrząc z niepokojem na plamę z oleju. - Stek z wieloryba na obiad, jeżeli coś widzieliśmy. Nie rozmieszyleś tym Josephine. - Rozmawiał pan z nim na temat biednego pana Lewisa?

- Czy masz jakiś środek do usuwania plam?

- Co z panem Lewisem?! - Jej migdałowe oczy zaokrągliły się z gniewu. - Słucham?!

- Są inne sprawy, którymi musimy się teraz zająć - brzmiała wymijająca odpowiedź Holdena.

Josephine ujrzała, jak Gerrard zbliża się do schodów na mostek. Odruchowo rzuciła się do przodu i złapała go za ramię.

- Kapitanie Gerrard - lecz nie zdążyła powiedzieć nic więcej, gdyż z tyłu rozległ się huk, a zaraz potem mrozący krew w żyłach krzyk. Gerrard i Holden pobiegli co tchu po prawym pomoście w kierunku rufy, za nimi biegła Josephine. Za nią słychać było odgłosy stóp, później głośnie oznaki przerażenia. Josephine jak przez mgłę usłyszała krzyki pani Vanson odciąganej od miejsca zdarzenia przez swego męża.

Gerrard obejmował półnagiego malajskiego chłopca, który zeskoczył na hydroplan. Przez sekundę Josephine myślała, że zemdleje, kiedy ujrzała straszliwą ranę. Krew płynęła strumieniem z szyi chłopaka i rozlewała się po pokładzie.

- O mój Boże - wyszeptała. - O mój Boże. Mimo wstrząsu zachowała na tyle przytomności umysłu, by wydrzeć z sukienki kawałek materiału. Spojrzawszy z wdzięcznością, Gerrard wyrwał jej z palców płótno i zwinął w kulkę, którą wcisnął w głęboką ranę, biegnącą przez klatkę piersiową chłopca i kończącą się w jego szyi. Josephine niewyraźnie usłyszała za plecami grzmiący głos Pieta krzyczący

na wszystkich, żeby się cofnęli.

- Niech pan trzyma - rozkazał Gerrard Holdenowi.

Bez wahania Anglik przycisnął ręką przemoczony materiał, podczas gdy Gerrard próbował zatrzymać strumień krwi wpychając palce w zagłębienie tętnicy szyjnej chłopca.

- Kapitanie, szalupa... - jęknął chłopiec - szalupa... szalupa...

Krew i ślina rzuciły się ustami chłopaka, plamiąc ręce Gerrarda.

- Dobrze, synku - powiedział delikatnie Gerrard, wsuwając wolną rękę pod ciało chłopaka. - Nic już nie mów. - Popatrzył na Josephine i Holdena. - Musimy znieść go na dół do izby chorych, ale równo. W porządku, podnieście, kiedy powiem. Holden podparł plecy chłopaka, a Josephine ostrożnie wsunęła mu ręce pod kolana. Podnieśli chłopca na znak Gerrarda i nieśli go przez milczący tłum, Gerrard zaś nadal uciskał tętnicę szyjną. Żeglarskie szydło wysunęło się z pleców chłopca, gdy położyli go na stalowym stole w izbie chorych.

Gerrard zmniejszył ucisk. Krew nie płynęła już z okropnej rany. Przez pół minuty trzymał jeszcze nadgarstek chłopca, nim troskliwie ułożył małą brązową rękę na nieruchomej pierś. Unikał spojrzenia na Josephine i Holdena, a ona wiedziała, że nie musiał nic mówić.

Jedna z dwóch urszulanek pojawiła się w drzwiach. Wzrok jej z niepokojem wędrował od twarzy do twarzy, aż wreszcie spoczął na nieruchomej postaci leżącej na stole. - Czy możemy w czymś pomóc? - zapytała.

16

Prędkość U-330 wzrosła do niewiarygodnych dwudziestu siedmiu węzłów w idealnych warunkach pogodowych na środkowym Atlantyku.

Obliczenia głównego mechanika Otto Munta wskazywały, że wyjące diesle Maybacha zużywają paliwo w tempie ćwierć tony na godzinę, jednak Milland nie przejmował się tym, "Tulsar" miał wystarczające zapasy, by napełnić zbiorniki U-330. Pomimo gwałtownych podskoków szarżującej łodzi Milland znalazł dla załogi wiele roboty. Podręczne skrzynie na amunicję do dział 104- i 37-milimetrowego zostały napełnione, a same działa oczyszczone z osadu wody morskiej i nasmarowane. Sprawdzone nawet poczwórne działka przeciwlotnicze 20 milimetrów i załadowano długimi, krętymi jak węże taśmami pocisków smugowych. Skoro tylko "Tulsar" pojawi się w zasięgu ognia; Milland miał zamiar skierować całą swą zmasowaną siłę na statek, a zwłaszcza na mostek i sterówkę. Gdyby Gerrard zginął, można by przekonać załogę, żeby się poddała. Żywy Gerrard nie dawał takich szans. Chociaż Milland nie wiedział, jak Gerrard zachowa się w warunkach wojennych, wiedział wystarczająco dużo o charakterze swego przeciwnika, by trafnie odgadnąć, że raczej sam zatopi statek niż się podda, szczególnie łodzi podwodnej. Milland wrócił myślą do czasów, które spędzili razem z Gerrardem: długie podróże w niegościnną lodowatą pustkę Morza Południowego, polowania wśród koszmarnego chrzęstu spowitych mgłą gór lodowych w nieustępliwym pościgu za przynoszącymi wielkie pieniądze ławicami niebieskich olbrzymów. Kiedyś ich premie wyniosły po tysiąc dolarów, które przepuścili w Sydney w pamiętne dwa tygodnie na ciepłe australijskie piwo i gorące prostytutki portowe w obskurnych sypialniach, które wiedziały, jak bezboleśnie rozdzielić męczyznę i jego pieniądze, oraz na zimnych sędziów rezydujących w surowych salach rozpraw, którzy wiedzieli, jak przysparzać bólu.

Lecz tak było, zanim wieloryb urwał się na pochylni "Tulsara" i zmiażdżył mu nogę, a chciwość Gerrarda zmieniła go w kalekę.

Minęło pół godziny od śmierci malajskiego chłopca.

Holden doszedł do narożnika nadbudówki i położył się na brzuchu, trzymając karabin Lee Enfield z wyposażenia "Tulsara" na przedramionach, na sposób wojskowy. Poczołgał się za szyb wentylacyjny i ostrożnie spojrzął na miejsce, gdzie zginął Malajczyk.

- Widać coś?

- Musi być w szalupie - odparł spokojnie Holden, mierząc w nią.

- Ktokolwiek to jest, chcemy go mieć żywcem - przypomniał Holdenowi Gerrard.

Holden nic nie odpowiedział. Nie miał wątpliwości, że człowiekiem w szalupie jest Kramer. Gdyby Kramer został wzięty żywcem, biorąc pod uwagę nastrój Gerrarda po niedawnym morderstwie, zachodziło prawdopodobieństwo, że Kramer zacznie mówić, by uratować skórę. Holden wiedział, dlaczego Kramer ukrył się na "Tulsarze", lecz był świadom, że niebezpiecznie pozwolić mu żyć.

- Hej, ty! - krzyknął Holden. - Daję ci pięć sekund na wyjście! Słyszałeś, co powiedziałem?

Cisza.

Holden strzelił. Lee Enfield kopnął go w ramię jak muł, kula zaś utkwiała w ciężkim krążku linowym, który przytwierdzał dziób szalupy do wyciągu. Zajął się sworzniem i posłał jeszcze dwie kule w jesionowy blok. Szalupa niebezpiecznie się zakołysała.

- Ładnie - skomentował z podziwem Gerrard. Podniósł głos.

- Wychodzisz, czy mamy cię stamtąd wykurzyć? Holden strzelił znowu. Sznury podtrzymujące szalupę pękły. Dziób spadł na pokład obracając się na bok i rozsypał składowane wiosła i zbiorniki na wodę po stalowych blachach pokładu. Pod zwałami lin i brezentu dał się zauważyć ruch. Kramer zgubił pistolet, gdy łódź uderzyła o pokład. Zaklął i podniósł ręce wysoko nad głowę.

- Nie strzelać! Nie strzelać!

Wstał. Żył, rozczochrany, brudny człowiek z wejrzeniem pełnym dzikiego uporu. Gerrard rzucił się naprzód i odbił Lee Enfielda w dół, gdy Holden właśnie naciskał spust. Kula trzasnęła o pokład koło stóp Kramera i poleciała do góry, co sprawiło, że ten podniósł ręce jeszcze wyżej.

- Nie strzelać, dranie! - warknął.

- Powiedziałem, że chcemy go mieć żywego, panie Holden - zauważył złośliwie Gerrard.

Holden uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Myślałem, że ma broń.

Holden zakończył sprawdzanie zawartości walizki z "Afu" i zatrzasnął wieko. - Bardzo sprytnie. Moc dziesięć wat - zasięg około trzystu mil, prawdopodobnie dziesięć razy tyle w nocy.

- Na miłość boską - wymamrotał Gerrard biorąc urządzenie od Holdena i obracając je w swych mocnych palcach. - Wystarczy się teraz dowiedzieć, z kim ten drań rozmawiał.

- Myśli pan, że będzie mówił?

- Będzie - orzekł Gerrard zawzięcie.

Zdecydowana nuta w głosie Amerykanina zaniepokoiła Holdena.

- Jest szpiegiem i mordercą - zauważył. - Powinny się nim zająć władze brytyjskie.

Gerrard ze złością zgasił cygaro. - Niech pan posłucha, panie Holden. Pański

rząd może być właścicielem "Tulsara", ale on sam nadal pływa pod banderą amerykańską i podlega prawu amerykańskiemu. Zgodnie z tym prawem mogę przeprowadzić takie śledztwo, jakie chcę. Zamierzam właśnie dowiedzieć się od tego drania mordercy, kim jest, z kim rozmawiał i dlaczego.

Holden zmagął się z sobą: jeżeli będzie się sprzeciwiał badaniu Kramera, może wzbudzić podejrzenia Amerykanina. Z drugiej strony istniało niebezpieczeństwo, że Kramer będzie mówił i powie wszystko. Jeżeli powie, Holden zastanawiał się, czy uda mu się wykręcić od kłopotów mówiąc, że Kramer kłamie. Wszystko zależało od Kramera i od tego, jak daleko Gerrard posunie się w przesłuchaniu. Spojrzał w szare oczy Amerykanina i odgadł, że nacisk, jaki Gerrard zamierza wywrzeć na Kramera, będzie znaczny.

Holden przytaknął. - Dobrze, kapitanie, przesłuchamy go.

- Piet! - wrzasnął Gerrard.

- Kapitanie? - zapytał Afrykaner, wsuwając głowę do środka kajuty dziennej.

- Możesz zwolnić Lewisa z przedziału dziobowego. Przekaż mu, że mamy faceta, co zabił jego żonę, i powiedz panie Britten, żeby mu dała coś do zjedzenia. Daj nam teraz więźnia.

Wniosło go do kajuty dwóch Hindusów, smarowaczy, i niezbyt łagodnie rzuciło na krzesło. Kramer spoglądał z wściekłością na dwóch mężczyzn siedzących naprzeciw niego, lecz nie zdradził się z tym, że poznaje Holdena.

- Nazwisko? - wybuchnął Gerrard.

Oczy Kramera spojrzały na Gerrarda zionąc nienawiścią z głębi płataniny włosów i brody.

- Nazwisko? - powtórzył Gerrard.

Kramer wciągnął policzki i splunął. Ślina trafiła Gerrarda w twarz. Amerykanin podniósł żyłastą rękę, by wytrzeć twarz, i zakończył ruch waląc Kramera na odlew odwrotną stroną dłoni. Strumień krwi popłynął z kącika ust Niemca. Wargi wykrzywił mu pogardliwy grymas uśmiechu.

- Nazwisko!

Uśmiech Kramera rozszerzył się, lecz wzrok jego przez cały czas utkwiony był w Gerrardzie. Nie patrzył wcale na Holdena.

- Piet - rzekł Gerrard do Afrykanera, który przyglądał się Niemcowi. Krew, wsiąkająca w bokobrody, nadawała jego twarzy wyraz groteskowej, roześmianej maski.

Minutę później wszedł Piet i położył dżuto i młotek na biurku.

- Dzięki, Piet. - Gerrard podniósł dżuto i przesunął po jego błyszczącej krawędzi poduszkę kciuka, na której pojawiła się cienka smuga krwi. Kiwnął głową na Hindusów. - Rozłóżcie mu prawą dłoń.

Kramer próbował stawiać opór, lecz dni spędzone w szalupie znacznie go osłabiły. Dwóch marynarzy nie miało zbyt wiele kłopotu z położeniem jego ręki na biurku.

- Wyprostujcie mu mały palec - polecił Gerrard, trzymając dżuto w jednej ręce, a młotek w drugiej.

Atmosfera w kabinie stała się nagle bardzo napięta. Gerrard przeciwstawił uśmiechowi Kramera swój własny i oparł ostrze dżuta na małym palcu Kramera tuż poniżej stawu.

- No, przyjacielu - powiedział Gerrard niemal radośnie. - Nie muszę ci chyba mówić, co mam zamiar zrobić. Będę ci odrąbywał palce jeden po drugim, aż się zdecydujesz odpowiedzieć na moje pytania. - Ustawił młotek pół metra nad

uchwytem dłuta. - Nazwisko?

Maska uśmiechu Kramera stała się wyzywająca.

Rozległ się ostry trzask, kiedy Gerrard opuścił młotek.

Holden mimowolnie wyszeptał: - Chryste.

Kramer nie wydał z siebie ani jednego dźwięku, lecz buńczuczny wyraz jego twarzy ustąpił oszołomieniu, gdy zauważył koniec swojego małego palca leżącego na biurku niedaleko okaleczonej dłoni. Krew tryskała wokół strzaskanej kości wystającej ze stawu.

- Teraz kciuk.

Hindusi rozłożyli kciuk Kramera na biurku.

- Nazwisko?

Kramer patrzył w dół na biurko w milczeniu. Nadzieje Holdena, że Afrykaner niemieckiego pochodzenia wytrzyma, nabrały realnych kształtów.

- Kapitanie - zaczął Piet.

- Zamknij się!

Więzień spojrział na Gerrarda matowymi oczami. Nagle skurczył się pod dotknięciem zimnej stali, gdy Gerrard oparł ostrze na jego kciuku.

- Paulus Kramer - wychrapał.

- Do kogo nadawałeś?

Kramer nie odpowiedział. Gerrard szarpnął jego głowę w górę trzymając za brodę i powtórzył pytanie.

- Do niemieckiej łodzi podwodnej. Do jasnej cholery, zróbcie coś z moim palcem!

Gerrard spotkał wzrok Pieta i skinął głową na drzwi.

- Wy też - powiedział do Hindusów. Trzej mężczyźni wyszli z kajuty, pozostawiając Holdena i Gerrarda sam na sam z Kramerem, który rozpaczliwie przyciskał palec do lewego nadgarstka, by zatamować upływ krwi.

- Niech krwawi - powiedział Gerrard. - Rana się oczyści.

Kramer zluzował ucisk. Krew znów puściła się strumieniem ze skrwawionej rany, gdzie kiedyś był jego mały palec, który z kolei leżał bładny w swojej własnej kałuży krwi.

- Co ma zrobić łódź podwodna?

- Zdobyć ten statek - odparł Kramer.

Holden zdecydował przyłączyć się do przesłuchania w nadziei sprowadzenia Kramera z niebezpiecznego tematu. - Czy znasz ładunek "Tulsara", Kramer?

- Tak - wypłuł odpowiedź. Więźniowi wracała odwaga. - Złoto. Musicie coś zrobić z moim palcem!

- Jak Niemcy dowiedzieli się o złocie? Czy mają szpiegów w Banku Rezerwy?

Kramer spostrzegł wyjście, które dało mu pytanie Holdena, i skorzystał z niego.

- Tak. Kilku.

- Nadałeś pozycję naszego statku łodzi podwodnej? - spytał Gerrard.

Kramer przytaknął. - Ale przysięgam, że nie wiem, gdzie jest ta łódź. Proszę, mój palec...

- Jak często nadajesz?

- Co noc między północą a trzecią.

Gerrard uśmiechnął się. - Jesteś praworęczny, Kramer? A wiesz, dlaczego byłem tak dobry i zająłem się twoją lewą ręką?

Kramer nie odpowiedział.

- Bo będziesz potrzebował prawej ręki, żeby pogadać z kolegami o zwykłej

porze. Zgodzisz się na to, a ja zastanowię się, czy nie spróbować przyszyć ci palca.

18

KUKUŁKA DO ORŁA

TULSAR ZATRZYMAŁ SIĘ USZKODZENIE ŚRUBY 9PN 35ZACH PROSZĘ
O PODANIE WASZEJ POZYCJI I PRZEWIDYWANEGO CZASU PRZEJĘCIA.

Milland powtórnie przeczytał komunikat i oddał Sarnemu. Odwrócił się do Vennera. - Na pewno nie było pomyłki w piątej literze tekstu?

- Trudno powiedzieć, kapitanie - odparł radiooperator. - Nadał trzy razy, jak to zwykle robi. Pomyłka była w drugim przekazie, ale w pozostałych nie. Kłopot polega na tym, że jego Morse jest za słaby, żeby powiedzieć, które pomyłki są prawdziwe, a które nie. Potrzebowałem wszystkich trzech przekazów, żeby wyłowić całą wiadomość.

- Po raz pierwszy poprosił nas o położenie - dodał Sarne.

Milland spojrział na mapę. - Jeżeli meldunek Kukułki jest prawdziwy, przechwycimy "Tulsara" tuż przed świtem.

- Jeżeli jest prawdziwy - skomentował Sarne.

Milland nie mógł się zdecydować. Zanim "Tulsar" znajdzie się w zasięgu hydrofonów U-330, które będą mogły go dokładnie namierzyć, musi w zupełności polegać na sygnałach od agenta ze statku, by mieć choćby najmniejszą szansę przechwycenia go. Rozważył skrupulatnie wszystkie możliwości i wydał kompromisową decyzję:

- Położenie "Tulsara" podane przez Kukułkę potraktujemy jako prawdziwe, lecz nie podamy mu naszego. Wyślemy tylko krótkie potwierdzenie jego sygnału.

- Tak jest, kapitanie - Venner powrócił do kabiny radiooperatora.

Milland popatrzył przez chwilę beznamiętnie na Sarnego, nim pozwolił swej twarzy odpocząć w uśmiechu. - Kurs na przejście, panie Sarne.

Wiadomość, że U-330 zbliża się do swojej zdobyczy, rozniosła się po łodzi w mgnieniu oka. Butelki piwa, których wnoszenia na pokład Milland kategorycznie zabronił, pojawiły się nagle wśród nie będącej na wachcie części załogi.

Milland uśmiechał się lekko, wspinając się na rękach na mostek. Obserwatorzy śpiewali unisono w ciemności, lecz pieśń nie przeszkadzała im czujnie rozglądać się naokoło.

A niech tam - pomyślał Milland zdecydowawszy, że nie ich skarci - zasłużyli sobie na to.

19

Jack Colby wstał znad Huff Duffa. - Dokładnie na północ - oznajmił - odległość między sto a trzysta mil.

Gerrard jęknął. - Na miłość boską, Jack, nie mógłbyś być dokładniejszy?

- I tak dobrze wtrącił Holden - Huff Duff dokładnie podaje tylko kierunek, nie odległość od łodzi podwodnej.

- Poza tym cholernie krótki komunikat - dodał Colby.

- Jezu Chryste! - wybuchnął Gerrard. - Ten drań złapie nas przed świtem!

Holden wstał. - Znaczy to, że lepiej zabralibyśmy się za wprowadzenie w życie mojego planu.

Gerrard spojrział na Anglika. - Nie mówi pan poważnie.

- Dlaczego nie?

- To szalony pomysł, dlatego.

- Tylko gdy się nie powiedzie - wymamrotał Holden, ruszając do drzwi.

Josephine precyzyjnie się przez gorączkowo pracujących w świetle reflektorów

cieśli na pokładzie oprawiania wielorybów. Musiała krzyżeć do Holdena, by ten mógł ją usłyszeć poprzez hałas młotków wbijających gwoździe w drewno. Holden, z podwiniętymi rękawami, pracowicie piłował deskę. Koszula lepiła się do spoconego ciała Anglika. Widok ten zaskoczył ją jeszcze bardziej niż tajemnicze prace na pokładzie, gdyż wyobrażała sobie, że Holden jest rodzajem człowieka, który, o ile może, unika wysiłku. Gerrard, uzbrojony w kleszcze, wyciągał gwoździe ze skrzyń. Holden przerwał pracę w chwili, gdy spostrzegł Josephine.

- Panie Holden, czy mógłby mi pan powiedzieć, co się dzieje? Pasażerowie skarżą się na hałas.

- Będą się jeszcze bardziej skarżyć, jak niemieckie łodzie podwodne zaczną nas torpedować - brzmiała wymijająca odpowiedź Holdena.

- A ten hałas ma je odstraszyć?

Holden wytarł twarz jedwabną chusteczką. - Jak się ma pan Lewis, Jo?

- Jeśli będzie mógł przespać się choć chwilę, może humor na tyle mu się poprawi, że zdołam go odwieść od zamiaru podania was wszystkich do sądu za bezprawne uwięzienie. Co wy tu montujecie? Scenę?

- Coś w tym rodzaju - Holden powrócił do piłowania, odmawiając dalszej dyskusji na temat dziwnej konstrukcji.

20

Chmura rozciągająca się od zachodu zatrzymała ciepło wznoszące się z oceanu i pokryła niemrawą falę delikatną, ciepłą mgłą. Noc była niewiarygodnie gorąca. Milland opierał się na listwie uszczelniającej luk i żałował, że nie może rozebrać się do pasa, jak to uczynili obserwatorzy.

Z przodu pokładu dobiegł stłumiony śmiech, wolna od wachty część załogi rozkoszowała się lekką bryzą wytwarzaną przez pędzącą łódź. Wrażenie szybkości potęgowały jeszcze przewalające się przez mostek kłęby mgły, które rozdzielały się w ostatniej chwili, by ominąć Millanda, i łączyły ponownie zawirowując z tyłu. Na łodzi panowała dziwnie martwa atmosfera, co Milland przypisywał wszechobecnej mgłę. Nawet ryk silnika i syk wody przepływającej przez drenaż pokładowe brzmiał jakby cicho i nierzeczywiście.

- Pomieszczenie kontrolne do mostka - powiedział głos Hansa Fischera.

Milland otworzył rurę głosową. - Mostek.

- Czas na kolejny nasłuch hydrofoniczny, kapitanie.

- Bardzo dobrze, panie Fischer. Niech pan powie głównemu mechanikowi, by zatrzymał silniki. Schodzę na dół.

Minutę później Venner założył wygodnie słuchawki na uszy i włączył pierwszy przetwornik. Wokół kadłuba łodzi podwodnej było rozmieszczonych kilka grup podwodnych mikrofonów, które można było wybierać indywidualnie, by ustalić kierunek podwodnych dźwięków.

Minęło kilka minut, w czasie których Venner wprowadzał drobne poprawki za pomocą pokręteł, które kontrolowało przełączniki mikrofonów. Nagle pochylił się i docisnął mocniej słuchawki.

- Coś słyszę. Bardzo słabe odgłosy silnika lub jakiejś maszyny, zamiar jeden-osiem-jeden.

Puls Millanda przyspieszył. Niemał prosto na południe! Właściwy kierunek! - Odległość? - zapytał gwałtownie Vennera.

- Nie można powiedzieć - odparł radiooperator. - Albo mały silnik w odległości trzydziestu mil, albo duży, w odległości sześćdziesięciu mil. Milland zastanowił się. - Przynajmniej mamy zamiar na coś. Popłyniemy

godzinę z maksymalną prędkości i zatrzymamy się na następny nasłuch.

- Z pewnością mały diesel - oznajmił Venner godzinę później.

Milland zmarszczył brwi. - "Tulsar" ma kilka takich napędzających podnośniki i dźwigi, ale czy hałas z nich przenosiłby się na wodę? Są zamontowane na pokładzie.

- A pompa powietrza? - poddał Sarne. - Jeżeli nurkowie pracują nad uszkodzoną śrubą, muszą mieć pompę powietrza.

Milland poklepał pierwszego oficera po ramieniu. - Oczywiście! To cholerna pompa powietrza!

Venner sprawdził poziom dźwięku pulsującego silnika. - W takim razie powiedziałbym, że gdzieś dziesięć, piętnaście mil od nas.

- To musi być "Tulsar" - oświadczył Milland. - Musi być, do cholery! -

Złapał za mikrofon i wezwał Munta w maszynowni.

- Cała naprzód na obu!

Odwrócił się do Fischera. - Działła w gotowości, panie Fischer?

- Tak jest, kapitanie.

- Grupa atakująca gotowa - zawołał Sarne, nie czekając na pytanie.

Milland wrócił do obserwatorów na mostku. Obsady dział wynurzyły się z wężu i pospieszyły każda do swego. Za nimi wyszedł Sarne i jego uzbrojona grupa atakująca. Wszyscy stąpali cicho w butach o miękkich podeszwach. Byli dobrze przygotowani do czekającego ich zadania, nie zamienili z sobą nawet słowa.

Po nadmuchaniu pontonów usiedli na zmoczonym pokładzie, by zejść kanonierom z linii ognia, gdy rozpocznie się atak.

- Pomieszczenie kontrolne do mostka! - zabrzmiał głos Vennera.

Milland potwierdził.

- Echo radaru - oznajmił Venner. - Jeden-osiem-cztery. Odległość sześć mil.

- Mechanik! - zawołał Milland - Zatrzymać silniki! Pół naprzód na obu elektrycznych!

W pobliżu rury wydechowej diesla zapanowała nagle cisza, w którą wkradło się ciche mruczenie silników elektrycznych U-330.

- Odległość pięć mil - zameldował Venner.

Popielata łódź podwodna płynęła przez gorącą mgłę ze stałą prędkością ośmiu węzłów, lecz bardzo cicho.

- Ustawić reflektor! - polecił Milland.

Dwóch marynarzy przepchnęło ciężką lampę przez właz na mostku i zamocowało na obrotowym statywie przed peryskopem. Było to ciężkie i nieporęczne urządzenie, rzadko używane, gdyż trzeba je było rozmontować przed zanurzeniem łodzi, a przewód zasilający, który wychodził przez właz, zawsze sprawiał kłopoty.

- Odległość trzy mile - poinformował Venner. - Jaki tonaż ma "Tulsar", kapitanie?

- Siedem tysięcy. A co?

Po drugiej stronie rury głosowej nastąpiła cisza. - Te radary są dość dokładne, gdy mowa o odległości, ale mniej, jeśli chodzi o wielkość. Jak na siedem tysięcy ton, sygnał wydaje się dość słaby.

Milland zaśmiał się. - Będzie jeszcze słabszy, jak odstrzelimy mu maszt radiowy i mostek. - Mimo kpiącej odpowiedzi nie był dobrej myśli, gdy tak wpatrywał się w ciemność. Mgła zaczynała się podnosić.

Do tej pory szło zbyt łatwo. Coś jest nie tak!

W tym momencie Milland usłyszał odgłos pracującego silnika. Fischer usłyszał go również i spoglądał wyczekująco na mostek.

- Słyszałem, panie Fischer. Nie strzelajcie, zanim nie podejdziemy na pięćset metrów, jak było zaplanowane.

Venner podał odległość jednej mili. Pot spływał do kielicha protezy nogi Millanda. Poczują, jak odsuwa się na bok wraz z piętą, zmniejszając poczucie stabilności i pewności.

Dobry Boże - tylko nie to. Nie teraz.

Odgłos silnika był coraz głośniejszy. Brzmiał głucho w rzednącej mgłę. Jedyne dźwięki w ciemności nocy.

Powinny być jeszcze inne dźwięki!

Milland zorientował się, że pozwala wyobraźni zapanować nad rozsądkiem.

- Sześćset metrów, kapitanie.

Serce Millanda waliło w takt niewidzialnego silnika. Zbliżył usta do rury głosowej, oceniając odległość od celu.

- Mostek do pomieszczenia kontrolnego! Teraz! Sternik obrócił ster na lewą burtę i w tej samej chwili Munt wyłączył silniki elektryczne. Milland włączył reflektor w chwili, gdy łódź obróciła się. Wiązka światła wycelował w dudniący silnik.

- Ognia!

Pierwsze wystrzeliło działo 104-milimetrowe. W ślad za błyskiem i łoskotem rozległ się jęk pocisku lecącego łukiem w noc. Później działo dwudziestomilimetrowe dołączyło poczwórny klekot, plując do celu białymi pociskami smugowymi. Lecz celu nie było.

Milland próbował przebić spojrzeniem dym, nie zwracając uwagi na gryzące w oczy opary. Nie było nic widać! Oszołomiony usłyszał, jak Sarne rozkazuje, by zmniejszono kąt celowania. Główne działo huknęło następnym pociskiem w morze. Działo szybkostrzelne 37 milimetrów przyłączyło się do panującego hałasu. Fischer wrzeszczał na ludzi podających jeden drugiemu ciężkie pociski z podręcznych skrzyń.

Zaskoczony i zdezorientowany Milland obracał reflektor w przód i w tył.

I zobaczył: zamiast okrętu wielorybniczego o wyporności siedmiu tysięcy ton, snop światła zalewał prowizoryczną tratwę skleconą z desek i beczek po oleju. Na środku opuszczonej tratwy dyszał mały silnik parowy. Przez całą długość tratwy rozpościerał się transparent, na którym widniał odręczny napis, pytanie rozszawione przez Walta Disneya:

KTO SIĘ BOI ZŁEGO WILKA?

Kanonier obsługujący działo 20 milimetrów podążył za wiązką światła reflektora. Przez kilka sekund leciały z tratwy drzazgi, zanim trafienie pociskiem z głównego działa nie rozniosło jej na kawałki.

- Wstrzymać ogień, durnie!

- Światło na lewą burtę! - krzyknął obserwator.

Milland odwrócił się i spojrzał w przeciwnym kierunku na oślepiające, zbliżające się do łodzi światło, oddalone o mniej niż pięćdziesiąt metrów. Atakujące światło rozdzieliło się. Milland zapamiętał obracał reflektorem, nie zwracając uwagi na niesprawną nogę. W przelocie dojrzał coś, co na pierwszy rzut oka wydało mu się łodzią wroga. Było ich dwie.

- Ogień na lewą burtę! - krzyknął Milland. - Ognia!

Lecz zdezorientowani kanonierzy spóźnili się. Na pierwszej łodzi dał się widzieć

oślepiający błysk, gdy znajdowała się w odległości dwudziestu metrów. Charakterystyczny ostry trzask następujący tuż po błysku był dźwiękiem dobrze znanym Millandowi - był to strzał z działa harpunniczego. W tym momencie z rozpaczą zdał sobie sprawę, że dwie łodzie, które dojrzał wcześniej, były to szybkie łodzie do ścigania wielorybów z "Tulsara". Pękata głowica harpuna typu Svend Foyn trafiła U-330 tuż koło dziobu. Wybuch potargał na strzępy pontony i zmiotł Sarnego wraz z grupą atakującą do morza. Pierwsza z łodzi skręciła nagle, ścigana błyskami pocisków smugowych z działa 20 milimetrów. Ale kanonier źle ocenił prędkość łodzi i posłał nieszkodliwe pasmo małych wodotrysków w jej kilwater.

Druga łódź przypuściła atak. Milland widział, co nadchodzi - niewyraźna sylwetka pochylona nad działem harpunnicznym wycelowanym wprost w wieżyczkę obserwacyjną. Milland wduślił przycisk klaksonu i rzucił się na pokład. Oślepiający błysk i paraliżujący wstrząs odebrały mu wzrok i słuch na kilka cennych sekund. Z trudem wstał wspierając się zdrową nogą i ujrzał ostatniego z kanonierów dającego nura do włazu. Widział, jak Fischer walczy z zalewającą go falą, lecz nikt nie mógł go usłyszeć w przeraźliwym hałasie klaksonu.

Silniki łodzi podwodnej ożyły. U-330 przyspieszyła, nabierając pędu koniecznego do zanurzenia awaryjnego, zainicjowanego dźwiękiem klaksonu. Woda napełniła już zbiorniki balastowe. Mogło się wydawać, że Munt stracił głowę i zamierza zanurzyć łódź nie czekając na potwierdzenie, czy właz na mostku jest zamknięty.

Jeszcze jedna eksplozja wstrząsnęła łodzią. Benzynowy silnik wysokiej mocy wył z tyłu uciekającej łodzi podwodnej, ale nie obchodziło to Millanda, którego głównym problemem było teraz wejść do włazu i zatrzaskać klapę, nim woda zaleje łódź. Podczołgał się do otworu i zawisł nogami nad próżnią, podtrzymując się na jednej ręce, a drugą szukając pokrywy włazu.

Pokrywa nie chciała się domknąć.

Przewód! Ten cholerny przewód zasilający reflektor!

- Stój - wrzasnął Milland. - Na miłość boską, niech ktoś odłączy reflektor!

Nie mogę zamknąć włazu!

Usłyszał hałas dochodzący z pomieszczenia kontrolnego. Ktoś krzyczał o wodzie zalewającej łódź. Z rezygnacją owinął sobie kabel wokół nadgarstka, mając nadzieję, że uda mu się go wyrwać z reflektora. Zerwany za trzecim szarpnięciem opadł mu na ramiona. Milland zatrzaskał z ulgą właz i obrócił koło zamka na sekundę przed zalaniem mostka.

Bez ostrzeżenia U-330 przechyliła się na stronę dziobową, a Milland o mało co nie wypuścił z dłoni szczebla drabinki. Słyszał, jak na dole Munt krzyczy coś o zamknięciu drzwi. Później usłyszał dźwięki, które zmroziły mu krew w żyłach: ryk wody wdzierającej się do środka i straszliwy metaliczny trzask, który mógł oznaczać tylko, że oberwał się silnik.

Nim dotarł do pomieszczenia kontrolnego i odzyskał równowagę na szaleńczo przechylającej się podłodze, U-330 zeszła poniżej 150 metrów maksymalnego dla niej zanurzenia i pogrążyła się bezwładnie, zmierzając ku dnu oceanu oddalonemu o trzy mile.

21

Brzask wstawał nad wschodnim horyzontem, gdy Gerrard wyrównał bieg swej łodzi z łodzią Holdena i uśmiechnął się szeroko do Anglika.

- Ale zabawa, nie, panie Holden?

Piet obsługujący działo harpunniczne na łodzi Holdena roześmiał się w głos. -

Lepsza niż wieloryby, kapitanie.

- Ile razy pan trafił, panie Gerrard? - zapytał Holden.

Brody ustawił prosto harpun na łodzi Gerrarda i krzyknął: - Trzy razy w dziób, w to samo miejsce, tak jak pan mówił, panie Holden.

- Słuchajcie! - rzucił ostro Piet. Holden poświecił reflektorem od steru

w kierunku wskazanym przez Pieta i odszukał głowy podskakujące na wodzie.

Siedmiu ludzi słabymi ruchami rąk zbliżyło się ku łodziom. Gerrard przyspieszył i ustawił swoją łódź burtą w kierunku nadpływających mężczyzn. Brody wyciągnął ich jednego po drugim przez osłonę kokpitu. Z ostatnim, siódmym, było źle, jęknął cicho, gdy Brody ujął go za nadgarstek. Jego ręce były pokryte olejem, co sprawiło, że wysliznęły się Brody'emu z uścisku. Marynarz spróbował chwycić go za koźnierz i udało mu się zerwać jego znak tożsamości. Brody zaklął, wrzucił znak do kokpitu i wskoczył do wody. Spędził pięć bezowocnych minut szukając zaginionego Niemca, po czym wrócił do łodzi, wstrząśnięty i przygnębiony.

Holden podpłynął swoją łodzią bliżej i poświecił reflektorem po kolei w wyędniałe, smutne twarze.

- Niezbyt wesoła gromada - zauważył.

- Myślisz, że rozumiem ten twój język chorych na gardło, Piet? - zapytał Gerrard.

Piet pochylił się do przodu i przemówił do ocalałych w afrikaans, języku osadników holenderskich. Odpowiedzieli spojrzzeniami bez wyrazu. Z takim samym skutkiem Holden próbował swej znakomitej francuszczyzny. Gerrard zmierzył ich wzrokiem pełnym pogardy.

- A po angielsku? Który mówi po angielsku?

Mężczyźni milczeli.

- Nie zdadzą się na nic - machnął ręką Gerrard, wracając do steru. - Wywal ich za burtę.

- Nie! - krzyknął jeden z Niemców. - To zabronione. Nie możecie tego zrobić.

Gerrard poderwał mówiącego za koźnierz do góry. Zauważył jeden złoty pasek pod pięcioramienną gwiazdą. - Mówisz po angielsku?

- Trochę.

Gerrard zaskoczony był faktem, że podoficer boi się go. Czegoś takiego nie spodziewał się po Niemcu.

- Nazwisko?

- Leutnant zur See Hans Fischer.

- Słuchaj, Leutnant zur See Hans Fischer, jak następnym razem zadam pytanie, a ty będziesz siedział cicho, pogonię twoje szkopskie dupsko po całym Atlantyku. Rozumiesz?

- Jawohl, Herr Kapitan.

- Tak jest, do cholery! - ryknął Gerrard.

- Tak jest, do cholery - powtórzył z przygnębieniem Fischer.

Holden wskoczył do kokpitu łodzi Gerrarda i podniósł znak tożsamości zaginionego. - Czy Peter Sarne był waszym dowódcą? - zapytał Fischera, gdy przyjrzał się znakowi.

- Kapitanie! - wrzasnął Piet.

Afrykaner pokazywał na morze. Trzydzieści metrów od łodzi powierzchnia wody gotowała się na biało.

- Powietrze uciekające z łodzi podwodnej, jak mi się wydaje - zauważył

lakonicznie Brody.

Pękających baniek powietrza było coraz więcej, pokrywały kipiela życiodajnego tlenu znaczny obszar oceanu. Sześciu ocalałych spojrzało po sobie, lecz nie zamieniło ani słowa na widok tego zjawiska. Po kilku minutach pęcherzyki z niewidocznej łodzi podwodnej były już coraz mniejsze i rzadsze, wreszcie zniknęły. Powierzchnia Atlantyku stała się na powrót czarna.

W głowie Holdena pojawił się nieproszony obraz szczątków łodzi podwodnej, której załoga i burty zmiażdżone olbrzymim ciśnieniem szybowały na dół, ku przepastnemu dnu oceanu. Gerrard, patrzący w dół na morze, myślał chyba o tym samym. Potem podniósł głowę i ściągnął na siebie wzrok Holdena. Uśmiechnął się krzywo.

- Dobra robota, panie Holden. Szalony plan. Ale udało się znakomicie, no nie?

- Na szaleństwo nie ma rady - powiedział Holden i wspierał się na osłone kokpitu, wskazując do swojej łodzi.

22

Milland nie zwracał uwagi na ból w kikucie nogi po twardym lądowaniu na podłodze pomieszczenia kontrolnego. Podtrzymując się oparcia krzesła sternika zapytał, co się stało.

- Kadłub sztywny, podziurawiony! - odparł sternik. Pod wpływem tych słów Milland zapomniał o bólu.

Zanim zdążył coś powiedzieć, ujrzał w pomieszczeniu kontrolnym przepychających się i potykających ludzi.

- Wszyscy na rufę! - dał się słyszeć ryk Munta. - No już, leniuchy! Ruszać się! Ruszać się!

- Lewy silnik urwał się z zawieszenia! - krzyknął przez głośnik zniekształcony głos.

Milland porwał mikrofon. - Maszynownia! Wziąć się w garść i cała wstecz na obu!

- Dziura wielkości pięści w przedziale torpedowym na dziobie - wydusił z siebie główny mechanik. - Kazałem zamknąć drzwi i wdmuchiwać sprężone powietrze, co zapobiega dalszemu zalewaniu.

- Wszystkie zbiorniki balastowe podziurawione - zameldował podoficer.

Milland spojrział na duży głębokościomierz nad głową pilota. Położenie wskazówki ustaliło się na stu sześćdziesięciu metrach; śruby pracujące na wstecznym biegu wstrzymywały ześlizgiwanie się U-330 w głębiny.

- Akumulatory nie wytrzymają dłużej - zauważył Munt, odczytując myśli Millanda.

- Może spróbujemy zatkać dziurę?

- Sprawdza się w teorii - powiedział ostrożnie Munt - ale nigdy w praktyce.

- Skoro jest to nasza jedyna nadzieja, spróbujmy - odparł enigmatycznie Milland.

- Teraz! - wrzasnął Munt. Obrócił koło zamka i drzwi dziobowego przedziału torpedowego zostały wypchnięte, jak gdyby eksplodowała z nimi bomba, wypuszczając miniaturową falę morską, która omal nie zwała go z nóg.

Machin i Hoffman, dwaj mechanicy, których wybrano do tego zadania ze względu na ich potężną budowę, dali nura przez otwarte drzwi i zaraz znaleźli się po pas w wodzie. Strumień wody tryskający z dziury w kadłubie wydawał się mieć sztynność stalowego łożu - dwukrotnie wyrwał im z rąk uszczelniający tampon ze strzępów bawełny, gdy próbowali go wepchać do dziury. Za trzecim razem udało

im się go umocować, lecz woda tryskała wokół brzegów dziury jak z dyszy olbrzymiej polewaczki.

Munt odmówił płynącą z serca cichą modlitwę wdzięczności, nieprawdopodobny pomysł Millanda zdał egzamin, gdyż, dzięki Bogu, kadłub przedziurawiony został w jednym z wielu miejsc, gdzie nie był zasłonięty płatiną rur i przewodów elektrycznych. Brodząc w wodzie wszedł do przedziału torpedowego i podniósł słuchawkę.

- W porządku, kapitanie - poinformował Millanda. - Można włączyć pompy.

O brzasku popielata wieżyczka obserwacyjna U-330 z wolna wynurzyła się na powierzchnię Atlantyku, zdążając na powitanie wschodzącego słońca.

CZĘŚĆ TRZECIA

Zwycięstwo

1

Munt sięgnął po czapkę, zsalutował w odpowiedzi na szorstkie skinienie Millanda i wyszedł z kabiny, ugruntowując w sobie podejrzenie, że twarde spojrzenie kapitana jest spojrzeniem człowieka niedalekiego od pomieszczenia zmysłów.

Był 11 kwietnia, dwa dni po ataku na Łódź. Milland, załamany utratą Sarnego i Fischera, nie był w nastroju na przejmowanie się racjonalnymi argumentami Munta. Ignorując obecność pierwszego mechanika, skoncentrował się na wyrysowaniu położenia U-330 na mapie. Munt czekał cierpliwie. Wreszcie Milland podniósł wzrok.

- Jesteśmy siedemset mil na zachód od Dakaru na zachodnim wybrzeżu Afryki, Munt - powiedział spokojnie. - Jeżeli utrzymamy kurs, znajdziemy się na zachód od Azorów, by zostać poza zasięgiem szwadronu dalekiego zasięgu, stacjonującego w Bordeaux. Sądzę, że może pan powrócić do pomieszczenia kontrolnego.

Munt nie ustępował. - Z całym szacunkiem, kapitanie. Z rozwalonym lewym dieslem nie popłyniemy prędeż, niż te dwanaście węzłów. Z dziurą w kadłubie nie możemy zejść pod wodę, straciliśmy dwunastu ludzi i czynnik zaskoczenia. Jeżeli zatrzymanie "Tulsara" jest tak ważne, musimy powiadomić OKM.

Cierpliwość Millanda była niebezpiecznie blisko wyczerpania. Z wielkim wysiłkiem zapanował nad sobą, gdyż teraz Munt był jego pierwszym oficerem i miał prawo wyrazić swój punkt widzenia. Wstał i włożył czapkę.

- Zarządzam nadal ciszę w eterze, Munt - przerwał i twardym wzrokiem zlustrował głównego mechanika. - Powiem panu tyle. Dopóki mam Łódź, załogę i działa, będę służył rozkazów. Oczekuje się tego ode mnie, a ja oczekuję tego od pana.

2

Josephine zrównała krok z Holdenem, gdy ten, zgodnie ze swym zwyczajem, spacerował wczesnym rankiem po pokładzie.

- Dzień dobry, panie Holden.

Holden odpowiedział pozdrowieniem, nie zmienił jednak swego miarowego kroku.

- Jak już kiedyś panu powiedziałam, nigdy nie proszę ani nie oczekuję przysług.

Holden oparł się o poręcz i nachylił głowę, słuchając, jak dwie urszulanki na rufie śpiewają hymn. Ciche dźwięki jakby nadały zapach rzeżkiemu rannemu powietrzu. - Lecz teraz zamierzasz poprosić o nią? - zapytał.

- Wyperswadowałam panu Lewisowi pomysł zaskarżenia pana i kapitana Gerrarda do sądu za bezprawne aresztowanie, mimo że na coś takiego zasługujecie,

oraz spędziłam wiele godzin odpowiadając na skargi pasażerów dotyczące trwania naszej podróży. Powinniśmy byli przybić do Nowego Jorku tydzień temu.

- Nie obwiniaj mnie za płynięcie zygzakiem, Jo. Z tego, co wiemy, zatopiona przez nas łódź podwodna mogła być tylko jedną z całego ich stada.

- Wyjaśniłam to wszystko. Niemniej jednak pan Vanson chce wiedzieć, dlaczego robimy dziesięć węzłów, zamiast piętnastu lub więcej.

Holden wrócił do swego spaceru. - Niemieckie łodzie podwodne mają hydrofony - podwodne mikrofony. Im szybciej płyniemy, tym łatwiej im nas usłyszeć. Więc o co chodzi?

- Chcę się czegoś dowiedzieć o moim ojcu. Pan Colby powiedział, że można by nadać sygnał do Western Union w Panamie na falach krótkich, do przekazania do Nowego Jorku. Kiedy zapytałam go, ile kosztuje, odpowiedział, że muszę mieć pozwolenie kapitana. Wczoraj zapytałam kapitana, a on powiedział, że zależy to od pana. Skoro jest to nadal statek płynący pod banderą amerykańską, statek neutralny, panie Holden, i mogę zapłacić z własnej kieszeni za depeszę, nie widzę...

- Powiem panu Colby, że nie mam nic przeciwko nadaniu twojej depeszy, Jo

- przerwał Holden. Wskazał na Pieta, który stał na mostku machając do niego rękę.

- Przepraszam, ale jestem zwywany.

Holden wszedł do dziennej kabiny Gerrarda i zdziwił się nieco, widząc Fischera stojącego sztywno na baczność przed biurkiem kapitana. Młody oficer niemiecki trzymał czapkę pod pachą i patrzył na ścianę. Widać było, że bardzo się starał, żeby jego niegdyś zmoczony mundur wyglądał znośnie.

Gerrard pomachał wymiętym, tłącym się cygarem w kierunku Holdena i rzekł do Fischera: - On tu jest szefem. Powiedz mu, o co chodzi.

Oczy Fischera zwróciły się ku jasnowłosemu Anglikowi.

- Rozumie pan, jesteśmy jeńcami wojennymi. Powinniśmy być stosownie traktowani. Ten człowiek, Kramer, jest szpiegiem. Nie powinno się nas zamykać ze szpiegiem.

Gerrard parsknął. - Kramer jest zwyczajnym mordercą.

- Pan też, kapitanie - odparł Fischer, nabierając pewności siebie. -

W zeszłym roku zatopił pan jedną łódź, teraz moją. Jest pan Amerykaninem.

Neutralnym. Prawda?

Holden poczuł się nieswojo, zastanawiając się, co Kramer naopowiadał współwięźniom w przedziale dziobowym, i wyrzucił teraz sobie, że nie przewidział tego wcześniej. - Leutnant Fischer ma oczywiście rację - uśmiechnął się do Niemca. - Jeńców wojennych nie zamyka się razem z osobami cywilnymi. Jest to sprzeczne z Konwencją Genewską.

Gerrard nie słuchał, w zamyśleniu wpatrując się w Fischera.

- Kto ci opowiedział o łodzi, którą zatopiłem w zeszłym roku?

Fischer wyprężył się. - Mój dowódca - powiedział dumnie. - Kapitanleutnant Milland.

Krzeseł Gerrarda przewróciło się. Gorący popiół z cygara spadł mu na odwróconą dłoń, lecz on nie zwracał na to uwagi.

- Kto? - wydusił.

Reakcja Amerykanina przstraszyła niemieckiego oficera.

- Kapitanleutnant Milland - powtórzył nerwowo.

Holden spod uniesionych brwi przyglądał się Gerrardowi z zainteresowaniem.

- Kurt Milland? - prawie wrzasnął Gerrard. - Więc Kurt Milland był kapitanem waszej łodzi podwodnej?

Fischer był zdezorientowany. - Pan wiedział, prawda? Powiedział nam, że wybrano go na dowódcę, bo znał pana.

Gerrard z roztargnieniem otrzepał dłonie z popiołu. Po kilku sekundach przemówił. - Kurt był moim pierwszym oficerem na tym statku. Byliśmy starymi kumplami. W ostatnim liście napisał, że jest instruktorem w marynarce. Nic nie wspominał o łodziach podwodnych...

Głós Gerrarda zamilkł. Holden skorzystał z okazji, by zadać najważniejsze pytanie. - Dlaczego wysłali łódź podwodną, żeby nas załapać? Dlaczego nie coś szybszego? A może płynęliście specjalnie przygotowaną łodzią?

- Nie wolno mi odpowiedzieć na to pytanie - odparł Fischer ponuro.

- Jak sobie radził z nogą? - zapytał nagle Gerrard. - Na to wolno ci odpowiedzieć.

- Nieźle - przyznał Fischer, myśląc o tym, jak sprowadzić rozmowę na temat Kramera. - Po jakimś czasie przestaliśmy o tym myśleć.

Gerrard potrząsnął głową. - Chryste, miał charakter. Widziałem jego kikut po wachcie na wzburzonym morzu koło Falklandów. Masa krwi i bąbli. Ani słowa skargi. Nic. - Amerykanin pogrążył się w zamyśleniu.

Fischer stał dalej na baczność, nie rozumiejąc prawie nic z tego, co powiedział Gerrard.

Holden skinął na Pieta wokół drzwi i powiedział do Fischera: - Musicie pozostać z Kramerem w przedziale dziobowym. Nie mamy innego pomieszczenia. Przykro mi.

Fischer miał zamiar wspomnieć o dziwnych metalicznych zgrzytach, które on i jego ludzie słyszeli często, lecz zdecydował, że nie zainteresuje to tych dwóch. Pozwolił Pietowi odprowadzić się.

- Dziwię się, że Niemcy wysłali na nas łódź podwodną - zauważył Holden, gdy zostali sami z Gerrardem.

Ale Gerrard nie odpowiedział, myślami był z Kurtem Millandem i koszmarne żywym wyobrażeniem jego uszkodzonej łodzi podwodnej ześlizgującej się bezradnie w milczącą otchłań.

3

- Zatrzymać silniki - polecił Milland przez rurę głosową.

Rura wydechowa ucichła i łódź zwolniła. Milland dobrze obliczył czas wydania rozkazu, bo łódź zatrzymała się, kołysząc lekko pośród śmieci pływających po powierzchni.

Dwóch ludzi uzbrojonych w bosaki na drugich uchwytach uklękło na pomoście i zaczęło wybierać odpadki na pokład.

- Uważajcie na papiery! - krzyknął Milland. - Nie chcę, żebyście je potargali!

Mężczyźni starannie odwijali przemoczone kawałki papieru z haków i rozkładali je na pokładzie.

- Müller! - krzyknął Milland do mężczyzny, który z zaciekawieniem przyglądał się swym kolegom. -

Umiesz pływać. Zbierz ile się da! - Wskazał na kawałek kartonu pływającego paręset metrów od łodzi.

- To też.

Müller niechętnie ściągnął popielaty wojskowy dres i nagi dał nurka w morze. Dopłynawszy sięgnął po karton.

Milland zszedł z mostka po drabinie i kuśtykał po pokładzie trzymając się przewodu połączeniowego. Zatrzymał się obok dwóch mężczyzn i przyglądał

odpadkom, które zebrali. Większość kawałków papieru była w daleko posuniętym stanie rozkładu, nie dało się więc określić ich pierwotnego przeznaczenia.

Tłuszczoodporny papier po dwukilowym bloku południowoafrykańskiej margaryny zachował się nad podziw dobrze, nie było jednak niezawodnego sposobu na określenie, jak długo był w wodzie.

Morze wokół U-330 upstrzone było obierzynami z warzyw. Milland zrozumiał, że próba określenia, jak dawno śmieci zostały wyrzucone, dałaby bardzo niepewny wynik. Nie mógł być także pewien, czy papier z margaryny pochodził z "Tulsara", ponieważ Afryka Południowa była jednym z głównym dostawców żywności dla aliantów.

Przyjrzał się odpadkom podskakującym na fali. Śmietnik rozciągał się na powierzchni o średnicy około dwustu metrów. Był prawie pewien, że odpadki nie przebywały w wodzie dłużej niż dwa dni, w innym przypadku zostałyby rozniesione na znacznie większej przestrzeni przez wiatr i prądy morskie.

Müller podpłynął z boku na łodzi, pchając przed sobą rozmokłe resztki dużego tekturowego pudła. Koledzy pomogli mu wejść na pokład i ostrożnie rozłożyli trofeum na pomoście, by Milland mógł je obejrzeć.

- Odwróćcie to - rozkazał Milland. - Ostrożnie, dumnie!

Jeden z ludzi delikatnie zebrał miękką tekturę z pomostu i odwrócił. Wyblakłe resztki kolorowej naklejki wskazywały, że karton zawierał kiedyś dwa tuziny południowoafrykańskich brzoskwiń. Na jednej z pustych ścianek kartonu widniał napis wykonany ołówkiem. Milland przyklęknął niezgrabnie na zdrowym kolanie, by mu się przyjrzeć. Był to wypisany naprędce dowód wykonania dostawy. Sądząc po niedokładnie napisanych literach, myślał Milland, ten, kto pisał, musiał powtórzyć tę samą rzecz na wielu podobnych kartonach. Tekst brzmiał: TULSAR PT NATAL D/BAN.

Bez słowa, ze zmarszczonymi brwiami Milland chwycił kabel i stanął na nogi.

Trzech mężczyzn patrzyło, jak sylwetka dowódcy kulejąc wraca do wieżyczki obserwacyjnej. Podźwignął się na mostek i zdjął pokrywę rury głosowej.

- Mechanik! Ten sam kurs. Cała naprzód. Wszystko, co macie.

Falowanie zmniejszyło się, gdy U-330 znów ruszyła w drogę. Milland spoglądał na wprost, gdzie dziób łodzi podwodnej mierzył wprost na północ.

Czterdzieści osiem godzin - pomyślał - tysiąc mil.

Był do tego stopnia zdecydowany schwytać i zniszczyć swą zdobycz, że nawet odległość dziesięciu tysięcy mil nie byłaby dla niego przeszkodą.

4

Holden wszedł do restauracji "Tulsara", gdy podawano poobiednią kawę i herbatę. Skinął głową w stronę Herbiego Lewisa i położył kopertę przed Josephine.

- Jack Colby właśnie dostał odpowiedź na twoją depezę, Jo.

Josephine otworzyła kopertę i przeczytała wiadomość. Zmięła kartkę i wyrzuciła do popielniczki. - Wydaje mi się, że wie pan, co tam jest? - zapytała chłodno.

- Twojemu ojcu zostało mniej niż trzy tygodnie. Bardzo mi przykro, Jo.

- Nie chcę współczucia, panie Holden. Chcę tylko, żeby ten przeklęty statek dopłynął wreszcie do Nowego Jorku.

- Było już wiele skarg, panie Holden - dodał za Josephine Herbie Lewis.

- Ze skargami umiem sobie radzić - odparł Holden. - Torpedy sprawiają więcej kłopotów. - Wyszedł na środek restauracji.

- Panie i panowie, czy mogę prosić o uwagę?

Cichy szum rozmów i brzęk szklanych ucichły, a pasażerowie zwrócili się

z zainteresowaniem ku mówiącemu.

- Jak państwo wiecie - zaczął Holden - "Tulsar" miał płynąć do Nowego Jorku, lecz właśnie otrzymaliśmy od właścicieli polecenie, że mamy zawinąć do Falmouth w Kornwalii. - Przerwał. Kilkoro pasażerów, łącznie z Josephine, spoglądało nań w oszołomieniu. - Aby umożliwić państwu jak najszybsze dotarcie do domu, kompania wykupiła dla was miejsca pierwszej klasy na amerykańskim liniowcu, który odpływa z Liverpoolu dnia...

- Powoli, powoli, panie Holden. - Człowiekiem, który przemówił, był Eli Vanson, z cygarem wciśniętym w kącik ust jak talizman, człowiek, na którego sposób wyrażania się nie wpływała w najmniejszym stopniu obecność zakonnicy. - O co do jasnej cholery chodzi z tym płynięciem do Anglii?

Holdenowi nie dane było odpowiedzieć. W tejże chwili kadłub "Tulsara" przebiegł nagi, konwulsyjny dreszcz i statek zatrzymał się, przekazując swoją prędkość dziesięciu węzłów pasażerom i wszystkiemu, co nie było przymocowane do podłogi. Sala przemieniła się w istne piekło, gdzie pasażerowie, stoły i krzesła rzucone zostały o ścianę i zmienione w przerażoną masę falujących rąk i nóg. Ktoś krzyknął:

- Trafiliśmy na minę! Toniemy!

Holden po silnym uderzeniu w splot słoneczny stracił dech. Przez kilka sekund jego świadomość zdominowana była potrzebą zaczerpnięcia świeżego powietrza. Podniósł się na kolana i omal nie został wgnieciony w podłogę przez kogoś gwałtownie pracującego do drzwi. Ludzie krzyczeli, próbując wyplątać się spośród stołów, krzeseł i innych osób. Wszecchobecne okrucy porcelany wgniatano sobie w ciała. Uporządkowany świat poobiedniej kawy i rozmów został zniszczony w mniej niż dwie sekundy i zastąpiony pełnym paniki chaosem.

Holden wstał z trudnością, po czym odciągnął Josephine i Lewisa od zdjętego paniką tłumu ludzi, którzy za wszelką cenę próbowali wydostać się na zewnątrz. Po minucie zorientowali się, że zostali sami w restauracji, nie licząc dwóch urszulanek, zajmujących się stewardem, który złamał obojczyk.

- Wszystko w porządku? - zapytała starsza z sióstr. Ich trójka była cała i zdrowa oprócz kilku siniaków i zadrapań.

- Co się stało? - zapytał Lewis, odnalazłszy swoje okulary wśród okruców szkła i porcelany na podłodze.

- Jedno wiem na pewno - odparł Holden, zмирzając ku drzwiom. - Statek tonie.

"Tulsar" stał w miejscu, kołyszając się niebezpiecznie na wysokiej fali. Piet opuścił grupki zaniepokojonych pasażerów i załogi, które zbierały się wokół szalup ratunkowych od zawietrznej, i pospieszył ku Gerrardowi.

- Załany przedział dziobowy, kapitanie - odpowiedział na pytanie Gerrarda.

- Zdaje się, że uderzyliśmy w coś dużego.

- Mamy szczęście, że zamknąłeś drzwi tak szybko, Piet.

Piet spojrział szeroko otwartymi oczami na Gerrarda. - One były już zamknięte, kapitanie, więźniowie...

Nim Piet zdążył dokończyć zdania, Gerrard ruszył pędem po bocznym pomoście w kierunku dziobu. Wychylił się przez burtę, lecz jej wygięcie zasłaniało widok na zaostzoną dziobnicę w miejscu, gdzie spotykała się z linią wodną. "Tulsar" unosił się leniwie na fali, dokładnie tak samo, jak po staranowaniu niemieckiej łodzi podwodnej na Oceanie Indyjskim. Za każdym razem, gdy statek opadał w dolinę fali, dawał się słyszeć głuchy zgrzyt ocierających się o siebie, poluzowanych

i oderwanych blach.

- Nie widać żadnej kłody drewna - powiedział Piet, dołączając do stojącego przy barierce Gerrarda. - Więc w co uderzyliśmy?

- Otwórzmy to, Piet - polecił Gerrard.

We dwóch otworzyli właz do przedziału kotłowniczego, znajdującego się nad zalany przedziałem dziobowym, potrzaskiem, w którym znajdował się Kramer i sześciu z załogi łodzi podwodnej - prawdopodobnie nieżywi.

Światło dzienne padło na masę galwanicznej stali łańcucha kotwicznego. Miał długość trzystu sześćdziesięciu metrów, trochę większą od dwukrotnej długości "Tulsara".

Gerrard dał znak, żeby spuszczone kotwicę. Rozległ się głośny szcęk sterowanych hydraulicznie zapadek, a po nim plusk, gdy patentowa kotwica uderzyła w powierzchnię morza. Pogryzła się w wodzie, z ogłuszającym łoskotem ciągnąc za sobą przez kluzę łańcuch.

W momencie gdy cały łańcuch kotwiczny został spuszczone, Gerrard zeskoczył na dół. Ukląkł i przyłożył ucho do stalowej podłogi. Słyszał, jak woda chlupie tam i z powrotem w zalany pomieszczeniu. Oznaczało to, że w środku było powietrze. Walnął kilka razy pięścią w podłogę. Odpowiedziało mu metaliczne stukanie. Bardzo słabe, ledwo słyszalne, ale zbyt regularne, by mogło pochodzić nie od człowieka. Gerrard owinał sobie w pasie cumę dziobową, a Piet założył drugi koniec liny na kołowrót.

Josephine i Holden wraz z innymi pasażerami patrzyli, jak Gerrard znika za burtą. Josephine wychyliła się i ujrzała, jak odbija się nogami od dziobu "Tulsara". Źle obliczył sobie jednak wybiecie i wprawił się w ruch obrotowy. Piet włączył kołowrót na wolny bieg i opuścił Gerrarda, tak że jego stopy sięgały teraz fali. Jedna z większych ogarnęła go aż do pasa. Gdy opadła, a on znalazł się nad wodą, ujrzał w przelocie rozerwane, wygięte na zewnątrz blachy. Dał znak Pietowi, by nie opuszczał go niżej, i wpatrywał się w miejsce, gdzie wirująca kipiela spotykała się z dziobnicą. Klął na pianę, która mąciła przejrzystą wodę.

Na sekundę czysta, nie złamana fala zmyła kłębiącą się pianę, co dało mu możliwość zerknięcia poniżej linii wodnej i pełnej oceny rozmiarów uszkodzenia "Tulsara".

Zrobił palcem kółko, sygnalizując Pietowi, by go wyciągnął.

- Te pętaki w Durbanie spieszyły całą robotę - rzucił z wściekłością, gdy wrócił na pokład dziobowy. - Spawy i nity puściły od linii wodnej aż do podstawy. Rozdziawił się jak łupek w rui.

Piet zaklął w swoim języku. - Da się ich wydostać przez dziurę?

- Nie ma mowy. Jest za mała, a blachy pocięłyby ich na strzępy. Możemy tylko próbować przez podłogę przedziału kotwicznego.

- Jak, kapitanie?

- Wytniemy dziurę! A co myślałeś?

- Zaraz jak wywiercimy nawet najmniejszą dziurkę - psssssst! i całe powietrze ucieknie - zauważył Piet.

Gerrard nie pomyślał o tym. - Niech to szlag - wymamrotał. Zastanowił się przez chwilę. - Niech to szlag jasny trafi - powtórzył. Podniósł głowę. Holden przyglądał mu się uważnie.

- Czy możemy prowadzić akcję ratunkową płynąc, kapitanie?

Gerrard spojrział spode łba. - Przy prędkości powyżej dwóch węzłów oblachowanie zerwie się z wręg. Jeżeli zerwie się za grodzią wodoszczelną, dupa

zbita - pompy nie dadzą rady. Niestety, panie Holden, wygląda na to, że jakiś czas będziemy tu uwięzieni.

Godzinę później Gerrard rozłożył na swym biurku plany "Tulsara" dla Colby'ego i Brody'ego, którzy nie znali tak dobrze budowy statku jak Piet. Holden spojrział na nie z zaciekawieniem i odgadł, że odręczne szkice, które Gerrard dał mu w Durbanie, musiały być sporządzone z tych właśnie planów.

- Wiemy dwie rzeczy - zaczął Gerrard - po pierwsze, przynajmniej jeden z nich żyje, a żeby ich wyciągnąć i naprawić dziób, musimy podnieść "Tulsara" nad wodę.

- Tak po prostu z wody, szefie? - rysy twarzy zawodowego boksera starały się, jak mogły, oddać zdziwienie Brody'ego.

- Tak po prostu - potwierdził Gerrard.

- Szalony - zamruczał Colby - jest pan szalony, wie pan?

Gerrard spojrział w twarz swego radiooperatora.

- Oprócz wyratowania tych ludzi musimy i tak podnieść dziób, żeby go naprawić. Jeżeli próbujemy się ruszyć w naszym stanie, nie jest wykluczone, że ciśnienie wody wysadzi wodoszczelną gródź albo rozpruje kadłub za ścianą. Tak czy siak nasze szanse utrzymania się na powierzchni są bardzo niewielkie.

- A gdyby tak przesunąć ładunek na rufę? - zaproponował Piet. Dwieście ton ołowiu na pochylni wyniesie dziób dość wysoko nad wodę.

Gerrardowi stanęła przed oczami przygnębiająca wizja złota ześlizgującego się skrzynia po skrzyni po pochylni w Atlantyk. Spojrział na Holdena i uśmiechnął się. Anglik nie odpowiedział - wydawał się zajęty czym innym. Gerrard zwrócił się do Pieta.

- Jak zabezpieczyć skrzynie przed zsunięciem?

- Bardzo łatwo - odpowiedział Piet. - Zaklinować pierwszy rząd. Nie ma problemu.

- Jest do cholery i trochę roboty z przerzuceniem dwustu ton ołowiu, szefie - pokręcił głową Brody.

- Wypieprzymy to - zaproponował Colby. - Chryste, co to jest dwieście ton ołowiu w porównaniu z tym statkiem?

- Dość dużo, jeśli pomoże podnieść dziób nad wodę - zauważył Piet.

Gerrard spoglądał pytająco na Holdena. - Ma pan jakiś pomysł, panie Holden?

Anglik uśmiechnął się. - Myślę, że dwieście ton ołowiu przerzuczone na rufę zwiększy kołysanie statku i zajdzie niebezpieczeństwo przewrócenia go.

Gerrard popatrzył na Holdena i twarz wypogodził mu uśmiech.

- Wie pan co, panie Holden? Pierwszy raz nadajemy na tej samej długości fali. Musimy zastanowić się nad niezawodnym sposobem podtrzymania "Tulsara".

- Co byście powiedzieli na przymocowanie pływaków wokół dziobu? - zapytał Holden.

- Świetny pomysł. Kłopot z właścicielami polega na tym, że mają dużo świetnych, ale niepraktycznych pomysłów. Tak się składa, panie Holden, że mamy bardzo małe zapasy pływaków.

Sarkazm Gerrarda nie wzruszył Holdena. - Kłopot z wielorybnikami polega na tym - zauważył znużonym głosem - że zwykle brakuje im wyobraźni.

Przez chwilę Gerrard miał wielką ochotę porachować się z protekcyjnym uśmiechem Holdena używając swych pięści, lecz Anglik nie był wcale głupi, a słuchanie nic nie kosztowało.

- W porządku - powiedział - Posłuchajmy, co się wylęgło pod tymi złotymi

loczkami.

5

Pięć dni później poszukiwania uwieńczone zostały powodzeniem.

Gerrard dojrzał nagle srebrzyste fontanny oddechów wielorybich. Pomachał skrzydłami i ostro poszybował w górę. Dwie szybkie łodzie, wykonując plan, który zawsze zdawał egzamin, oddzieliły się od siebie i zmniejszyły prędkość do piętnastu węzłów, by umożliwić działanie harpunnikom.

Gerrard zaczął krążyć na wysokości trzystu metrów, dokładnie nad wielorybami. Spojrzał w dół. Łodzie, zataczając kręgi zbliżały się na pozycje z tyłu niczego nie podejrzewających stworzeń. Harpunnik Pieta, skulony za swoim działem, nakierował je na ogon najbliższego wieloryba. Lewa ręka uniosła się nagle w powszechnie zrozumiałym geście. Łódź Pieta przyspieszyła i skręciła w bok. Gdy wyprzedzała płynącego od nawietrznej strony wieloryba, celowniki działa przemierzyły długość niebieskopopielatego grzbietu, aż dotarły do masywnej, zaokrąglonej głowy.

Gerrard ujrzał, jak błysnął odpalony harpun i zarył się głęboko w mózgu zwierzęcia. Głowica wybuchowa eksplodowała cicho pod grzbietem, dając to, co wielorybnicy nazywają "czystym" trafieniem. W jednej sekundzie inteligentne, żywe, oddychające i ciepłokrweste stworzenie zmieniło się w bezwładną masę mięsa i kości, którą, jak mówili wielorybnicy, można całą zamienić na gotówkę, z wyjątkiem oddechu. Śmierć wieloryba była tak nagła, że nie zdążył się porozumieć z towarzyszkami w grupie, płynęły dalej swobodnie, nie zauważwszy, że jeden z nich pozostawał coraz dalej i dalej z tyłu.

Łódź Pieta zmieniła kurs, by dać czas harpunnikowi na powtórne załadowanie.

Brody podpłynął łodzią z drugiej strony gromady. Kłęb dymu z działa porwany został przez wiatr. Następne czyste trafienie. Lina przymocowana do harpuna metrowej długości odwijająca się ze zwoju pod stopami strzelca, by zmniejszyć niebezpieczeństwo zaplątania się w nią i zostania wciągniętych w głębinę przez nurkującego wieloryba. Malajscy chłopcy w kokpicie przyczepili do końca liny dużą, jasnopomarańczową boję i wrzucili do morza.

Drugie trafienie Pieta nie wyszło zbyt dobrze: harpun eksplodował na głowie samca, wyrывая potworny krater w jej wybrzuszeniu. W panice zwierzę dwa razy wydmuchnęło powietrze i zanurkowało, a jego dziko walący ogon zamienił morze w kłębowisko piany, nim zniknął z oczu. Trzy pozostałe kaszaloty - młody samiec i dwie samice - również zanurkowały.

Gerrard domyślił się, że ranny wieloryb zanurkował zbyt szybko, by zdążyć zaopatrzyć swój krwiobieg w wystarczającą ilość tlenu; nie mógł pozostawać w zanurzeniu dłużej niż dziesięć minut. Piet myślał chyba tak samo, bo skierował swą łódź do miejsca położonego o pół mili do przodu w stosunku do punktu nurkowania wielorybów. Zataczał łodzią szerokie koła, podczas gdy harpunnik ładował działo. Lecz drugi strzał nie był konieczny, umierające zwierzę wypłynęło dokładnie w środku koła zatoczonego przez Pieta i zdołało jeszcze raz słabo wydmuchnąć powietrze.

Gerrard widział, jak morze barwi się na czerwono krwią płynącą strumieniem ze strasznej rany. Trafione zwierzę wpadło w "trzepot" - nazwą tą wielorybnicy opisują śmiertelne konwulsje dorosłego kaszalota.

Gerrard skontaktował się z Pietem przez radio i pogratulował mu czystych trafień.

"Tulsar" znajdował się o godzinę lotu na południe. Przez kilka dni stał w miejscu, kołysząc się bezsilnie na fali, zdany na łaskę i niełaskę wiatru i przepływających niemieckich łodzi podwodnych. Na szczęście znajdował się dość

daleko od szlaku konwojów, gdzie było ich więcej. Teraz nareszcie znalazły się środki na przeprowadzenie naprawy statku, która umożliwi kontynuowanie bardzo opóźnionego rejsu do Anglii.

6

Wysiłek dowodzenia U-330 bez dwóch oficerów zaczynał się dawać we znaki Millandowi. Nie ogołony, z zaczerwienionymi oczyma patrzył groźnie na Dietera Vennera, jak gdyby podejrzewał, że ten chce mu spłatać jakiegoś figla.

- Oczekuje pan, że uwierzę w te bzdury? Naprawdę myśli pan, że Robert Gerrard poluje na wieloryby? Myśli pan, że jestem głupcem? Myśli pan, że on jest głupcem?

- Mówię panu tylko to, co słyszałem, kapitanie - powiedział spokojnie Venner. - Nie twierdzę, że słyszałem "Tulsara", lecz na pewno ktoś podawał łodzi wielorybniczej namiary po angielsku.

- W samym środku Atlantyku - w środku wojny? Venner nie chciał się sprzeczać. Jako doświadczony marynarz zorientował się, że Milland, poza nałożonym na niego dodatkowym ciężarem, cierpi na nerwicę zwykłą pod koniec patrolu.

- I co, panie Venner?

- Czy istnieje przemyśl wielorybniczy na Azorach, kapitanie?

- Istnieje - Milland spoglądał groźnie na Vennera. - I co z tego, jeżeli mogę zapytać?

- Może była to jedna z ich łodzi? - Venner żałował, że usłyszał rozmowę.

- Czy był pan kiedyś w Horcie na Azorach?

- Nie, kapitanie.

- Wielorybnicy są tam biedni, bardzo biedni. Mogą sobie ledwie pozwolić na paliwo do swych łodzi. - Głos Millanda nagle zmienił się w krzyk: - A już na pewno nie mogą sobie pozwolić na radio i nie mówią po angielsku! Venner skapitulował. - Chyba się pomyliłem - wymamrotał. Założył z powrotem słuchawki i wrócił do przełączników i potencjometrów.

- To ja się pomyliłem, przyjmując pana jako swego radiooperatora - rzekł opryskliwie Milland.

Ten właśnie moment wybrał Munt na wejście do pomieszczenia kontrolnego z maszynowni.

- Czy mogę prosić na słowo, kapitanie? - na twarzy głównego mechanika malował się niepokój, choć nawet w niebezpiecznych chwilach, gdy U-330 o mało nie zatoneęła, nie opuszczała go pogoda ducha.

- Słucham - rzekł Milland.

Munt spojrział na sternika i młodszego mechanika, Siedzących na swych stanowiskach. - Kapitanie, przejdźmy do pańskiej kajuty albo do mesy.

Milland nie ustępował. - Dlaczego nie tutaj?

Munt odebrał i właściwie zinterpretował oznaki nadchodzącej burzy. Serce w nim zamarło, lecz nie miał wyboru, jego obowiązkiem było informowanie Millanda na bieżąco. Munt miał silne poczucie obowiązku. Oblizał wargi i próbował nie patrzeć w oczy Millanda, nie wyspane, jarzące się złym blaskiem.

- Silnik się przegrzewa, kapitanie - Munt przerwał, lecz Milland nie zareagował, zmuszając go, by ciągnął dalej. - Ciśnienie oleju spadło o dziesięć procent, co sprawia, że wał i układ rozrządu przegrzewają się. Zwiększyłem przepływ wody do wymienników ciepła, trochę pomogło, ale temperatura nadal powoli wzrasta. Milland chłodno spojrział na głównego mechanika. - Więc?

- Powinniśmy się zatrzymać, żebym mógł zajrzeć do pompy olejowej.

Twarz Millanda pozostawała bez wyrazu. - Na jak dłużej? - warknął, opuszczając grzecznościowy tytuł Munta.

- Dwie godziny, kapitanie.

- Wykluczone. Musimy płynąć z maksymalną prędkością.

Szorstka odmowa wzbudziła uzasadniony gniew Munta. Dowódca łodzi miał obowiązek wysłuchać i spełnić uzasadnione prośby głównego mechanika. Popatrzył z gniewem na Millanda.

- Nie kwestionuję pana rozkazów, kapitanie, lecz usilnie zalecam jak najszybszy przegląd pompy olejowej, by uniknąć uszkodzenia silnika.

Milland zrobił krok w kierunku Munta. Twarze ich dzieliła przestrzeń kilku centymetrów. Munt ujrzał kroplę potu na czole kapitana.

- Właśnie ty o panu robi! - warknął Milland. - Kwestionuje pan moje rozkazy. Dlaczego? Czy pan wie, jaka jest stawka?

- Wiem, jaka jest stawka, kapitanie - odparł cicho Munt.

Jego spokój wydawał się jeszcze bardziej rozwścieczać Millanda.

- Sądzi pan, że można lepiej dowodzić tą łodzią, Munt? He? Skoro tak, niech mi pan powie, jak łódź ma wypełnić swoje zadanie, kołysząc się bezwładnie na powierzchni, gdy pan sobie dźubie w silniku? Wie pan, co mamy zrobić, prawda? Mamy zdobyć złoto "Tulsara". Albo go zatopić. Czegoś takiego nie da się osiągnąć z unieruchomionym silnikiem, gdy pan traci czas dźubiąc... - Milland zorientował się, że się powtarza, i przerwał w pół zdania.

- Nie mamy zbyt wielkich szans dogonienia "Tulsara" na jednym silniku - zauważył Munt, starając się, by głos jego brzmiał uprzejmie. - A zupełnie żadnych, jeżeli silnik się zatrze.

Milland spojrział na niego spode łba, wietrząc niesubordynację. Główny mechanik patrzył mu w oczy bez drżenia.

- Płyniemy dalej pełną mocą - oświadczył Milland z uporem. Nie czekając na odpowiedź odwrócił się plecami do Munta i przełożył nogę przez zaokrąglone drzwi prowadzące do kajuty.

Munt spojrział na Vennera i zatoczył krąg, sprytnie przekształcając sugestywny gest w odgarnięcie z oczu pasma włosów.

7

Koło trzeciej rano łoskot czyniony przez marynarzy pracujących na pokładzie stał się nie do zniesienia i Josephine porzuciła ostatecznie próby zaśnięcia. Ubrała się i wyszła po drabinie na pokład oprawiania wielorybów. Byli tam już Vansonowie, chronieni grubymi warstwami ubrań przed wiatrem i wodnym pyłem, i markotnie spoglądali na grupę marynarzy wyciągających skrzynie z ładowni i przenoszących na pochylnię, gdzie mocna barykada chroniła je przed zsunięciem się w morze. Gdy oczy Josephine przywykły do blasku z przenośnych reflektorów, ujrzała, że rufa "Tulsara" jest bardzo nisko, a pochylnia wielorybów została zalana do połowy wodą. Pracujący z tej strony ludzie pogrążeni byli po pas w czarnej, falującej wodzie, starając się zabezpieczyć linami skrzynie.

- Wyciągnęli już tych ludzi? - zapytała Josephine.

- Bóg jeden wie - wymamrotał Eli Vanson. - Boże, co za zwariowany statek

- nawet cholerna załoga nie wie, co się u diabła dzieje.

- To nie jej wina, Eli - powiedziała z wyrzutem pani Vanson.

Josephine zostawiła ich spierających się i ruszyła do przodu, zwracając uwagę na kołysanie statku i orientując się zawczasu w położeniu uchwytów.

Holden wychylał się za burtę pod wiązką reflektorów zamocowanych na podłużnych belkach, by oświetlały wodę poniżej. Josephine stanęła obok niego i spojrzała w dół. Widok wielorybów zaszokował ją: olbrzymie cielska, przywiązane wokół dziobu, były groteskowo napęczniałe, przekraczając dwukrotnie swe zwykłe rozmiary. Gdy tak patrzyła, spuchnięte zwierzęta zanurzyły się, a liny opasujące ich ciała naprężyły się wrzynając w grubą, elastyczną skórę.

- Dlaczego są takie wielkie? - zapytała.

Wydawało się, że Holden dopiero teraz ją zauważył. Była wstrząśnięta zmęczeniem malującym się na twarzy Anglika.

- Nadmuchano je sprężonym powietrzem - odparł Holden.

- Po co?

- Żeby powiększyć wyporność i podnieść dziób nad wodę.

Jakiś człowiek wyskoczył spod nawisu dziobowego i wylądował na grzbiecie jednego ze zwierząt, gdzie podparł się oskardem służącym do oprawiania wielorybów. Był to Gerrard.

- Więc jeszcze ich nie wyciągnęli? - zapytała, domyślając się, jaka będzie odpowiedź.

- Jeszcze nie. Za dwie godziny. Może trzy. Nie wiem. Nagle własne problemy wydały się Josephine nieważne, a nurtujący ją gniew na Holdena z powodu zmiany portu docelowego zniknął bez śladu.

- Niech pan posłucha - rzekła tonem perswazji. - Nie ma sensu, żeby pan tu stał przez następne trzy godziny i zamarzał na śmierć. Otworzę kuchnię dla pasażerów i zrobię trochę kawy. Chodźmy. - Wzięła Holdena za rękę, dziwiąc się w duchu, że jej posłuchał. Sprowadziła go na dół do restauracji i wpełnęła na fotel. Siadł nie skarżąc się i nie stawiając oporu. Wyglądał na wyczerpanego.

- Niech pan tu zostanie. Za pięć minut kawa będzie gotowa. Chciałby pan też soku pomarańczowego?

Holden uśmiechnął się słabo. - Tylko kawy, Jo.

Wróciła pięć minut później z dzbankiem kawy, by ujrzeć, jak Holden zsunął się do przodu, pogrążony w głębokim śnie. Nie pozostawało nic innego, jak wygodnie go ułożyć i siedzieć popijając kawę w oczekiwaniu na świt.

Dwie godziny później członkowie ekipy ratunkowej byli gotowi do wycięcia dziury w podłodze przedziału kotwicznego, by dotrzeć do uwięzionych.

Piet i Gerrard podawali na dół zimne dżuta i młoty kowalskie ludziom pracującym w małym pomieszczeniu. Minutę później pasażerowie, którzy zdołali zasnąć tej nocy, obudzeni zostali głośnym łomotem stali o stal.

8

Zgrzyt piły wrzynającej się w strzaskaną kość piszczelową Millanda przywrócił mu krzykiem świadomość, plecy wygięły się w łuk od potwornego bólu.

- Na miłość boską, dajcie więcej chloroformu przez kroplówkę - powiedział głośno. Należało do szarych oczu między rozczochraną szczotką ciemnych włosów a maską z gazy.

Milland poczuł ucisk na klatce piersiowej, który z powrotem ułożył mu plecy na stole z nierdzewnej stali. Coś założono mu na nos i usta. Próbował stawiać opór, lecz mdły opar napełniający jego wymęczone płuca wyssał resztki siły z okaleczonego ciała. Ból, jak gorący ołów wstrzykiwany mu w kręgosłup, pozwoli zanikał, choć zgrzyt piły zdawał się być coraz głośniejszy.

- Chryste, ten drań ma chyba goleń ze stali węglowej.

- Skąd ja mam, do diabła, wiedzieć? Nigdy wcześniej nic takiego nie ciąłem.

Zostaw tę tętnicę, ja pociągnę dalej.

Milland zachichotał do siebie, nim zapadł w sen. Minęła minuta i znów zaczęli nim potrząsać.

- Kapitanie...

- Jezu, co za paskudztwo.

- Widziałem gorsze.

- Mam dalej podawać chloroform?

- Kapitanie!

- Dajcie mi spać, na miłość boską.

- Kapitanie!

Milland otworzył oczy. Szare oczy i maska z gazy zniknęły. Człowiek, który nim potrząsał, nosił szarą, bezkształtną bluzę od munduru i workowate spodnie marynarza łodzi podwodnej. Na naramienniku widniał piorun - odznaka radiooperatora trzeciej klasy. Był jednym z ludzi Vennera.

- Przepraszam, kapitanie, ale pan Venner kazał pana obudzić. Nie odpowiadał pan na jego wezwanie przez głośnik - oczy marynarza popatrzyły nerwowo na głośnik zamontowany na ścianie nad koją Millanda.

Ten zaklął i wstał. Zasnął z założoną protezą. Przez chwilę po przebudzeniu miał złudzenie, że palce u nogi są na swym miejscu. Znajomy ból powrócił do kikutu, gdy przeniósł nań wagę swego ciała i złudzenie zniknęło bez śladu. Ignorując radiooperatora schylił głowę i wszedł do pomieszczenia kontrolnego przez wodoszczelne drzwi.

- Wzywał mnie pan, Venner? - ostry ton głosu Millanda nie był spowodowany niedawnym przebudzeniem, był teraz stałą cechą jego charakteru.

Podoficer miał założone słuchawki hydrofonu. Obrócił krzesło w kierunku dowódcy, gdy ten przemówił do niego.

- Tak jest, kapitanie. Odbieram słabe sygnały na mikrofonach stąpkowych, których nie potrafię wyjaśnić. Jeżeli moglibyśmy się zatrzymać...

- Odgłosy naszej własnej śruby? Obudził mnie pan, bo słyszy pan odgłosy naszej własnej śruby?

Głos Vennera nadal brzmiał uprzejmie. - Odgłosy, których pochodzenia nie potrafię wyjaśnić, kapitanie. Gdybyśmy się zatrzymali, mógłbym...

- Wykluczone - przerwał Milland.

Venner bez słowa przesunął krzesło ku konsoli. Sternik obrócił się, by spojrzeć na Millanda, i pospiesznie skoncentrował się znów na żyrokompasie.

W pomieszczeniu kontrolnym U-330 zapanowała kłopotliwa cisza, przerywana tylko miarową pracą samotnego silnika po prawej stronie.

- Jakie to odgłosy? - zapytał wreszcie Milland.

- Nieregularne szczękanie. Chyba nie żadna maszyna.

- Namiar?

- Prosto przed nami, ale nie jestem pewien, kapitanie. Jest zbyt dużo szumów kawitacyjnych wokół mikrofonów.

Milland zdjął z widełek słuchawkę interkomu.

- Munt - powiedział, nie zadając sobie trudu przedstawienia się. - Zatrzymaj silnik.

W maszynowni Munt rozpoznał głos Millanda i błędnie założył, że kapitan opamiętał się. Z wdzięcznością wyłączył silnik, któremu dotąd przyglądał się z niepokojem, a dwóch mechaników natychmiast zabrało się do odkręcania podejrzanej pompy.

Venner starannie dostroił wskaźnik położenia hydroforni.

- Z pewnością na wprost od nas. Ani maszyna, ani ryba. - Zdjął słuchawki i podał je Millandowi, który słuchoał z uwagą przez chwilę i oddał je radiooficerowi.

- Ma pan rację - szcękanie. Muszą tam być ludzie. Jak daleko?

Venner nie chciał wydać się niezdecydowany, lecz tak naprawdę - nie wiedział. Odpowiedzieć tak Millandowi w jego obecnym nastroju oznaczało poważne kłopoty. Lepiej było zgadywać.

- Pięćdziesiąt mil, kapitanie.

Milland przytaknął. Spokojnym głosem polecił: - Proszę podać dokładny namiar.

Venner założył słuchawki na uszy i kilkakrotnie sprawdził położenie pelengatora. Ustalenie, że dziwne odgłosy dochodzą wprost z pomocy w stosunku do położenia U-330, zajęło mu mniej niż pięć minut.

- Munt! - warknął Milland w interkom. - Proszę włączyć silnik.

Na maksymalne obroty.

W maszynowni Munt spojrział na dwóch mechaników, po czym przyłożył słuchawkę do lewego ucha. - Przepraszam, kapitanie, ale właśnie rozkazał pan, żeby zatrzymać.

- A teraz każe włączyć!

- Mamy zupełnie rozebraną pompę olejową prawego silnika.

Po chwili milczenia dobiegło pytanie: - Czy powiedziałem, że wolno?

- Nie, kapitanie. Ale myślałem...

- Źle pan myślał, Munt! - Mechanicy słyszeli głos Millanda dochodzący z pomieszczenia kontrolnego bez pomocy interkomu. - Macie go włączyć za dwie minuty!

- Ależ kapitanie - zaprotestował Munt. Przerwał, gdy usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Pięć sekund później potężna sylwetka Millanda wypełniła otwór wodoszczelnych drzwi. Spoglądał na rozebraną pompę olejową leżącą na maleńkim warsztacie maszynowni.

- Przepraszam, kapitanie - powiedział szybko Munt - ale jeszcze pięć minut pracy i wirniki pompy pogięłyby się zupełnie. Założenie nowych potrwa przynajmniej dwie godziny. - Podniósł uszkodzone części i pokazał Millandowi. Nagle rozżościł się, nie powinien usprawiedliwiać siebie ani swoich czynów - obowiązkiem kapitana było przyjmować argumenty głównego mechanika.

Milland postąpił krok naprzód i wytrącił Muntowi wirniki z rąk.

- Sprzeciwił się pan moim rozkazom, kiedy wyraźnie powiedziałem, że silnik ma pracować!

- Ale kiedy dał mi pan rozkaz zatrzymania, myślałem...

- Nie interesuje mnie, co pan myślał! - wrzasnął Milland, zbliżając twarz do twarzy Munta. - Chodzi o to, że nie wykonał pan rozkazu!

Munt zamilkł. Milland nagle zaczął żałować swojego gburowatego zachowania, potrzebował współdziałania Munta, ale nie zamierzał go przepraszać.

- Popłyniemy na elektrycznych - rzucił odwracając się w stronę pomieszczenia kontrolnego.

Rozkaz zaskoczył Munta. Długotrwałe płynięcie na powierzchni na silnikach elektrycznych było surowo zabronione - istniało bowiem niebezpieczeństwo, że łódź znajdzie się w sytuacji krytycznej z wyładowanymi akumulatorami, niezdolna do awaryjnego zanurzenia.

- Tak jest, kapitanie - powiedział Munt uprzejmie. - Ale taki rozkaz wymaga

pańskiego podpisu w dzienniku maszynowni.

Mężczyźni spoglądali na siebie z wyraźnym wstrętem.

- Proszę o dziennik - rzekł chłodno Milland.

Munt otworzył szafę i podał oprawioną w skórę książkę kapitanowi.

Milland otworzył dziennik i w ostatniej kolumnie nagryzł swój podpis. -

Połącz pan też akumulatory - rozkazał zatrzaszkując dziennik i zwracając go Muntowi. - Chcę każdego węźła, jaki da się z tej łodzi wydusić.

Główny mechanik odłożył dziennik na miejsce i zamknął szafkę bez słowa.

Rozkaz Millanda oznaczał, że silniki miały pobierać prąd pod pełnym obciążeniem.

Jako typ IXD, U-330 miała zasięg stu piętnastu mil na akumulatorach i prędkość maksymalną tylko czterech węźłów. Oznaczało to, że

po dwudziestodziwiciogodzinnej pracy, jeżeli nie uda mu się naprawić diesla,

U-330 skończy kołyszając się bezwładnie na falach, jak umierający wieloryb - chyba że zrobi rzecz nie do pomyślenia i rozmyślnie nie wykona rozkazu Millanda.

9

W południe, pod ciężkim, ołowianym niebem potęgującym jeszcze nastrój

chwili, ostatnie z sześciu ciał załogi łodzi podwodnej wyciągnięto z zalanego

przedziału dziobowego i położono na przednim pokładzie. Jako siódme i ostatnie,

wyłowiono ciało Kramera.

Gerrard i Piet spoglądali w milczeniu na rząd nieruchomych kształtów i zdjęli

czapki. Kramera można było łatwo rozpoznać po zabandażowanym palcu

i rozwichrzonej brodzie. Identyfikację leutnanta Fischera ułatwiała złota naszywka

na postrzępionych, nasiąkniętych krwią resztkach kurtki. Gerrard zorientował się, że

nie pamięta nawet nazwisk pozostałej piątki. Rękawy ubrań wszystkich mężczyzn

były potargane na strzępy, ich ręce straszliwie poranione. Gerrard wyobraził sobie,

jak siedmiu mężczyzn desperacko próbuje rozchylić poszarpane blachy w daremnej

próbie ucieczki ze stalowego grobu zalanego przedziału.

Jedynym dźwiękiem, który dobiegał od strony pasażerów stojących wzdłuż liny

przegradzającej przedni pokład, był przytłumiony głos dwóch zakonnic

odmawiających modlitwy z książeczek do nabożeństwa.

- Co z nimi, kapitanie? - zapytał wreszcie Piet.

Gerrard wydawał się nie słyszeć. Piet powtórzył pytanie.

- Na miłość boską, Piet, nie powinienem ci tego mówić. Zaszycemy w płótno,

obciążymy ołowiem i pochowamy.

Podszedł do burty i popatrzył na wydęte kaszaloty uwiązane do dziobu

"Tulsara".

- Będziemy się musieli cholernie spieszyć z naprawą dziobu - zauważył Piet.

Wskazał na płetwę grzbietową, która zostawiała za sobą kilwater w kształcie litery

"V", zbliżając się do jednego z ciał wielorybów. - Mako - dodał tonem wyrażającym

tradycyjny marynarski strach i nienawiść do rekinów.

Ryba odwróciła się, pokazując bladoniebieskie podbrzusze, i zanurzyła

półokrągłe szczęki w poddające się ciało. Jej lśniący grzbiet zadygotał konwulsyjnie

i kęs mięsa wylądował łagodnie w przełyku zwierzęcia. Maszyna do zabijania

w postaci rekina-młota obwączała najmniejszego wieloryba, cofnęła się i gwałtownie

rzuciła do przodu, wyginając na bok swą dziwnie ukształtowaną głowę. Potrójny rząd

zębów wdarł się głębokoko w wieloryba i zacisnął mocno. Ze stanu, w jakim znajdowały

się wszystkie trzy wieloryby, Gerrard wywnioskował, że rekiny objadały się już

od dłuższego czasu.

- Niedługo skończą ze skórą - powiedział flegmatycznie Piet - potem

psssssst, uchodzi powietrze, a dziób zanurza się w wodę.

Gerrard wyrzucał sobie, że zapomniał o rekinach, które mogłyby umyślić sobie spożycie ich pływających boi.

- Nie zdążymy naprawić dziobu, jak nie złapiemy więcej wielorybów - zauważył Piet.

- Nie - straciliśmy wystarczająco dużo czasu szukając tych trzech - Gerrard zamyślił się na chwilę. - A gdybyśmy spróbowali wepchnąć bele włókna kokosowego do przedziału dziobowego, zatkać szczelinę i podeprzeć stemplami, a potem owinąć z zewnątrz dziób płótnem?

Piet przytaknął. Owijanie było starym sposobem radzenia sobie z dużymi przeciekami. Poważniejsze uszkodzenia dały się czasami naprawić pod wodą przez rozłożenie żagla na dziurawej części kadłuba oraz wykorzystanie ciśnienia wody i lin dla utrzymania go na miejscu.

- Trzeba by wyrzucić te skrzynie, kapitanie.

- Do diabła, nie. Wciągnijmy je z powrotem do ładowni.

Niewzruszony zwykle wyraz twarzy Pieta zmienił się w niedowierzanie. -

Poważnie, kapitanie? "Tulsar" jest nie przygotowany na taki ładunek. Jak wpadniemy w burzę i skrzynie zaczną tańczyć bez osłony z włókna kokosowego...

- Musimy zaryzykować, Piet. Jak tylko załatamy dziób, zabierzemy się za skrzynie.

Piet znał Gerrarda na tyle długo, by zdać sobie sprawę z niemożliwości wyperswadowania mu tak szalonego, jak by się wydawało, pomysłu. Wzruszył tylko ramionami i rzekł: - Potrzebujemy stempli, żeby podeprzeć bele włókna.

- Mamy dosyć belek.

- Zużyliśmy je na barykadę na pochylni. Pietrzące się problemy i brak wyobraźni powolnego Afrykanera wyprowadziły Gerrarda z równowagi. - Na miłość boską, Piet, potnij szóstą szalupę ratunkową, tę która pękła, kiedy wykurzaliśmy Kramera.

10

- Zgubiłeś ich! - wrzasnął Milland, a jego podkrążone oczy zbliżyły się do twarzy Vennera. - Nie tłumacz się, zgubiłeś drani. Przyznaj się!

Przez jedną szaloną chwilę Venner miał nieodpartą pokusę z powrotem założyć słuchawki hydrofonu na uszy i odciąć się od głosu czyniącego mu wymówki. Zamiast tego spoglądał na konsolę, nie odwracając wzroku w stronę Millanda. Najtrudniej było zachować szacunek w głosie.

- Nie potrafię usłyszeć czegoś, co nie wydaje żadnych odgłosów, kapitanie.

Nie wiemy też na pewno, czy słyszany wcześniej hałas pochodził z "Tulsara".

- Nie meldowano nam o żadnych konwojach, Venner, albo może nie słucha pan radia?

- Radio jest włączone cały czas, kapitanie.

Milland popatrzył spode łba na radiooperatora. Miał zamiar rzucić zgryźliwą uwagę, gdy zorientował się, że silniki elektryczne nie pracują na najwyższych obrotach. Spojrzał w górę na jeden z głównych amperomierzy wskazujących pobór mocy i natychmiast pokuśtykał na rufę. W maszynowni Munt usłyszał zbliżające się kroki kapitana i szybko przesunął dźwignię aż do końca skali. Pomruk silników elektrycznych stał się głośniejszy.

- Munt!

Główny mechanik odwrócił się znad tablicy sterowniczej.

- Kapitanie?

- Dlaczego, do cholery, nie płyniemy na maksymalnych obrotach?
- Płyniemy, kapitanie - Munt przeraził się dramatyczną zmianą, jaka zaszła w wyglądzie Millanda. Wydawało się, że wytrzeszczone, nabiegłe krwią oczy są oczami wariata.
- Więc dlaczego amperomierze w pomieszczeniu kontrolnym pokazują, że nie? - wściekał się Milland.
- Spróbowałem przełożyć baterie akumulatorów, kapitanie. Niektóre są bardziej wyładowane niż inne. - Popatrzył na Millanda, pewien, że nie udowodni mu kłamstwa.
- Lepiej by było, gdyby nie robił pan głupstw, Munt, bo na Boga, postawię pana przed sądem wojennym.
Munt wskazał rękami na tablicę sterowniczą. - Niech pan sam popatrzy, dźwignie sterujące są na maksimum. - Miał cichą nadzieję, że Milland uwierzy mu na słowo, lecz dowódca podszedł do tablicy i przyglądał się wskaźnikom z podejrzliwością, którą Munt uznał za niewybaczalną. Główny mechanik miał dosyć. Pchnął stopą wodoszczelne drzwi, by mechanicy w przyległej maszynowni nie podsłuchali tego, co chciał powiedzieć.
- Postawi mnie pan przed sądem wojennym za radę udzieloną w dobrej wierze? Sądzę, że ma pan za mało snu i wydaje mi się, że wpływa to negatywnie na pańską ocenę sytuacji.
Milland obrócił się i popatrzył na Munta wściekłym wzrokiem, jak byk wobec bezczelnego pikadora. Zrobił krok w stronę głównego mechanika. Przez moment wydawało się, że go uderzy. Munt nie cofnął się i patrzył wprost na przełożonego. Całkiem nieoczekiwanie Milland odprężył się i pokiwał głową.
- Ma pan rację, Munt. Dziękuję, że miał pan odwagę mi to powiedzieć. Minutę później, gdy został sam, Munt zmniejszył moc. Patrząc na opadające wskazówki woltomierzy, pokazujące stan akumulatorów, zdecydował, że odniósł połowiczne zwycięstwo. Mówiły one po prostu, że U-330 stopniowo umiera.

11

Tego wieczora warstwa chmur ograbiła słońce z resztek ciepła. Została jeszcze godzina do zapadnięcia nocy. Gerrard popatrzył w górę na pomost obserwacyjny i upewnił się, że Malajczycy, uzbrojeni w lornetki, robią to, co do nich należy. Od chwili rozpoczęcia podróży spostrzeżono tylko trzy statki, co nie dziwiło nikogo, gdyż wojna zgrupowała większość z nich w konwojach, a "Tulsar" rozmyślnie omijał trasy konwojów.

Jack Colby podszedł do barierki. - Widziałem, że dziób zatkany, kapitanie. Kiedy się ruszymy?

- Jak tylko wsadzimy skrzynie z powrotem do ładowni, Jack.

Colby rozpakował gumę do żucia. - Kiedy zacumujemy w Falmouth?

Gerrard myślał przez chwilę. - Nie popłyniemy szybciej niż trzy węzły z dziobem w takim stanie, bo rozpruje nam łatę. Mamy do Falmouth tysiąc dwieście mil, więc przypłyniemy tam koło 22, 23 maja. Dlaczego pytasz?

- Odebrałem właśnie depezę z Nowego Jorku dla panny Britten - powiedziała lakonicznie Colby. - Żle z jej ojcem, nie przeżyje dwóch tygodni. Nie wygląda na to, że go jeszcze zobaczą, prawda, kapitanie?

Gerrard zaklął. - Jack, co ja, u diabła, mogę na to poradzić? - Oparł się o poręcz mostku i popatrzył w dół na cieśli, którzy zwlekali uszkodzoną szalupę ratunkową na pokład oprawiania wielorybów. Mieli się do niej zabrać z łomami, gdy tylko Piet skończy wyciągać racje żywnościowe i przydatne jeszcze urządzenia.

- Mam jej powiedzieć? - upewnił się Colby.

Piet wyszedł z szalupy zdziwiony, trzymając w ręku kawałek papieru, po czym wspiął się po stopniach na mostek, gdzie rozmawiali Gerrard i Colby.

- Do diabła - wymamrotał Gerrard - lepiej, jak sam to powiem.

- Przepraszam, kapitanie - wtrącił Piet, wyciągając rękę z kawałkiem papieru - ale znalazłem to pod ławką w szalupie. Mogło zostać po Kramerze, ale nie musiało.

Gerrard wziął podaną mu kartkę papieru i rzucił na nią okiem. Zesztywniał z oburzenia. - Jezu Chryste.

Był to odręczny szkic planów "Tulsara" z notatkami zrobionymi jego własnym piśmem.

Gerrard znalazł Holdena w restauracji, zajętego rozmową z Josephine.

- Dobry wieczór, kapitanie - pozdrowiła go Josephine - rzadki z pana gość.

Jak długo będziemy musieli znosić to potworne kołtysanie?

Gerrard usiadł i poszukał cygara w kieszeni bluzy.

- O dziewiątej skończymy skrzynie i ruszamy.

- Miło to słyszeć, kapitanie - powiedział Holden zastanawiając się, co sprowadza Gerrarda do restauracji.

- Panno Britten - rzekł Gerrard. - Ma pani dość dużo pracy, prawda?

- W zasadzie tak.

- Chyba pyta, czy w tej chwili też - wyjaśnił Holden. Josephine wstała. -

Mówienie jasno, w zrozumiałym języku, o co chodzi, oszczędza czas i zapobiega nieporozumieniom - rzuciła chłodno i wyszła z restauracji.

Holden spoglądał z uwagą na Gerrarda.

- Ma pan jakieś kłopoty? - zapytał.

Gerrard nie zareagował, lecz wyjął szkic, który rozłożył na stole przed Holdenem. Wyraz twarzy Anglika nie zdradzał, że od razu rozpoznał rysunek i że umysł jego zaczął usilnie pracować.

- Więc Kramer miał to cały czas przy sobie? - rzekł oględnie Holden. - Było to zagranie ostatniej szansy. - Nie przeszukaliście go zbyt dokładnie, kiedy został schwytany.

Wybieg powiódł się, bo spokojna reakcja Holdena na szkic zaskoczyła Gerrarda.

- Szkic ten dałem panu w Durbanie - stwierdził Gerrard.

- Zgadza się, kapitanie.

- Kramer schował go w szalupie.

- To wszystko wyjaśnia - rzekł cicho Holden. - Pozwoli pan filiżankę herbaty?

Gerrard czuł, że rozmowa nie przebiega zgodnie z planem.

- Co wyjaśnia? - zapytał podejrzliwie.

- To, że dopiero teraz się odnalazł. Myślałem, że to oczywiste.

- Zaraz, zaraz. Chwileczkę. Chce mi pan powiedzieć, że potrafi pan wyjaśnić, jak Kramerowi wpadły w łapy te plany?

- Nie muszę panu nic wyjaśniać - umysł Holdena nadal pracował na wysokich obrotach, ale czuł, że zaczyna kontrolować sytuację.

- A jednak, panie Holden - warknął Gerrard.

- Mój pokój hotelowy w Durbanie został okradziony. Zniknęło trochę pieniędzy i kilka papierów. Nic ważnego, potrzebne rzeczy noszę zawsze przy sobie w aktówce. Włamania bez wątpienia dokonał Kramer albo jeden z jego ludzi.

- Więc jak do diabła dowiedział się o złocie?

Holden wzruszył ramionami. - Kramer mówił coś o agentach w Banku Rezerw.

- Nie Kramer - pan o nich mówił.

Atmosfera stała się nagle napięta. Holden spojrzał na Gerrarda z wyrazem nieskończonej pogardy.

- Jeżeli pan myśli, co mnie się wydaje, że pan myśli, dobrze by było, gdyby pan sobie przypomniał, kto wpadł na pomysł zniszczenia tej łodzi podwodnej. Gerrard zorientował się, że gładko wysławiający się Anglik ma rację. Zapalił cygaro, by dać sobie czas do namysłu. Nie było sensu robić sobie z Holdena wroga bezpodstawnymi oskarżeniami w sytuacji, gdy wydawało się, że wystarczy słówko z jego strony, a pozostanie kapitanem "Tulsara" po zawinięciu do Falmouth. Lecz przypomniał sobie coś jeszcze.

- A wtedy, gdy złapaliśmy Kramera? Gdybym nie podbił panu karabinu, zabiłby go pan. Bardzo to było głupie.

Holden uśmiechnął się smętnie. - Gdyby nie podbił pan karabinu, nie wystrzeliłby. Bardzo to było głupie.

Gerrard otrzepał popiół z cygara do popielniczki.

- Chyba lepiej wróć na mostek.

- Chyba tak.

Gerrard wrócił do sterówki. Był zły na Holdena i nadal żywił w stosunku do niego podejrzenia. Postanowił nie dopuszczać go zbyt blisko do kabiny radiooperatora.

O dziewiątej piętnaście wieczorem Piet obejrzał prowizorycznie zreperowany dziób "Tulsara". Bele włókna kokosowego, wepchane do przedziału dziobowego, podparto stemplami zrobionymi z desek, na które poświęcono szalupę ratunkową, brezentem zaś obłożono zewnętrzną część dziobu. Czas było zacząć przekładanie skrzyń do ładowni, co można było robić, gdy statek był w drodze, pod warunkiem, że jego prędkość ograniczono do trzech węzłów.

Resztki trzech kaszalotów odcięto od dziobu, by zajęły się nimi rekiny, a telegraf w maszynowni zasygnalizował dzwonkiem bardzo wolno naprzd na obu silnikach.

Gerrard wsadził ręce do kieszeni kurtki i wpatrywał się przez szybę sterówki w ciemność.

- Dzięki Bogu znowu płyniemy - wymamrotał do Brody'ego.

Sternik wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Mieliśmy długi dzień, szefie.

12

U-330 wlokła się po powierzchni morza z prędkością czterech węzłów, największą, jaką Munt ośmielił się wyciągnąć z prawie że wyczerpanych akumulatorów, gdy Venner usłyszał odgłosy silników przez hydrofony.

- Namiar zgodnie z hydrofonem jeden-siedem-zero, kapitanie - zameldował.

- Prosto przed nami.

Milland założył słuchawki i skoncentrował się nie mówiąc ani słowa. -

Odległość? - zapytał wreszcie.

- Dwadzieścia mil - odpowiedział szybko Venner na wyczucie. - Wygląda na takie same odgłosy silnika, jak przedtem.

Milland ze złością walnął słuchawkami w stół Vennera.

- Drugi raz nie uda się Gerrardowi ta głupia sztuczka.

- Głupia sztuczka - wymamrotał Venner do siebie, gdy Milland odwrócił się.

Milland nagle obejrzał się na Vennera.

- Mówił pan coś, Venner?

- Nie, kapitanie.

- Jeżeli ma pan coś do powiedzenia, chciałbym to usłyszeć, Venner.

Co mi zależy, pomyślał Venner. Powiedział: - Jeżeli to "Tulsar", kapitanie, nie płynię zbyt szybko, ale w naszym stanie nie mamy szans go dogonić. Może byśmy się zatrzymali i pozwolili mechanikom naprawić silnik, jeśli potrafią, a także dali szansę akumulatorom na przyjscie do siebie?

Venner wytrzymał ciężkie spojrzenie Millanda.

- Myśli pan, że pan potrafi dowodzić łodzią lepiej niż ja?

- Nie powiedziałem ani nie zasugerowałem tego, kapitanie.

- Ale pomyślał pan, Venner. Bardzo dobrze, spróbujemy pańskiego sposobu.

Milland podniósł słuchawkę interkomu i wezwał Munta.

O trzeciej nad ranem, po pięciu godzinach pracy nad nowymi wirnikami pompy olejowej, nieoczekiwanie dla siebie i reszty załogi Munt zdołał nakłonić diesel do pracy.

Minutę później Milland wygramolił się do maszynowni zaciskając jeszcze pas protezy. Spojrzał na warkoczący silnik i poklepał Munta po plecach.

- Mój Boże, to najpiękniejszy dźwięk na świecie.

- Ale nie wiem, jak długo wytrzyma, kapitanie - ciśnienie oleju spadło o połowę.

- Nie szkodzi, Munt. Nie szkodzi. Będzie z tego sześć węzłów - Milland przystanął z jedną nogą za drzwiami i uśmiechnął się niemalże z zachwytem do głównego mechanika. - Aha, zgłoszę pana do Żelaznego Krzyża, kiedy skończymy misję.

Dwie godziny później jeden z pomocników obudził Vennera.

- Odgłosy z hydrofonu są coraz bliżej, panie Venner, ale jakieś dziwne.

Venner wyskoczył z koi i skierował się w stronę pomieszczenia kontrolnego ziewając i przecierając oczy. Padł na siedzenie obrotowe wymamrotawszy: - Lepiej, żebyście mieli rację - i założył słuchawki. Nagle rozbudził się zupełnie, uważnie wsłuchując się w odgłosy dochodzące ze słuchawek. Pomocnik przyglądał mu się zaniepokojony.

- Rozumie pan teraz, panie Venner? Nie jest to ani silnik parowy, ani diesel.

Venner nasłuchiwał jeszcze przez kilka sekund i uśmiechnął się. Pomocnik miał prawo być zaskoczony, ponieważ dziewięćdziesiąt procent floty handlowej na świecie napędzane było jakąś odmianą silnika tłokowego, podczas gdy odgłosy z hydrofonu przypominały dziwny pomruk.

- Turbiny parowe - powiedział Venner, odkładając słuchawki.

Pomocnik wytrzeszczył nań oczy. - Więc to musi być "Tulsar"! Mam obudzić kapitana?

- Na miłość boską, nie - odparł Venner z naciskiem. - Niech się ten człowiek prześpi.

13

Pomost obserwatora znajdował się ponad trzydzieści metrów nad poziomem morza. Gerrard odłożył lornetkę i wzrokiem pełnym pogardy i niedowierzania zmierzył malajskiego chłopca. - Więc gdzie jest teraz ten dym, Tommy?

- Szeffie, tam być dym. Przysięgam, szeffie.

Pomost zatoczył wywracający wnętrzości trzydziestostopniowy hak, zmuszając Gerrarda i obserwatorów do złapania się barierki.

- Dym, szeffie - powtórzył Malajczyk ponuro, widząc, jak wymyka mu się z rąk premia w wysokości jednego dolara. - Czarny dym. Nie chmura.

Gerrard usiadł, objął nogami belkę i chwycił lornetkę obiema rękami. Wtedy właśnie zobaczył nikłe czarne pasemko na tle szarego, bardzo zachmurzonego nieba. Trwało mniej niż sekundę i rozwiane zostało przez wiatr. Potem następną, gwałtownie rzednąca czarna wstążka. Chmury nie zachowywały się w taki sposób.

- Widzi pan, szefie? - zapytał Malajczyk z nadzieją w głosie.

- Tak, Tommy. Teraz widzę. Powiem, żeby pan van Kleef dodał dolara do twojej wypłaty.

W oczach chłopca odbiły się zachwyt i ulga. - Chyba jakiś statek za horyzontem, tak, szefie?

Gerrard przytaknął. - Chyba tak, Tommy. - Otworzył skrzynkę interkomu i wywołał Pieta w sterówce.

- Chłopak ma rację, Piet - to statek. Lepiej, jak się trochę od niego oddalimy.

Ster w lewo. Dziesięć węzłów.

- Jest pan szalony, kapitanie! - głos Pieta zachrypiał w uchu Gerrarda. -

Dziób się rozleci, jak tylko przyspieszymy ponad cztery węzły!

- Rób, co mówię, pieprzony uparty Holendrze!

14

- Munt! Za dużo dymu!

- Przepraszam, kapitanie - z rury głosowej odpowiedział główny mechanik.

- Wtryskiwacz na drugim cylindrze zepsuł się - wydmuchujemy nie spaloną ropę.

Rura wydechowa wypuła następną porcję gęstego czarnego dymu, który zawirował koło twarzy Millanda, zasłaniając na chwilę widok masztu wystającego nad horyzont. Dym rozwiął się i kapitan U-330 zauważył pomost obserwacyjny. Był to "Tulsar"! To musiał być "Tulsar"!

- Mostek do radaru! - krzyknął do rury głosowej. Venner odpowiedział natychmiast. - Radar do mostka.

- Podaj namiary celu.

Venner wyrecytował kurs, odległość i kąt dziobowy, kończąc pośpieszenie:

- Prędkość trzy węzły.

Milland starał się nie okazywać podniecenia obserwatorom.

Trzy węzły! Za godzinę będą mieli "Tulsara" w zasięgu dział!

Szara łódź podwodna podążała w kierunku zdobyczy ze stałą prędkością sześciu węzłów, popychana mozolnie silnikiem diesla. Milland wsłuchał się w jego nierówny rytm, pragnąc gorąco, by chory silnik pracował nadal, aż zaschło mu w ustach.

Podniósł lornetkę do oczu. Widać było teraz górne pokłady. Dostrzegł nawet hydroplan. Jednopłat Northropa usunął wszelkie wątpliwości co do tożsamości statku.

Ciekawe, że uniesienie i zdenerwowanie, które spowodowało, że jego zaciśnięte mocno na lornetce palce pobielały, ustąpiło zupełnie. Ujrzał siebie spoglądającego na znajome kształty "Tulsara" z wyrachowaną obojętnością, co zaskoczyło go, był bowiem przekonany, że widok statku wielorybniczego obudzi długo tłumione uczucia - tęsknotę za przeszłością, gdy nie był jeszcze kaleką.

W nawale tłoczących się myśli przyświecał mu jeden cel - musi zabić

Amerikanina. To oczy Gerrarda patrzyły na niego, kiedy leżał na poły oszołomiony na stole z nierdzewnej stali. To ręce Gerrarda trzymały piłę, która odjęła mu nogę.

Gerrard miał wprawę w udzielaniu pierwszej pomocy, ale skąd mógł być pewien, że trzeba mu było amputować nogę? I jeszcze najpoważniejsza wątpliwość, która dręczyła Millanda w chwilach najczarniejszej rozpacz: czy chirurg uratowałby mu

nogę, gdyby Gerrard poświęcił tydzień tamtego dochodowego sezonu i zawinął wcześniej do portu?

Głos Vennera przerwał rozmyślania.

- Radar do mostka. Odległość od celu sześć mil. Stały kurs. Stała prędkość.

Milland potwierdził przyjęcie wiadomości. W tej chwili silnik zatrzymał się i U-330 zaczęła tracić prędkość.

- Nie mogę nic zrobić - warknął Munt w odpowiedzi na rozkazujący wrzask Millanda. - Cylindry prawie się topią, tłoki zatarte i koniec!

- Ile, u diabła, możemy wyciągnąć na akumulatorach? - rzucił pytanie Milland.

- Napięcie spadło do czterdziestu wolt. Jak będziemy mieli szczęście, wystarczą na trzy węzły przez godzinę - zwięzła odpowiedź Munta nie zawierała zwyczajowego "kapitanie".

- Bardzo dobrze. Tak trzymaj - polecił szorstko Milland i zatrasnął pokrywę rury głosowej.

Włączono silniki elektryczne i U-330 przyspieszyła do trzech węzłów.

Załawione poranne słońce przedarło się przez chmury, rzucając klinowate snopy światła na powierzchnię fal. Milland kłął na dręczącą go, zbyt małą prędkość rozwijaną przez łódź. Przez otwarty właz obok swych stóp słyszał niemrawe pojękiwanie silników elektrycznych, zużywających resztki energii z akumulatorów.

- Jedenaście tysięcy metrów - zameldował Venner.

Milland podniósł do oczu lornetkę. Z dziobem "Tulsara" działo się coś dziwnego.

Przez kilka sekund zastanawiał się nad obecnością niebieskiej łąty na dziobie.

Po chwili zorientował się, że był to jeden z pokrowców na szalupy ratunkowe.

"Tulsar" wpłynął na minę lub został trafiony i uszkodzony przez torpedę innego okrętu podwodnego i musiał załatać dziób! Nic dziwnego, że poruszał się tak wolno.

Otworzył energicznie pokrywę rury głosowej.

- Mostek do radaru! Załoga działa głównego na stanowiska!

Zadźwiczają otwierany przedni właz. Nosząca stalowe hełmy załoga pod dowództwem Machina wyszła na pomost i zajęła się głównym działem. Byli dobrze wyszkoleni. W ciągu piętnastu sekund wyjęli tampony i kołki zabezpieczające, oczyścili zamek lufy z warstwy grubego smaru antykorozyjnego i załadowali pociskiem kalibru 104 milimetry z podręcznej skrzynki. Łańcuch żołnierzy podawał więcej pocisków z wnętrza łodzi.

Machin spoglądał wyczekująco na Millanda pochylonego naciągniętą osłoną mostka. - Melduję gotowość, kapitanie.

- Dziękuję, Machin. Cel powinien być w zasięgu ognia za pół godziny.

Chciałbym, żebyście spróbowali trafić w szyk antenowy nad mostkiem.

We włazie pojawiła się głowa Munta. - Proszę o pozwolenie wejścia na mostek, kapitanie.

Milland zgodził się i zapytał zrzędliwie: - Dlaczego nie zajmie się pan tymi przeklętymi silnikami?

- Nic więcej nie da się zrobić, kapitanie - będą chodźć aż do wyczerpania akumulatorów, a potem koniec z nami.

Milland wskazał głową na "Tulsara". - Jak tylko go zdobędziemy, przeniesiemy załogę i zatopimy łódź. Wykona już wtedy swoje zadanie.

Munt z ciekawością przyglądał się statkowi, który tak długo im się wymykał. - Myślałem, że jest większy, kapitanie.

Milland podał Muntowi swą lornetkę. Główny mechanik oglądał przez kilka chwil

zdobycz. - A co z hydroplanem, kapitanie?

- Z takiej fali Gerrard nie wystartuje.

- Wygląda na to, że przyspiesza.

Milland szybkim ruchem odebrał lornetkę i nerwowo ustawił ostrość. Przed "Tulsarem" pojawiła się nagle fala dziobowa.

- Radar do mostka! - krzyknął Venner. - Cel zmienił kurs, dziewięćdziesiąt stopni w lewo! Prędkość dziesięć węzłów!

Milland stał jak sparaliżowany, z wolna opuszczając lornetkę. Świadomość, że tryumf był w zasięgu ręki i właśnie teraz jest mu odebrany, pokryła zmarszczkami twarz kapitana. Nie było już najmniejszej szansy dogonienia "Tulsara".

15

Holden przyglądał się przez chwilę U-330 i oddał Gerrardowi lornetkę. - Więc jednak nie zatopiliśmy tej cholernej łodzi - zauważył.

- Jeżeli to ta sama łódź - rzekł Piet.

- Ta sama - odparł lakonicznie Gerrard.

- Kapitanie - powiedział Piet z przekonaniem Piet - ona się prawie wcale nie rusza. Nie moglibyśmy zwolnić do pięciu węzłów? Łata nie wytrzyma przy tej prędkości.

- Płyniemy dalej - rzekł bez wyrazu Gerrard.

Holden chrząknął. - Właśnie widziałem łatę, kapitanie. Pan van Kleef ma rację

- nie wytrzyma.

Gerrard zignorował Anglika i zwrócił się do kabiny radiooperatora. - Jack!

Colby wysunął głowę z okienka. - Kapitanie?

- Jack, mamy tam łódź podwodną.

Oczy Kanadyjczyka zaokrągliły się z przerażenia. - Przyjacieli?

- Nie, chyba że przeszła na naszą stronę. Kiedy zaczniesz strzelać, nie nadawaj SOS z podaniem pozycji, zanim woda nie sięgnie ci pasa. Dobra?

Colby zbliżył się do Gerrarda i schował szybko głowę, jakby spodziewał się, że łódź natychmiast otworzy ogień.

Gerrard zwrócił się teraz do Holdena. - Podporządkuje się pan moim rozkazom? .

Holden uśmiechnął się rozbrajająco. - To zależy.

- Proszę znaleźć pannę Britten i powiedzieć jej, żeby sprowadziła wszystkich pasażerów pod pokład i znalazła dla nich jakieś zajęcie. Nie chcę, żeby mi się ktoś pętał na górze. Jasne?

- Jasne - powiedział Holden posłusznie, co zaskoczyło Gerrarda.

- Wiesz co, Piet - rzekł cierpko Gerrard, patrząc, jak Holden podchodzi do Josephine, która rozmawiała na pokładzie z grupą pasażerów. - Ani trochę nie ufam temu Angolowi.

16

Akumulatory U-330 w końcu się wyczerpały. Munt szybko wyłączył prawy silnik, żeby choć strumyczkiem prądu zasilić lewy, który obracał się jeszcze przez minutę.

Wskazówki woltomierza stanęły na zerze. Włączył główny przełącznik światła, pograżając łódź w ciemności. Do maszynowni dotarły ciche okrzyki protestu.

Wygłodzony silnik obrócił się kilka razy i zatrzymał. Munt ze złością wyłączył go i przywrócił osłabione oświetlenie łodzi. Dzięki swemu szalonemu kapitanowi U-330 była teraz zdana na łaskę wiatru i fal, stanowiąc łatwy łup nawet dla niezdarnych sunderlandów RAF-u, jeżeli trafiłby się taki.

Na mostku Milland głośno zaklął, gdy zatrzymały się silniki. Miał właśnie zamiar

wrzasnąc do rury głosowej, gdy zorientował się, że zwymyślanie Munta nic nie da. "Tulsar" zmniejszył się odpływając ku horyzontowi, jemu pozostało tylko patrzeć za nim z rozpaczą i zawiedzioną nadzieją - uczuciami, z którymi przez lata dobrze się zaznajomił.

Piet wychylił się daleko za krawędź burty i patrzył w dół na łatę z rosnącym niepokojem. Przeciążony brezent pęka. Słyszał nawet głośny trzask rozchodzącego się płótna ponad hukiem fal uderzających w dziób "Tulsara". Odwrócił się i jak szalony zamachał w kierunku mostka. W tym momencie brezent pękł, wiatr porwał obie połówki płótna i zatrzepotał nimi o burty, do których był zamocowany. Jeden z bali włókna kokosowego nie wytrzymał chyba gwałtownego nacisku, gdyż Piet usłyszał przytłumiony szum wody wdzierającej się przez otwór. Rozległ się cichy dźwięk dzwonek telegrafu i "Tulsar" zaczął wytracać prędkość.

- Powiedz tylko "a nie mówiłem", to skręcę ci ten cholerny kark - ostrzegł Gerrard, gdy dołączył do Pieta stojącego przy burcie.

- Ile czasu zajmie założenie nowej łaty?

- Czterdzieści minut, kapitanie - Piet patrzył daleko w morze.

- O mój Boże! Tamci podziurawią nam burty swoimi inicjałami z czterocalówki, zanim skończymy!

- Nie wydaje mi się, kapitanie - odrzekł sztywno Piet. - Ich łódź też się zatrzymała. Co pan o tym sądzi?

Gerrard pognał po schodach do sterówki i porwał lornetkę. Piet miał rację. Łódź zatrzymała się. Nie miała fali dziobowej.

Oba okręty mierzyły się wzajemnie, rozdzielone sześcioma milami szarego, neutralnego Atlantyku. Oba nie mogły się poruszać.

Josephine uprzejmie wykręciła się od towarzystwa Eli Vansona. Milioner opowiadał jej i każdemu, komu chciało się słuchoać, o swych ambitnych planach poszczucia całej armii prawników na właścicieli "Tulsara", skoro tylko dotrą do Nowego Jorku. Miała zamiar powiadomić Holdena, że kazała kucharzom przygotować wcześniejszy obiad, gdy silniki "Tulsara" zatrzymały się i statek począł zwalniać.

- Co się stało? - zapytała.

- Ta cholerna łata pękła - odpowiedział Holden z obcym sobie wzburzeniem.

Josephine podeszła za nim ku drzwiom. - Te bale, które wsadzili do przedziału dziobowego, wytrzymają, prawda?

- Bóg jeden wie, Jo, ale musisz zatrzymać wszystkich w restauracji,

na wypadek gdyby łódź podwodna zbliżyła się na odległość strzału.

Amerykanka spojrzała na niego szeroko otwartymi, poważnymi oczami.

Wrodzona sumienność podpowiadała jej, że jest osobiście odpowiedzialna za bezpieczeństwo pasażerów. - O Boże, jest przecież dzień! Na pewno zauważyli amerykańską flagę na burcie. Chyba nas nie storpedują?

- Nie, nie zaryzykują storpedowania - odparł Holden - mogliby nas zatopić.

A oni chcą nas zdobyć. Zajmij się pasażerami. Niedługo wrócę.

- Łata pękła na pół! - krzyknął radośnie Milland do Munta. - Musieli się zatrzymać!

Munt przyglądał się "Tulsarowi" przez lornetkę. Widział ludzi na jego dziobie, odcinających uszkodzony brezent.

- Ale są dwie mile poza zasięgiem, kapitanie - zauważył - równie dobrze mogłoby to być dziesięć mil.

Milland roześmiał się. - Wystają nad wodę, Munt. - Z lubością wyszczerzył

zęby w uśmiechu na widok zdziwionego wyrazu twarzy głównego mechanika. -
Wiatr, Munt! Zapomina pan o wietrze!

- O Boże, cholerny wiatr! - krzyknął nagle Gerrard. Wychylił się przez
barierkę. - Piet! Możemy dać wstecz?

- Nie! Mam ludzi w wodzie! - odkrzyknął Afrykaner. Znów skupił swą uwagę
na Malajczykach. Ci starając się utrzymać głowy nad wodą i obronić przed
postrzępionymi blachami dziobu "Tulsara", walczyli równocześnie z upartym
brezentowym pokrowcem, który nie chciał zatonąć i dać się wciągnąć pod nasadę
dziobową.

Holden wyszedł na pokład i w zamyśleniu spoglądał na morze i sunącą ku nim
łódź podwodną. Odległość między nimi zmniejszała się. Włożył ręce do kieszeni
i powoli szedł w kierunku rufy, przenosząc ciężar ciała na przemian to na lewą, to
na prawą stronę, bo wysoka fala sprawiała, że pokład, jak żywe stworzenie, usuwał
mu się spod nóg. Przystanął na chwilę i spojrział na hydroplan, zamocowany
pływakami do pomostu.

- Radar do mostka! - Głos Vennera zameldował przez rurę głosową: -
Odległość od celu jedenaście tysięcy pięćset metrów.

Pięć i pół mili, pomyślał Milland. Odległość zmniejszała się nieubłaganie. Nic nie
mogło uratować "Tulsara", nic! Wychylił się za osłonę.

- Machin! Jeżeli wiatr się utrzyma, za czterdzieści minut będzie w zasięgu
ognia.

- Piet! Na miłość boską, zabieraj tych swoich pajaców z wody! - w głośnikach
rozległ się głos Gerrarda. - Za pięć minut daję wstecz!

Piet zszedł ze swego stanowiska na dziobie i wybiegł na mostek po schodach
z prędkością, która zadawała kłam jego wadze. Wpadł do sterówki i spojrział
z wściekłością na Gerrarda.

- Niech pan słuca, kapitanie. Ci chłopcy o mały się nie potopili wpychając
pod spód łatę. Potrzebujemy jeszcze dwudziestu minut.

Przez wszystkie lata spędzone razem Gerrard nigdy nie widział tak
rozzłoszczonego Pieta. Zwykle spokojne oczy Afrykanera nabiegły krwią
ze zmęczenia, lecz widniał w nich twardy sprzeciw.

- Czy ty nie rozumiesz, Piet, że za piętnaście minut znajdziemy się w zasięgu
ognia, jeżeli będziemy tak dalej dryfować? Musimy się wycofać.

- Czy można coś zaproponować, kapitanie?

Gerrard błyskawicznie się odwrócił. Holden uśmiechnął się do niego. Anglik
wszedł do sterówki z dziennej kajuty.

- Czego pan do cholery chce, Holden? - zapytał wojowniczo Gerrard.

Holden uśmiechał się nadal. - Chciałbym pomóc panu w kłopotach, kapitanie.
Mam pomysły. Nawet całkiem dobry, jak mi się wydaje.

- Ach tak? Jak ten ostatni, co miał zatopić łódź podwodną? - zauważył
sarkastycznie Gerrard.

- Jeszcze lepszy - odparł lekko Holden - jestem pewien, że pana
zafascynuje.

Wiatr wiejący z południowego zachodu wydawał się nieść zapach wielorybiego
mięsa. Milland odrzucił to jako wytwór swej wyobraźni - podobny do łudzącego
mrowienia palców amputowanej nogi, które znęcało się nad jego zmysłami, gdy był
zmęczony.

- "Tulsar" spuszcza łódź - zawołał jeden z obserwatorów.

Milland spojrział przez lornetkę. Jedna z łodzi pościgowych spuszczana była

właśnie na tle olbrzymiej flagi Stanów Zjednoczonych namalowanej na burcie "Tulsara". Gdy odbiła, wiatr rozwinął coś, co przypominało białą flagę. Za sterem stała mgliście znajoma sylwetka.

Gerrard!

- Wygląda jak biała flaga, kapitanie - powiedział Machin.

Tym razem Milland nie zamierzał dać się nabrać podstępom Gerrarda. -

Obsadzić działa przeciwlotnicze! - warknął na obserwatorów. - Szybciej, dumnie!

Wycelować w łódź!

Dwóch obserwatorów zeskoczyło na tylny pokład. Jeden włókł wijący się jak wąż pas amunicji kalibru 20 milimetrów z podręcznej skrzyni i załadował, a drugi obrócił poczwornie sprzężone lufy i wymierzył wprost w szybko zbliżającą się do nich łódź.

Gerrard zauważył, jak lufy działa kierują się ku niemu, i skręcił w bok szerokim kołem, by biała flaga przyczepiona do poprzecznicy stała się lepiej widoczna. Obrócił palcami ster, aż łódź znalazła się z powrotem na kursie.

Milland błędnie zrozumiał manewr zatoczenia koła jako typowy dla brawury Roberta Gerrarda. Niedbała postawa Amerykanina za sterem - jedna ręka oparta na kole i stopa na zrębniku - doprowadziła hamowaną od tygodni wściekłość Millanda do punktu wrzenia. Przez jedną szaloną chwilę opanowała go chęć odepchnięcia załogi działa przeciwlotniczego i otwarcia ognia do człowieka, który był jedyną przyczyną pasma ciągłych nieszczęść i niepowodzeń. Tylko biała flaga przywracała mu rozsądek, "powstrzymując przed nieodpowiedzialnym działaniem.

W milczeniu patrzył, jak Gerrard nakierowuje ślizgacz na zawietrzną stronę łodzi i zbliża się do rufy, gdzie pomost pokładowy U-330 sięgał poziomu wody. Łódź Gerrarda przez cały czas znajdowała się na celowniku sprzężonego działa przeciwlotniczego.

Milland zdziwił się, jak bardzo Gerrard zmienił się od czasu, kiedy go widział ostatni raz - drelichowe spodnie i wypłowiała bluza były takie same, lecz ogorzała twarz pod tą samą niechlujną czupryną wyraźnie się postarzała. Jego szare oczy, czujne i sprytnie jak zawsze, notowały każdy szczegół łodzi podwodnej, lecz zdawały się nie zwracać uwagi na rozszerzające się ku końcom lufy sprzężonego działa wymierzone wprost w niego.

Dwóch marynarzy rzuciło cumę Gerrardowi, którą ten zręcznie pochwycił i zawiązał, oni zaś odepchnęli ślizgacz od nie zabezpieczonych zbiorników zewnętrznych. Obie łodzie harmonijnie kołysały się na falach.

- Proszę o pozwolenie wejścia na pokład, kapitanie.

Milland skinął na marynarzy, którzy przytrzymali ślizgacz i umożliwili Gerrardowi łagodne przeskokowanie na pomost. Spojrzał do góry na Millanda, który opierał się o poręcz w pobliżu działa przeciwlotniczego, i zasalutował niedbale.

- Dzień dobry, Kurt.

Milland zawahał się przez chwilę, bo przez ładnych kilka lat nie mówił po angielsku, mimo że pozdrowienie brzmiało prawie tak samo jak po niemiecku.

- Dzień dobry.

- Mogę podejść, czy mam się nabawić skurczów karku?

Milland odsunął się od poręczy. Gerrard złapał się jednej z podpór i wskoczył na mostek obok Millanda, jakby umyślnie demonstrując sprawność, z którą Milland nigdy nie będzie mógł iść w zawody. Oparł się nawet o poręcz i położył na niej rękę, jakby łódź podwodna była jego osobistą własnością.

- Co się stało z twoimi silnikami, Kurt? Zaskoczyłeś nas wszystkich

na "Tulsarze".

- Po co tu przypłynąłeś? - warknął Milland. Gerrard zauważył, że wszyscy wokół spoglądają na niego, nikt nie zwracał uwagi na "Tulsara", wszystko szło zgodnie z planem. Ruchem ręki wskazał na ślizgacz.

- Wyciągnęliśmy kilku z waszej załogi po waszym zanurzeniu. Umieściliśmy ich w przedziale dziobowym, który później zalało. Wydawało mi się, że zrobicie, co do mnie należy, gdy oddam wam ich, żebyście pochowali zwłoki - Gerrard uważał, że nie ma sensu wdawać się w szczegóły śmierci członków załogi.

Milland popatrzył na ślizgacz. W kokpicie leżało kilka bezkształtnych postaci zawiniętych w brezent. Gerrard nie zrozumiał, co Milland powiedział do załogi, lecz kilku z nich natychmiast zajęło się przenoszeniem ciał na swą łódź i układaniem ich na platformie pokładu. Milland oparł się o poręcz i rzucił krótki rozkaz. Jeden z marynarzy rozwiązał koniec brezentowego rękawa odwijając materiał w dół. Milland popatrzył bez słowa na twarz Leutnanta Fischera i rozkazał zawiązać worek. Odwrócił się do Gerrarda.

- Chyba powinienem ci podziękować, ale wydaje się to mijać z celem, skoro odpowiadasz za ich śmierć.

Gerrard uśmiechnął się lekko. - Nie zmieniłeś się, Kurt. Nadal jesteś samowolnym draniem, którego wszyscy znaliśmy i lubili.

Do Millanda nie dotarła ironia Gerrarda. - Za to ty się zmieniłeś - powiedział sztywno.

- W jaki sposób, Kurt?

- Nie sądziłem, że Robert Gerrard byłby zdolny rozmyślnie staranować i zatopić łódź podwodną, zabijając czterdziestu ludzi.

Lekki uśmiech Amerykanina i swobodny sposób bycia gwałtownie zniknęły. Jego szare oczy nabrały twardego wyrazu.

- Stało się to po tym, jak łódzie podwodne zaczęły torpedować nie uzbrojone liniowce pasażerskie, Kurt - Gerrard nie czekał na odpowiedź, lecz dał nura pod poręcz i lekko zeskokczył na pomost pokładu. Minął marynarzy pilnujących ślizgacza i wskoczył za ster.

- Gerrard! - zawołał Milland, gdy Amerykanin odbił, włączając starter ślizgacza. - Skoro ty zrobiłeś, co do ciebie należało, ja też zrobię, co do mnie należy - nie otworzę ognia, zanim nie wrócisz na statek.

Odpowiedź Gerrarda utonęła w kłębie spalin, wydobywających się z rury wydechowej ślizgacza. Milland spoglądał za oddalającą się sylwetką, pochyloną nad sterem, i zdziwił się, bo uczuł, że nie żywi już nienawiści do Roberta Gerrarda.

- Kapitanie!

Milland odwrócił się.

- Meldunek od głównego mechanika, kapitanie - powiedział Machin. - Silnik ochłodził się i nie wygląda na zatarty. Sądzi, że może uda mu się go zapalić.

Milland nie odpowiedział. Patrzył na "Tulsara". Coś było nie tak - wyglądał jakoś inaczej. Wreszcie zorientował się, o co chodzi: hydroplan zniknął ze swej grzędy nad pokładem.

Gerrard zakreślił ślizgaczem za rufą "Tulsara" i zatrzymał się obok hydroplanu, który podskakiwał na fali z równo pracującym na wolnych obrotach silnikiem. Piet w ryzykownej pozycji balansował na jednym z pływaków samolotu. Złapał cumę, którą rzucił mu Gerrard, i przyciągnął oba do siebie tak blisko, jak tylko pozwalała fala. Mężczyźni szybko zamienili się miejscami - Piet umieścił swe cielsko za sterem ślizgacza, a Gerrard wgramolił się do kokpitu hydroplanu i zasunął dach.

Rzucił okiem na wiązkę harpunów z głowicami wybuchowymi, przywiązaną do obu pływaków ostrzami do przodu. Uspokojony, że wszystko w porządku, otworzył przepustnicę.

Samolot zanurzył koniec skrzydła w fali, gdy zaczął powoli manewrować w stronę dziobu "Tulsara". Piet płynął w ślad za nim ślizgaczem, jak pies w ślad za swym panem ruszającym do walki. Gerrard opłynął dziób i kątem oka dostrzegł sylwetkę łodzi podwodnej, nim samolot dał nura w dolinę fali, jak niezgrabna cacka. Włączył maksymalne obroty. Śmigło stało się wirującym krążkiem światła, wchłaniającym wodny pył ze wzburzonych fal i zmieniającym go w chmurę mgły za szaleńczo podskakującą maszyną. Ale doświadczeni poławiacze wielorybów na "Tulsarze" wiedzieli, że samolot nie da rady wystartować w tych warunkach. Gdy Munt włączył pneumatyczny starter, rozległ się zgrzyt uszkodzonego metalu. Silnik obrócił kilkakrotnie wał, lecz nie zapalił. Dwóch mechaników spoglądało w milczeniu, jak sprawdzali poziom paliwa w filtrze. Rozległ się następny syczący wybuch sprężonego powietrza, stłumiony przez skrzywienie uszkodzonych łożysk wału korbowego. Munt przymknął oczy i próbował dalej. Nie trzeba było wiele, by wyobrazić sobie strzaskane pierścienie tłokowe wcinające się głęboko w ścianki cylindrów silnika. Nagle silnik zapalił.

Milland pozwolił sobie na chwilę uniesienia na widok wody gotującej się za rufą, nim podał sternikowi kurs. Dziób łodzi zwrócił się w kierunku "Tulsara", ku któremu począł zmierzać z prędkością trzech węzłów.

- Wypatrujcie tego cholernego samolotu! - wrzasnął Milland na obserwatorów. Domyślał się, że Gerrard będzie próbował wystartować w pewnej odległości od "Tulsara", pod osłoną jego kadłuba.

Wyrzucał sobie, że nie odgadł prawdziwego celu wizyty Gerrarda - sprytnego podstępny w celu odwrócenia uwagi od hydroplanu.

- Odległość cztery mile, kapitanie! - zameldował Machin, patrząc przez dalmierz głównego działła.

- Otwórzcie ogień, jak tylko będziecie gotowi - rozkazał Milland.

Jeden z artylerzystów obrócił szybko korbę. Lufa głównego działła, osadzona na dobrze nasmarowanych łożyskach, zatoczyła łuk, aż "Tulsar" znalazł się na celownikach.

Wirujące śmigło samolotu uderzyło w powierzchnię morza opryskując kokpit wodą. Po raz trzeci Gerrard stracił z oczu łódź podwodną, potem kątem oka dostrzegł, jak działło 104-milimetrowe wypluło obłok białego dymu, gdy fala prawie że postawiła samolot na ognie. Nie wiedział, jak daleko płynie Piet w ślizgaczu, najważniejsze dla niego w tej chwili było nie stracić z oczu celu, oddalonego teraz o milę. Zaryzykował spojrzenie na pływaki i upewnił się, że harpuny są na miejscu. Hydroplan, skrzypiąc niemiłosiernie, podskakiwał jak kolejka w lunaparku. Oznaczało to, że prędkościomierz lotniczy stał się bezużyteczny, lecz Gerrard oceniał swoją szybkość na jakieś czterdzieści węzłów.

Od łodzi podwodnej dzieliła go jedna minuta drogi.

Milland zauważył hydroplan skaczący na grzbiecie fali jak schwyty marlin, gdy ten idąc baksztagiem oddalony był od łodzi o pół mili. W tym momencie włączone zostało do akcji działło przeciwlotnicze, a ciągły łośkot ładowniczych taśmowo luf stał się tłem dla głównego działła, ostrzeliwującego "Tulsara".

- Wyżej! Wyżej, durnie! - krzyknął Milland, zauważywszy, że miniaturowe wodotryski przecinają wodę na wprost atakującego hydroplanu. W tej chwili samolot zasłoniła fala i zniknął mu z oczu. Kilka sekund później wynurzył się znowu

w chmurze wodnego pyłu wzbijanego przez wirujące śmigło, zbliżywszy się ku łodzi o dwieście metrów. Artylerzysta obsługujący sprzężone działo wziął zbyt dużą poprawkę i posłał błyskawice pocisków smugowych w morze na lewo od hydroplanu. - Dureń! Dureń! - wściekał się Milland. Chwiejnym krokiem podszedł ku tylniej poręczy i obsypywał artylerzystę wywiskami. Oszołomiony hałasem, dymem i gorącymi łuskami wylatującymi z zamka, artylerzysta przerwał strzelanie, by na nowo wycelować w szaleńczo podskakujący hydroplan. Po chwili znów dał ognia i udało mu się roztrzaskać na kawałki końcówkę skrzydła.

- Celuj w kadłub! - ryknął Milland.

Hydroplan był już o sto metrów od łodzi i wydawało się, że nic nie zdoła go zatrzymać. Nagle klekot działa utonął w hałasie silnika samolotu. Milland zeskokczył z furią na tylny pokład. Nie zwracał uwagi na ostry ból przesywający kikut nogi po wstrząsie i odepchnął artylerzystę. Zużyta łuska zaplątała się mu pod protezę i stracił na chwilę równowagę. Nim zajął pozycję za działem, hydroplan był już ryczącym koszmarem, pływającym wprost na niego z odległości pięćdziesięciu metrów. Wycelował uważnie i nacisnął wprost.

W momencie gdy Milland zaczął strzelać, Gerrard zdecydował, że samolot jest wystarczająco blisko. Przerzucił nogi na zewnątrz kokpitu i oparł się o nasadę skrzydła. Woda, zaledwie kilka centymetrów pod jego stopami, rozmyła się w jedną wielką plamę. Jeśli źle obliczy skok, ogon samolotu obetnie mu głowę. W tej chwili samolot zaczął się rozpadać. Próbował przerzucić ciężar na pływak, lecz palący ból przewiercił mu ramię. Wstrząs spowodował, że stracił oparcie. Zachował przytomność na tyle długo, by odepchnąć się nogami od rozsypującego się hydroplanu.

Z odległości dwudziestu metrów najcelniejsze nawet strzały Millanda nie mogły osłabić pędu samolotu - trzydzieści metrów na sekundę. Ze skrzydła oderwał się pływak, co sprawiło, że maszyna zatoczyła koło i trafiła U-330 pośrodku, zamiast blisko dziobu. Dziesięć harpunów eksplodowało natychmiast. Nie był to duży wybuch, lecz wystarczył, by wydrzeć dziurę wielkości stopy tuż poniżej linii wodnej. Ostrzelany przez Millanda pływak uderzył w burtę U-330, a siła tej eksplozji wyrwała Millanda zza osłony mostka i wrzuciła w morze.

Nagłe wdarcie się wody zwaliło Vennera z krzesła. Nim zdołał się podnieść, w pomieszczeniu kontrolnym nabierało się pół metra czarnej wody. Zignorował szaleńczą walkę ciał, próbujących wspiąć się po drabince na mostek, i ryk wody wdzierającej się przez dziurę. Założył słuchawki, zaszyfrował i zwiążył meldunek na maszynie cyfrowej i ustawił radiostację w pozycji nadawania.

17

O dziesiątej wieczorem admirał Wilhelm Fritz Canaris, szef Abwehry, opuścił budynek Kancelarii Rzeszy i pospieszył do swego samochodu. Kierowca wyskoczył na zewnątrz i otworzył tylne drzwi. Canaris usiadł obok Stricka i rzucił swą wysoką wojskową czapkę na podłogę.

- I co? - zapytał Strick, kiedy samochód ruszył.

- Oczywiście był rozczarowany, że misja U-330 skończyła się fiaskiem.

- Fiaskiem? - zapytał jak echo Strick. - Ale mamy położenie "Tulsara"!

Osobiście nie nazwałbym tego fiaskiem. Zapewne nie powiedział pan Führerowi, że się nie udało?

Opony mercedesa sunęły z mokrym sykiem po zaciemnionych ulicach. Canaris sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął kopię meldunku U-330. Włączył lampę

i podał swemu towarzyszowi kawałek papieru.

- Niech pan to przeczyta jeszcze raz - powiedział.

Słowa meldunku wryły się głęboko w pamięć Stricka już w chwili, gdy po raz pierwszy pokazano mu go, lecz przeczytał go ponownie.

U-330 DO BDU

POŁOŻENIE KWADRAT AH2867. JESTEŚMY ATAKOWANI.

TONIEMY

- Widzi pan? - rzekł Canaris. - Nie ma tu nic, co by stwierdziło, że to "Tulsar" zatopił U-330. A nawet gdyby, to z maksymalną prędkością dwudziestu węzłów teraz jest już daleko.

Strick zaczął się denerwować. - Ale właśnie dlatego musimy niezwłocznie wysłać statek wyposażony w radar, żeby odszukał "Tulsara". Celem pana wizyty było przekonanie Führera...

- Właśnie dowiedziałem się o czymś - przerwał Canaris, uśmiechając się szelmowsko do Stricka. - Może to zabrzmieć dziwnie w ustach szefa wywiadu, lecz wielki admirał Raeder posiadał niesłychaną biegłość w ukrywaniu swych sprytnych machinacji. Prawdopodobnie od pewnego czasu pan admirał nosi się z zamiarem wysłania na Atlantyk dużej liczby okrętów, by rzucić wyzwanie Marynarce Jego Wysokości. Jest to oczywiste szaleństwo i Führer miał rację, odmawiając przyzwolenia na ten nonsens. Aby jednak ułagodzić Raedera, Führer pozwolił mu marzyć i snuć plany.

- Co to oznacza? - zapytał Strick.

- Cały plan operacyjny wysłania znacznych sił morskich na północny Atlantyk jest od pewnego czasu gotowy. Szyfry, łańcuch dowodzenia, zaopatrzenie - wykonano w pełni tysiąc i jeden zadań. Ma nawet nazwę - Operacja Rheinübung. Strick załamał ręce. - Dlaczego więc, na miłość boską, nie przekonał pan Führera, by pozwolił Raederowi działać?

Canaris popatrzył na zegarek. - Mniej więcej w tej chwili Führer rozmawia z Raederem. Powie wielkiemu admirałowi, żeby wydał admirałowi Lütjensowi rozkaz jak najszybszego wyjścia w morze. Oczywiście nie zostanie Raederowi podany prawdziwy powód, dlaczego otrzymuje zgodę na Rheinübung, zanim grupa Lütjensa nie wydostanie się na Atlantyk, a może nawet i później nie. Czuję, że Führer będzie chciał kontaktować się bezpośrednio z Lütjensem - Canaris przerwał. Zabawa z zimnokrwistym profesorem ekonomii sprawiała mu przyjemność. Uśmiechnął się na widok zaskoczonego wyrazu twarzy Stricka i dodał:

- Czy wie pan, że dwa dni temu Führer złożył Lütjensowi wizytę?

- Lütjens wychodzi w morze? - zdołał wykrztusić Strick.

Canaris przytaknął. - Cały jego oddział specjalny przeniesie się do Korsfjordu, gdzie zaczeka na odpowiedni moment, by wyruszyć na Atlantyk.

Strick nie wiedział, co ma powiedzieć. Proporzec admirała Lütjensa powiewał na okręcie wojennym szczególnego rodzaju. Ze swą wypornością 41 700 ton, masywnym pancernem typu Wotan oraz ośmioma działami kalibru 381 milimetrów był jednym z największych okrętów wojennych na świecie. Jego przyczajona obecność w Gotenhafen nad Bałtykiem, gdzie był poza zasięgiem RAF-u, stwarzała ciągłe zagrożenie dla Brytyjczyków, którzy obawiali się straszliwych zniszczeń, jakich mogłyby dokonać, gdyby wypłynął w morze. Wiedzano dobrze, że zrobią wszystko i uciekną się do każdego podstępów, by skusić go do wypłynięcia na Morze Północne, gdzie mogliby rzucić przeciwko niemu kilka krążowników i pancerników. Jego nazwa ucieleśniała prestiż i potęgę Niemiec.

Nazywał się "Bismarck".

18

Milland otworzył oczy i spojrzął na sufit w izbie chorych "Tulsara". Znał tu każdą lampę, każdy wspornik - każdy, najmniejszy nawet, szczegół tego sufitu wrył się na zawsze w jego świadomość. Nawet szwy nitów były częścią obrazu. Jego dłonie z przerażeniem powędrowały na boki i wyczuły zimną gładź nierdzewnej stali pod materacem. Podparł się na łokciach.

- Nie! - zaskrzeczał. - Nie!

- Spokojnie - powiedział głośno.

Milland odwrócił się i zauważył Gerrarda. Amerykanin uśmiechał się.

- Cześć, Kurt. Jak się czujesz?

- Moja noga... moja noga... - wystękał Milland. - Czy jest...? Czy jest...?

Gerrard pomyślał, że jego dawny kolega mówi o protezie. Powiedział uspokajająco: - Twoja noga jest w porządku, Kurt. Nie można tego samego powiedzieć o twojej łodzi i o moim hydroplanie.

- Łódź? - wybełkotał oszołomiony Niemiec. - Łódź? - powtórzył. Wreszcie zrozumiał. Pozwolił, by obolała głowa opadła na poduszkę. - U-330 - wymamrotał.

Na chwilę zamknął oczy, po czym znów je otworzył. - Powiedz mi, co się stało.

Gerrard zdjął bandaż z głowy Millanda i przyjrzał się wielkiemu siniakowi na skroni Niemca. - Też sobie wybrałeś miejsce, Kurt.

- Co się stało?! - krzyknął nagle Milland. Podniósł się na łokciach, a twarz wykrzywił mu grymas bólu.

- Zatakowałem cię hydroplanem. Miałem harpuny...

- Co później?

- Wylądowaliśmy obaj w morzu. W ramieniu utkwili mi kawał drewna, ale woda mnie ocuciła. Potem chwyciłem ciebie za kołnierz, aż Piet wyłowił nas do ślizgacza. Pamiętasz Pieta? Wpadnie tu później.

- Co z moimi ludźmi?

Gerrard milczał.

- Co z nimi?

- Przykro mi, Kurt.

Milland spojrzął na Gerrarda. - Ani jeden?

Gerrard położył świeży kawałek gazy na skroni Millanda i rozwinął świeży bandaż. - Myślę, że pływali tak samo do niczego, jak strzelali. Piet przez trzy godziny szukał dookoła.

Oczy Millanda wpatrzone były w lampy.

- Nie dopłyniesz "Tulsarem" do Anglii - powiedział stanowczym, obojętnym tonem. - Mnie się nie udało, ale będą inni. Rzucą na ciebie wszystko.

Gerrard uniósł Millanda do pozycji siedzącej i zaczął owijać mu głowę bandażem.

- Jak dotąd, całkiem nieźle mi idzie, Kurt.

Milland nie odpowiedział.

- Jak dowiedzieliście się o naszym ładunku? - zapytał Gerrard starając się, by zabrzmiało to jak zagadnięcie w rozmowie. Nie przestawał bandażować głowy Millanda. - Cóż, nie mam nic przeciwko temu, że nic nie mówisz, Kurt. Ale zżapaliśmy waszego człowieka, Kramera.

- Domyśliłem się - powiedział kwaśno Milland. Nagle przypomniał sobie, że admirał Staus powiedział mu o dwóch agentach na "Tulsarze". Z tego, co mówił Gerrard, wynikało, że drugi agent nie został schwytany. Pierwszym był Kramer. Jak

nazywał się ten drugi? Wszystko było napisane w rozkazach, które zatoneły wraz z U-330. Angielskie nazwisko. Przeklinał nieszczęsne uderzenie w głowę. Na miłość boską, jak on się nazywał? Nazwisko! Nazwisko!

Gerrard skończył bandażowanie. Drzwi do izby chorych otworzyły się i wszedł jasnowłosy, szczupły mężczyzna, ubrany w dobrze skrojony garnitur. Jego arystokratyczny wygląd przypominał Millandowi brytyjskiego aktora, Leslie Howarda. Próbował sobie przypomnieć, czy Leslie Howard miał tak głębokoniebieskie oczy.

- Jak się czuje? - zapytał nowo przybyły.

- Jest silny - odparł Gerrard - jak wszyscy wielorybnicy.

Mężczyzna podał Millandowi rękę. - Dzień dobry, kapitanie Milland. Nazywam się Ralph Holden.

Milland spojrział w niepokojące oczy mężczyzny. Uśmiechnął się słabo i potrząsnął podaną ręką.

- Miło mi, panie Holden.

19

Dzień stawał się coraz dłuższy, gdy "Tulsar" z prędkością dwóch węzłów zmierzał na północ. Daleko z tyłu zostały tropiki, a silne wiatry na przemian z nawałnicami zmusiły pasażerów do pozostania pod pokładem, gdzie Josephine starała się jak najlepiej zorganizować im rozrywkę. Od czasu do czasu dwie urszulanki ośmielały się wyjść na pokład, gdzie ich czarne habity trzepotały jak płaszcze szalonych wiedźm w podmuchach szczypiącego wiatru, który zwiastował nadejście czegoś gorszego. Pan i pani Vanson zawarli zjadliwy rozjem z powodu nieustannej gry w karty w restauracji, bo w barze wszystkie źródła już wyschły. Herbie Lewis myślał o Rose, a nowożeńcy przeżywali elektryzujące następstwa ostrej kłótni.

Kurt Milland siedział w przydzielonej mu, strzeżonej kabinie i zastanawiał się, kiedy Holden spróbuje się z nim skontaktować. Spędzał całe godziny siedząc na koi i przeżywając gorycz porażki. W czasie jednego ze spacerów po pokładzie zauważył nowy luk ładowni i zastąpił rozmyślenia snuciem planów.

17 maja, po południu, "Tulsar" został dostrzeżony o pięćset mil na południowy zachód od Lizbony przez Focke-Wulfa należącego do eskadry rozpoznawczej.

Olbrymi czterosiłnikowie przetrząsał skraj Atlantyku w poszukiwaniu gibraltarskiego konwoju, który według meldunków płynął daleko na zachód wysuniętym szlakiem.

Załoga Focke-Wulfa 200 przyjrzała się "Tulsarowi" przez lornetki i zauważyła olbrzymią flagę Stanów Zjednoczonych namalowaną po obu stronach kadłuba.

Płynące samotnie statki wielorybnicze nie były w kręgu ich zainteresowania, lecz skoro nie było nic innego do zameldowania, określili pozycję "Tulsara", jego kurs i zaskakująco małą prędkość i przesłali meldunek drogą radiową do swojej bazy w Bordeaux.

Dzięki jednemu z tych zbiegów okoliczności, które miały dalekosiężne konsekwencje, ich meldunek otrzymano w Bordeaux w tym samym czasie co rozkaz z Oberkommando der Luftwaffe na temat meldowania o wszystkich samotnych statkach naczelnemu dowództwu marynarki wojennej. Rozkaz natychmiast wykonano, w wyniku czego meldunek o "Tulsarze" został przekazany admirałowi Lütjensowi na "Bismarcka" w niespełna godzinę.

Takie oto pogmatwane wydarzenia miały ostatecznie zdecydować o losie olbrzymia i wyczerpać niewielkie zasoby dobrej passy "Tulsara".

20

Osiemnastego maja, tuż po godzinie dziesiątej, eskadra złożona z czterech jednosilnikowych myśliwców Focke-Wulf 190 z zadartymi nosami, pod dowództwem słynnego Gruppenadjułtanta, Oberleutnanta Paula Kassela, wylądowała w Bordeaux po długim locie z poligonu ćwiczebne Luftwaffe w Rechlinie.

Gdy tylko bładoniebieskie maszyny znalazły się pod przykryciem, personel naziemny z ciekawością rzucił się, by spojrzeć z bliska na nowe samoloty i bombardarce Kassela prośbami o autografy, które ten spełniał z uśmiechem, używając złotego wiecznego pióra - prezentu od marszałka Rzeszy Hermanna Goeringa.

Dobroduszne z wyglądu maszyny Kassela należały do serii próbnej FW 190 A-4, zaprojektowanej przez utalentowanego inżyniera Focke-Wulfa, Kurta Tanka. Wyposażone były w cztery pięćdziesięciokilowe bomby podwieszane u kadłuba, działa na skrzydłach i zbiorniki paliwa dalekiego zasięgu. Goering dumnie określił nowe samoloty jako posiadające "szybkość myśliwca i siłę uderzenia bombowca". Wysyłając eskadrę Paula Kassela do Bordeaux, chciał wyprzedzić Kriegsmarine, której osobście nie znosił. Wiirgergruppe Kassela - Eskadra Sępów - miała za zadanie odszukać i zniszczyć "Tulsara".

Tego samego dnia, o tysiąc mil na północny wschód, potężny "Bismarck" cicho wyszedł w morze ze swego bałtyckiego kotwicowiska.

Z obu stron Europy nieubłagane siły osaczały niepozorny statek wielorybiczny.
21

W następnym tygodniu pogoda raptownie się pogorszyła. Fronty niskiego ciśnienia dosięgły "Tulsara" i prawie zatrzymały go na miejscu górami fal, które stawały dęba i rzucały się na prowizorycznie zreperowany dziób z siłą wielce niepokojącą Pieta. Wrócił właśnie po sprawdzeniu łaty na mostek i stał tam wraz z Holdenem, gdy obaj usłyszeli warkot silników samolotowych.

- Dźwięk podobny do tych, które słyszeliśmy wczoraj - zauważył Holden. Spojrzał w kierunku ożowianych chmur, lecz nic nie spostrzegł. Drzwi sterówki otwarły się i Gerrard wyszedł na mostek.

Nasłuchiwał przez kilka sekund.

- Szukają nas? - zapytał Piet.

- Bóg jeden wie - odparł Gerrard - możliwe, że ten czterosilnikowiec jednak nas zauważył.

- Na pewno - zgodził się Holden.

- Dobrze - powiedział Gerrard zdecydowanie - zwiększamy prędkość i zmieniamy kurs - na wypadek gdyby te dranie nas namierzyły.

- Kapitanie - Piet był zafrasowany - mówię panu, że łata nie wytrzyma przyspieszenia.

- Jeszcze trzy węzły, Piet.

- Nie, kapitanie.

- Na miłość boską, Piet. Jeżeli dalej będziemy się tak wlec, to nas zbombardują.

Głos Afrykanera zabrzmiał nagle twardo. - Kapitanie, dlaczego Niemcy jeden przez drugiego starają się nas zatrzymać?

- Mam pomysł - rzekł nagle Holden - małe przyspieszenie pomoże, ale czy mamy jakąś farbę?

Piet spojrzął ze zdziwieniem na Holdena. - Farbę?

- Farbę.

Piet zmusił swój oporny mózg do zajęcia się przez chwilę tematem. - Z półtora

tysiąca litrów czerwonej podkładówki, ale żadnej nawierzchniowej.

- A pędzle?

- Pędzli jest od cholery - odparł zdziwiony Piet. Gerrard nagle zorientował się, o co chodzi, i zarechotał.

Dziesięć mil na wschód Paul Kassel zdecydował, że dalsze poszukiwania przy pogarszającej się widoczności nie mają sensu. Włączył laryngofon i rzucił rozkaz trzem towarzyszom.

Cztery głodne Sępy jak jeden zawróciły do bazy.

Josephine wybuchnęła śmiechem. - Żartuje pan? Nie, pan nie żartuje.

- Skarżyli się, że im się nudzi - powiedział Holden - mają teraz okazję zrobić coś pożytecznego. - Podważył przykrywkę dwudziestolitrowej puszki z farbą i wymieszał zawartość.

- Przecież to podkładówka - powiedziała Josephine.

- I co z tego?

- Jedną rzecz pamiętam ze sklepu mojego ojca - nie maluje się podkładówka na farbie nawierzchniowej.

- Masz o nim jakieś wiadomości, Jo?

- Nie.

Holden zdecydował, że stanowczy ton, jakim to powiedziała, oznaczał, że nie należy kontynuować tematu.

- Powiesz to pasażerom, czy ja mam to zrobić?

- Ja im powiem - rzekła Josephine - ale mam przecucie, że pana Eli Vansona trafi szlag.

Szlag trafił pana Eli Vansona.

- Co mam robić? - wrzasnęła na Josephine.

- Pomóc w odmalowaniu statku - powtórzyła Josephine, licząc powoli do dziesięciu, by się uspokoić. Od samego Durbanu Eli Vanson przysparzał tylko kłopotów. Zwróciła się do reszty pasażerów.

- Nie trzeba tego robić uważnie. Mamy tylko pochłapać jak najszybciej.

Wystarczy pędzli dla nas wszystkich i dla załogi, oni zajmą się najtrudniejszą częścią - malowaniem kadłuba.

Gwałtowne protesty Eli Vansona przerwane zostały przez jedną z urszulanek.

Wzięła od Josephine dwa pędzle, podała jeden swej towarzyszce i oświadczyła Josephine, że są gotowe zacząć.

Przekonanie reszty pasażerów poszło już gładko.

Wczesnym popołudniem "Tulsar" nie tylko zmienił swą barwę z jasnoszarej na ciemnoczerwoną, lecz także wygląd - kilka pokrowców na szalupy ratunkowe zostało zeszytych razem i rozciągniętych nad pochylnią - jedyną cechą, która zdradzała, że jest statkiem wielorybniczym.

22

Następnego ranka, 20 maja, Paul Kassel odbył krótką naradę z trzema kolegami, pilotami eskadry Sępów.

- Nasz jedyny zamiar na "Tulsara" pochodzi sprzed trzech dni - powiedział swoim ludziom. Wskazał palcem na mapę północnego Atlantyku koło wybrzeży Francji.

- Wiemy, że płyną na północ z prędkością dwóch węzłów - czyli robi pięćdziesiąt mil dziennie, dlatego nie może być dalej niż dwieście mil od tamtego miejsca, chyba że przyspieszył.

- Musiał przyspieszyć - rzekł stanowczo jeden z pilotów - przepatrzyliśmy

każdą milę kwadratową na północ od ostatnich namiarów. Albo to, albo zmienił kurs na zachodni.

Czterech mężczyzn spędziło jeszcze dziesięć minut omawiając szczegóły taktyki poszukiwań, nim udali się do czekających myśliwców.

Kassel martwił się, bo obiecywał Goeringowi, że nim upłynie tydzień, Sępy zakosztują krwi "Tulsara".

Zmartwił się jeszcze bardziej po południu, gdy wylądowali z powrotem w Bordeaux po bezowocnym pięciogodzinnym locie bojowym. Zauważyli i sfotografowali dwa statki, ale żaden z nich nie przypominał "Tulsara".

Dwie godziny później zatankowane Sępy wystartowały znowu i skierowały się na północ na małe trawiaste lądowisko w La Rochelle.

Przez następne kilka dni nowa baza przynosiła same nieszczęścia. 23 maja samolot numer dwa trafił na dół wykopany przez sabotażystów z Breton i złamał gołęń podwozia, a 25 maja silnik numeru czwartego odmówił posłuszeństwa, przegrzewając się jak zwykle, co doprowadziło do zatarcia dolnych cylindrów.

26 maja, po wykonaniu ogółem dwudziestu lotów bojowych nad Atlantykem, Kassel i ostatni z pozostałych myśliwców przenieśli się na lotnisko na Guernsey - jednej z okupowanych wysp leżących w kanale La Manche, gdzie zmuszeni byli dzielić niewygodę z udającym współczucie personelem Luftflotte 3, który za ich plecami cieszył się, że jednemu z niebieskookich wspaniałych chłopaków Goeringa nie wiedzie się.

Ale niepowodzenia wzmocniły tylko nieugięty zamiar Kassela znalezienia i zatopienia "Tulsara".

23

27 maja o godzinie dziewiątej dziesięć, gdy "Tulsar" znajdował się około pięciuset mil na południowy zachód od Brestu, od pomocy dał się słyszeć niski, nieregularny warkot.

Gerrard obrócił się na krześle w sterówce. - Hej, Sam - zawołał do stojącego przy sterze Brody'ego - czy przypomina ci to grzmoty?

- Najdziwniejsze, jakie kiedykolwiek słyszałem, szefie.

Gerrard założył ciepłą kurtkę i ubranie nieprzemakalne. - Tak właśnie myślałem.

Piet, który także usłyszał warkot, wspinał się właśnie na mostek, gdy Gerrard wyszedł ze sterówki wprost pod strugami deszczu.

Niski, groźny dźwięk powtórzył się. Wydawał się rozbrzmiewać wzdłuż całego horyzontu, dlatego obaj mieli kłopoty z ustaleniem kierunku.

- Co pan z tego rozumie, kapitanie?

Gerrard intensywnie wpatrywał się w szkwał niosący wodny pył. Widoczność była słaba, mniejsza niż na trzy mile.

- Do jasnej cholery, to na pewno są grzmoty, Piet.

- Pogoda staje się coraz bardziej angielska - zauważyła Josephine, kiedy razem z Holdenem jedli śniadanie.

Holden zmarszczył brwi i podniósł palec uciszając ją.

- Co się stało? - zdradzający napięcie wyraz twarzy Holdena zdumiał Josephine. Obojętna zwykle twarz żyła oczekiwaniem. Wydusił jedno słowo:

- Działa. A potem jeszcze trzy - O Boże! Działa!

- Działa - powiedział Piet. - Wielkie, dranie.

Gerrard doszedł już do takiego samego wniosku. - Jak daleko?

- Z pięćdziesiąt-sześćdziesiąt mil, jeżeli są to piętnastocalówki. Takie działo,

jak odpali w Simmonstown, słyhać za Przylądkiem Iglastym. - Piet nasłuchiwał przez kilka chwil.

- Pancerniki albo ciężkie krążowniki.

- Albo jedno i drugie.

Piet przytaknął. Mimo złej pogody ludzie zbierali się na pokładzie koło burt i spoglądali w kierunku złowróbnych grzmotów. Godzinę później niewidoczna bitwa jeszcze trwała.

- Boże, to dopiero musi być rozprawa - mruknął Gerrard. Około dziesiątej dziesięć rano przerwy między odgłosami salw stały się wyraźnie dłuższe. O dziesiątej dwadzieścia huk wystrzałów słyhać było tylko sporadycznie. Dziesięć minut później dała się słyseć kanonada, nie trwająca dłużej niż dwie minuty, po czym zaległa cisza.

Piet i Gerrard długo jeszcze stali przy barierce, nic nie mówiąc. Nie było wątpliwości, że wielu kolegów marynarzy zginęło bądź ginęło właśnie za horyzontem. Jak wielu z nich zginęło, okazało się dopiero tuż przed zmrokiem, gdy "Tulsar" znalazł się w rejonie prawie całkiem pokrytym ropą, szczątkami rozbitych okrętów, szalup i unoszących się na powierzchni ciał w mundurach Kriegsmarine. Były ich setki, a gdy "Tulsar" zatrzymał się, zaczęło wypływać więcej.

Kobiety i mężczyźni zebrani wzdłuż barierki patrzyli w całkowitym milczeniu na okropną scenę. Cóż bowiem można było powiedzieć, widok czynił niemożliwym nawet mechaniczne składanie słów w zdania.

Na polecenie Holdena jeden z Hindusów wyłowił pas ratunkowy. Gerrard podszedł ku nim i patrzył, jak Holden, przykleknąwszy na jedno kolano, odwrócił go. Przez warstwę popielatej wojennej farby dało się odczytać jedno słowo, które widniało na nim w czasie pokoju - "Bismarck".

- Co się stało, panie Holden - zapytał przyjaźnie Gerrard.

Holden wstał. - Dlaczego coś miałyby się stać?

- Nie, nic. Tylko wydawało mi się, że trochę się panu ręce trzęsły, kiedy odwracał pan ten pas.

- To był okręt wojenny - jeden z największych na świecie - odparł głucho Holden.

Gerrard uśmiechnął się. - Pewnie. Pytanie tylko, ile okrętów pociągnął za sobą na dno.

24

Karta Oberleutnanta Paula Kassel'a odwróciła się, gdy łódź podwodna wracająca do Lorientu po dwumiesięcznym rejsie, który wyczerpał zapas jej torped, zameldowała o statku odpowiadającym opisowi "Tulsara". Jedną rzeczą, która się nie zgadzała, był kolor. "Tulsar" nie był wszak czerwony, lecz Kassel przypisał to pomyłce w odszyfrowywaniu.

28 maja o godzinie trzeciej dwadzieścia po południu, w godzinę po otrzymaniu meldunku, dwa Sępy wystartowały z Guernsey i wzięły kurs na zachód, nad Atlantyk. Po piętnastu minutach myśliwce zeszyły w dół poniżej podstawy chmur i z zaskoczeniem odkryły brytyjską korwetę Flower, odległą o cztery mile w linii prostej. Nagłe pojawienie się dwóch myśliwców Luftwaffe podziałało na nerwy okrętowi Jego Królewskiej Mości - "Shepherd's Purse" - bo natychmiast otworzył do intruzów ogień z dział przeciwlotniczych. Kassel leciał tak nisko nad okrętem, że widział artylerzystów gwałtownie obracających lufami swych dział, by nie wymknął się z celowników przelatując z warkotem nad ich głowami. Zachichotał do siebie domyślając się, że załoga korwety będzie zachodzić w głowę, dlaczego nie zrzucił

bomb, dobrze widocznych pod skrzydłami Focke-Wulfa. Obejrzał się za siebie i z niemiłym zdziwieniem stwierdził, że został sam. Obrócił się na fotelu w drugą stronę i ujrzał, jak towarzyszący mu Sęp uderza w wodę i rozpada się na kawałki. Uwagę jego przyciągnęło lewe skrzydło własnego samolotu, w którym widniało pięć otworów w regularnych odstępach, bynajmniej nie stanowiących cechy konstrukcyjnej samolotu. Ogień korwety był celniejszy, niż się spodziewał, co potwierdził jeden z przyrządów pomiarowych, wskazując niskie ciśnienie oleju. W miarę posuwania się na zachód widoczność poprawiała się. Pułap chmur podniósł się, więc wspiął się na trzysta metrów. Kassel zauważył "Tulsara" płynącego na północny wschód i natychmiast zaczął pikować w jego kierunku. Statek miał kolor czerwony, lecz na pewno służył do połowu wielorybów, nawet niezdarna próba zakamuflowania pochylni nie mogła zmienić faktu. Leciał nisko. Widział oszalałych ludzi biegających po pokładzie i pokazujących w jego kierunku. Niektórym starczyło rozsądku, by rzucić się płasko na pokład.

Tylko jedna z bomb zrzuconych przez Kassela trafiła "Tulsara". Przebiła górny pokład z tyłu sterówki i eksplodowała, rozdmuchując jej ściany i wybijając wszystkie szyby. Brody rzucił się na ziemię w chwili uderzenia, a ciężki statyw żyrokompasu osłonił go przed wybuchem. Piet van Kleef ze swego miejsca na pomoście obserwacyjnym na własne oczy widział, jak bomba przebija dach sterówki, i natychmiast założył, że Brody nie żyje. Dostrzegł, jak Gerrard biegnie po pokładzie i wspina się po zwichrowanych stopniach na mostek.

Kassel rzucił przekleństwo w ślad za trzema bombami, które wpadły do wody w pobliżu "Tulsara" nie eksplodując. Zatoczył koło, by lepiej przyrzeć się statkowi, zauważając ze zdziwieniem i wściekłością, że ten płynie dalej.

Silnik zaczął stękać, co nie było zaskoczeniem, gdyż ciśnienie oleju było nieco wyższe od zera. Nie starczyło nawet czasu, żeby pomyśleć o ostrzeleniu statku działami pokładowymi. Najważniejsze było teraz doprowadzić Sępa na Guernsey. Wziął kurs na wschód, z niepokojem nasłuchując odgłosów słabnącego silnika. Pięć minut później jego niepokój zamienił się w złość, kiedy okazało się, że radio nie działa. Niech diabli porwą tę korwetę i ślepy los, który go na nią naprowadził! Nie mógł nawet podać przez radio namiarów "Tulsara". W tej chwili zatrzymał się silnik.

Nie pozostało mu nic innego, jak sprawdzić uprzęż spadochronu i odsunąć pękaty dach kokpitu Focke-Wulfa.

Był ciekaw, jakie ma szansę na wyratowanie przez statek wroga.

Gerrard i Holden stali pośród szczątków sterówki i przynębeni oceniali rozmiary zniszczeń.

- O Boże - wyrzucił Gerrard. Podniósł mały kawałek poskręcane metalu, który kiedyś służył mu za sekstans, i z niesmakiem odrzucił. - Nie mamy teraz nawet cholernego sekstansu.

- A sekstans Kramera? - zapytał Holden.

- Był w szufladzie stołu z mapami. Powie mi pan, gdzie jest stół, a ja powiem panu, gdzie jest sekstans Kramera. Żyrokompas w kawałkach, telegraf w kawałkach, ani jednej mapy - Chryste, co za cholerny rozgardiasz.

- Ster nadal działa - powiedział radośnie Brody - jest tylko jeden kłopot, szefie, nie wiem, jakim kursem płyniemy. Może nawet wracamy do Afryki.

- Powiem Pietowi, żeby wyciągnął kompas z szalupy ratunkowej - rzekł Gerrard.

W wejściu do pomieszczenia, które kiedyś było dzienną kabiną, pojawiła się

Josephine. Próbowała utrzymać tacę z kubkami parującej kawy jedną ręką i chwycić się framugi drugą. Holden szybko wziął od niej tacę i podtrzymał dziewczynę.

- Dobrze się czujesz, Jo?

Twarz Josephine była szara. - Wszystko w porządku - zmusiła się do uśmiechu - poza tym, że mamy trochę nie zaplanowanych rozrywek.

- Czy pod pokładem wszystko w porządku? - zapytał Gerrard.

Josephine przytaknęła. - Te dwie zakonnice są naprawdę jak anioły.

Uspokajają wszystkich, nawet pana Vansona, który sam nie wie, co o tym myśleć.

25

Następny dzień po ataku bombowym minął na nieustannej walce ze sztormowym wiatrem i wzburzonym morzem, które zawzięcie piętrzyło góry fal na drodze "Tulsara", rzucając się na owinięty brezentem dziób wściekłym

kłębowiskiem piany. Ledwo jedna fala przelała się z łoskotem przez otwory odpływowe, następna już grmiąc spadała na sponiewierany pokład.

Każda fala bezlitośnie powiększała niepokój Gerrarda. Czy łata wytrzyma? Jak brezent może wytrzymać taką naważnicę! Czy wytrzymają liny zabezpieczające

ładunek? Ale najbardziej bał się tego, że nie wiedział, gdzie jest, z wyjątkiem, że był w pobliżu łądu stałego. Zachowanie morza, atakującego "Tulsara" ze wszystkich

stron, mówiło mu, że jest blisko łądu. To właśnie stały łąd niszczył statki, morze czyniło to bardzo rzadko. Po raz pierwszy w swym marynarskim życiu zgubił się. Nie

miał map - wszystkie zmiotł do morza wybuch - i żadnych przyrządów nawigacyjnych, z wyjątkiem przenośnego kompasu wymontowanego z szalupy

ratunkowej. Rozpaczliwie próbował sobie przypomnieć fragmenty map wybrzeży Kornwalii, lecz nie był nigdy w tej części świata i żaden szczegół nie ostał mu się

w pamięci. Wiedział, że północne i południowe wybrzeża Kornwalii są dzikie i skaliste, a bardzo mało zatok nie jest narażonych na wściekłość Atlantyku.

Sprowadzone do absolutnego minimum instrukcje wejścia do kanału La Manche od południa brzmiały: skrócić w prawo sto mil po minięciu Ushant. Wydawało się, że

wybór chwili wykonania skrętu w prawo będzie najważniejszą decyzją w jego życiu. Zmierzch przyniósł silniejszy wiatr, który jął zawodzić w szparach brezentu

rozciągniętego nad zniszczoną sterówką. Płótno tłućko się i trzepotało jak oszalałe, co sprawiało, że niemożliwe było przekazywanie rozkazów sternikowi w inny sposób, niż

wrzeszcząc mu wprost do ucha.

Około drugiej w nocy kołysanie stało się jeszcze silniejsze, a morze bardziej wzburzone i niepewne. Gerrard leżał wyczerpany na koi nie mogąc zasnąć i czekał,

czy nie usłyszysz łomotu spadających skrzyń w ładowni, co oznaczałoby koniec.

26

Milland z całej siły uderzył protezę Hindusa w tył głowy. Marynarz upadł nieprzytomny na tacę z jedzeniem, którą stawiał właśnie na stole.

Przekonany, że ktoś musiał usłyszeć szeczeń sztućców i metalowych talerzy, podczołgał się po podłodze ku drzwiom kajuty i zatrzasnął je. Nasłuchiwał pilnie

siedząc na podłodze z pustą nogawką spodni podwiniętą pod siebie. Zaryzykował szybkie spojrzenie na zewnątrz. Ciemny korytarz był pusty. Podniósł protezę

i zobaczył, że uderzył zbyt mocno - staw skokowy był zupełnie zniszczony, pozostała z niego wyszczerbiona masa porwanych kawałków blachy i obciętych

nitów. Przeklął swoją głupotę i rzucił bezużyteczną kończynę w kąt kajuty, zrozpaczony. Bez nogi nie da rady - musiałyby się czółgać.

W pochwie na pasku Hindusa znajdował się nóż z uchwytem z kości słoniowej.

Milland odpiął sprzączkę i wyjął go. Klinga miała piętnaście centymetrów długości

i była ostra jak brzytwa.

Pogrążony w myślach przesiedział piętnaście minut, zastanawiając się, co ma robić. Gwałtowne kołysanie statku poddało mu pomysł. Noga nie miała znaczenia. Jeżeli ma się czołgać, to właśnie tak robi.

Włożył nóż za pas, przeszukał kieszenie Hindusa i znalazł to, czego szukał - pudełko zapałek.

Milland odczekał dwie minuty w cieniu nawiewnika, by pozwolić oczom przyzwyczać się do ciemności. Bez przerwy ochlapywała go woda z rozbryzgujących się fal, lecz nie dbał o to, najważniejsze było mocno trzymać zapałki, żeby nie zamokły, i obejrzeć uważnie cel wyprawy - jeden z włazów otaczających pokład. Zastanowił się, w jaki sposób je zamykano. Nie było jednak czasu na zastanawianie, sprawdzić można było tylko tak...

Uchylony właz zabezpieczony był kołkiem wsuniętym w ucho zaczepu.

Z pewnym wysiłkiem wyciągnął kołek i podniósł pokrywę. Była ciężka, a gwałtowne kołysanie bynajmniej nie ułatwiło zadania. Nieustanny łoskot fal uderzających w kadłub zagłuszył całkowicie skrzypienie zardzewiałego metalu.

Ręce Millanda przygotowane były do znacznie większego wysiłku niż człowieka z obu zdrowymi nogami, odznaczały się więc niezwykłą siłą. Nie musiał się specjalnie starać, by wisząc nad otchłanią uczepiony jedną ręką szczebla drabinki zamknąć klapę włazu. Zdrową nogą pomacał w ciemności. Nie było więcej stopni. Wyjął z kieszeni kilka monet i upuścił je. Ostry brzęk pod stopami powiedział mu, że ma do pokonania około półtora metra. Puścił uchwyt i upadł jak długi na coś, co wyglądało na drewnianą skrzynię. Udało mu się złagodzić upadek, chwyciwszy się lin mocujących skrzynię do dna ładowni.

Płomień pierwszej zapałki oślepił go na tyle, że niczego wyraźnie nie zauważył.

Druga zapałka powiedziała mu, że znajduje się dokładnie tam, gdzie chciał być - w ładowni ze złotem, otoczony skrzyniami ustawionymi po dziesięć jedna na drugiej i ciągnącymi się wzdłuż wąskiego przejścia widocznego w bladym świetle zapałki. Przyszedł moment otrzeźwienia. Otaczało go złoto, złoto warte miliony marek, całe bogactwo potężnego Imperium Brytyjskiego.

Jeden ostry nóż mógł posłać wszystko na dno. Przy tak dużym kołysaniu statku kilka skrzyń luzem zacznie uderzać w inne, zrywając ich mocowania, te zaś z kolei wraz z pozostałymi stworzą bezładną, żywą masę, która wreszcie przebijie kadłub lub wprowadzi "Tulsara" w taki przechył, że nie da się nim sterować.

Jeden ostry nóż...

Wyrwał nóż Hindusa zza pasa i zabrał się do przecinania naprężonych lin.

Najpierw puściła jedna, potem druga. Nie potrzebował zapałek, nie musiał nic widzieć - po prostu ciął i rąbał każdą linię w zasięgi ręki. Nigdy w historii tak prosty akt sabotażu nie będzie miał tak daleko idących konsekwencji.

Usłyszał, jak przesuwały się leżące wyżej skrzynie, i poczuł, że cały ich stos przechyla się w rytm kołysania statku. Śpieszył się z obłudą w oczach. U góry skrzypienie stawało się coraz głośniejsze. Z głośnym brzękiem pękła następna lina.

Usłyszał, jak przewraca się stos skrzyń, i rozpaczliwie podczołgał się wzdłuż przejścia. W tym momencie spadły z hukiem. W snopie światła zapałki dojrzał, że skrzynie zbiły się w nieruchomą masę. Podciągnął się do pozycji stojącej, próbując je przesunąć z miejsca, lecz bezskutecznie. Strumienie potu zalewały mu twarz, więc opuścił się na podłogę, by odpocząć. Nagle bardzo silna fala uderzyła w "Tulsara". Nim zdolał się poruszyć, skrzynie ożyły. Z trzaskiem ruszyły skłębione wokół niego.

Rozjaśniało się, gdy Piet wciągnął swe lśniące, odziane w nieprzemakalny kombinezon ciało po stromych resztkach stopni prowadzących na mostek. Obiema dłońmi przywarł do prowizorycznej poręczy.

- Pompy nie wyrabiają! - wrzasnął do Gerrarda, próbując przekrzyczeć wiatr.

- Metr wody!

Gerrard spojrział skonsternowany na olbrzymiego Afrykanera. Taka ilość wody w zbiorniku żelowym stwarzała poważne niebezpieczeństwo. - Na miłość boską, Piet, weź ludzi i obsadź pompy ręczne!

- A co przez cały czas robie! - odrzyknął Piet. - Nic nie pomaga!

Nie dokończył, gdyż Gerrard ujrzał zieloną górę w ataku i krzyknął. Piet zdążył odwrócić się i zobaczyć, jak cała potęga morza wali z boku na "Tulsara"

z niewiarygodną siłą. Statek przechylił się gwałtownie, tak że Gerrard musiał się chwycić Pieta, by nie zostać zrzuconym w dół, w sam środek wirującej kipieli. Cały pokład tonął w nieprzerwanej masie wody. Piet przyparł Gerrarda do bariereki i trzymał go tak, nim Amerykanin sam zdołał się jej chwycić. Gerrard zdawał sobie sprawę, że teraz będzie inaczej - "Tulsar" nie wyprostuje się, za bardzo się przechylił.

Przez kilka trwających całą wieczność sekund obaj mężczyźni trzymali się kurczowo poręczy z siłą, jaką daje tylko strach, niepomni jeden drugiego, zdecydowani nie dać się zmyć z pokładu na pewną śmierć.

Jakimś cudem "Tulsar" zaczął się prostować, lecz ruchy jego były zbyt powolne, zbyt nierównomierne. Stopy Gerrarda, wyczulone na każde drgnienie statku, odebrały dreszcze przebiegające przez pokład, jakby ktoś uderzał młotem pneumatycznym.

- Ładunek się oblużował! - krzyknął Piet.

Ogłuszający łoskot wody odpływającej z pokładu ustał na chwilę. Wtedy

Gerrard usłyszał nowy dźwięk - głuchy huk dochodzący z wnętrza statku, który mógł być spowodowany tylko oberwaniem się skrzyń w ładowni. Huk ten był doskonale zsynchronizowany z grzmiotem fal atakujących kadłub.

"Tulsar" nie wyprostował się całkowicie, lecz pozostał ciężko przechylony na lewą burtę, jakby kulił się przed ciosami morza, które chciało go zniszczyć.

Holden pochwycił Josephine za rękę, by nie straciła równowagi na pochyłej podłodze restauracji.

- Słuchaj! - powiedział. - Gerrard ma zamiar dać rozkaz opuszczenia statku. Musisz wyprowadzić wszystkich pasażerów na pokład. Teraz! Niech ci pomogą ludzie z załogi. Sprawdź każdą kajutę - wszyscy muszą wyjść!

- Nie możemy! - prychnęła, bardziej zdenerwowana niż przestraszona. -

Najpierw musi wydać rozkaz. Może wszystko będzie w porządku.

- Dziewczyno, nie bądź taka uparta! Patrzcie tylko!

Gerrard musi wydać rozkaz!

- A pan? - zapytała zdecydowanie Josephine.

- Mam jeszcze coś do zrobienia, a teraz, na miłość boską, przestań się kłócić i wyprowadź pasażerów z kajut!

Holden zostawił Josephine i skierował się do swej kabiny. Idąc po silnie nachylonej podłodze musiał trzymać się ściany. Wszedł do środka i spod koi wyciągnął nadajnik "Afu" Kramera. Rozejrzył się po wnętrzu kabiny i zdecydował, że otaczająca stal stłumi sygnał. Postanowił, że wyniesie nadajnik na zewnątrz.

- Ster na działa! - Brody wrzasnął do Gerrarda przez pozbawione szkła okna sterówki. Dziób "Tulsara", przechylony na lewą stronę, wystawił prawą burtę jak pochylnię, po której wtaczało się morze. Przechylił pogłębił się. Spod pokładu

wynurzył się Jack Colby. Telegraf maszynowni i interkom nie działały, więc radiooperator przekazywał wiadomości między maszynownią a mostkiem.

- Szlag trafił chłódzenie! - krzyknął - Wsiadły turbiny!

Brody oblizał wargi i puścił wolno bezużyteczne koło sterowe, które obracając się potraçało o jego palce. - Więc to koniec, szefie?

Gerrard przez kilka sekund patrzył prosto przed siebie, w sam środek' burzy, po czym otrząsnął się z zamyślenia. - Koniec, Sam...

Sięgnął po mikrofon i przypomniał sobie, że już go tam nie ma.

- Piet! Przekaż wszystkim! Opuzczamy statek!

Holden wdrapał się po stromym stoku tylnego pokładu i przykucnął pod szalupą ratunkową. Dochodziły go nawoływania załogi i pasażerów zbierających się na pokładzie z lewej strony. Otworzył nadajnik Kramera, podniósł wieko skrzynki i przerzucił zwój drutu antenowego przez jeden ze wsporników szalupy, później włączył urządzenie i czekał, aż się nagrzej.

Błede poranne słońce przedarło się na chwilę przez chmury. Wystarczyło, żeby jedna osoba wdrapała się na prawy pokład, a zostałby zauważony.

Minęła minuta. W słuchawkach rozległo się mruczenie. Zamarznięte palce

Holdena ześlizgnęły się z klucza nadajnika. Chuchnął na nie, ujął mocniej ebonitowy przycisk i zaczął nadawać.

Fala nagle chlusnęła na lewy pokład i zwaliła z nóg Herbie Lewisa.

- Trzymać się liny! - wrzasnął Piet przez megafon na pasażerów. - Wszyscy trzymać się, a nic się nikomu nie stanie!

Josephine pomogła Herbie Lewisowi wstać, a zaraz potem ruszyła na pomoc Eli Vansonowi, któremu groziło niebezpieczeństwo utraty równowagi. Przynajmniej raz przemysłowiec nie skarżył się. Był, podobnie jak inni pasażerowie, zmarznięty, przemoczony i wystraszony. U jego ramienia wisiała żona, co zdecydowanie utrudniało mu utrzymanie równowagi.

- Łatwiej będzie panu Vansonowi, jeżeli będzie się pani trzymać liny -

Josephine próbowała przekrzyczeć wiatr. Lecz przerażona kobieta spoglądała pustym wzrokiem przed siebie i zacisnęła kurczowo ręce na rękawie męża. Nie przyjmowała do wiadomości obecności Josephine, kiedy ta sprawdzała, czy nadmuchiwana kamizelka ratunkowa jest dobrze założona.

Powłócząc nogami po pokładzie nadszedł Piet ze stosem spiętych razem papierów. - Ma pani wszystkich pasażerów, panno Britten?

- Wszystkich z wyjątkiem pana Holdena - odparła Josephine. - Nie mam pojęcia, gdzie jest.

- Wszyscy pasażerowie do ślizgacza! - krzyknął Gerrard. - Wszyscy

pasażerowie do ślizgacza! Szybciej! Ruszać się! Ruszać się!

Odczepiony ze wsporników ślizgacz został opuszczony na wodę, równo z nachylnym pokładem. Dwóch hinduskich marynarzy opierało się o burte, pomagając każdemu z pasażerów zejść ze zdradziecko strome go pokładu i wskoczyć do otwartego kokpitu ślizgacza.

- Są wszyscy pasażerowie oprócz Holdena! - wrzasnął Piet wprost do ucha Gerrarda.

- A załoga?

- Brakuje jednego pomocnika i tego niemieckiego więźnia. Idę właśnie po nich.

Gerrard zapomniał o Millandzie. - Ja się nimi zajmę, Piet. Zostań

z pasażerami. Powiedz, żeby Colby zaczął ładować załogę do szalup ratunkowych.

Hindus, którego ogłuszył Milland, przychodził właśnie do siebie, gdy znalazł go

Gerrard. Przyznał, że nie ma pojęcia, gdzie jest Milland. Gerrard zwymyślał go i częściowo wypchnął, a częściowo wywlókł z kabiny, nim ruszył na poszukiwanie Millanda.

Pani Eli Vanson krzyknęła z przerażenia, kiedy pierwsza fala zagroziła ślizgaczowi przewróceniem na bok. Piet włączył silnik i oddalił się od bezwładnego "Tulsara". Po raz pierwszy Josephine zdała sobie sprawę z rozmiarów katastrofy, która zdarzyła się statkowi, "Tulsar" pochylony był o ponad trzydzieści stopni, zanurzając się coraz głębiej w wodę od strony dziobu.

Josephine wstała. Jedną ręką musiała trzymać się osłony kokpitu, a drugą chronić oczy przed rozbryzgami fal. Wskazała na szalupę, do której Jack Colby kierował załogę.

- Gdzie jest pan Holden? - krzyknęła do Pieta.

- Kapitan go szuka. Nie ma się czym martwić - odparł Afrykaner, skoncentrowany na utrzymaniu łodzi dziobem do fal.

Gerrard spuścił linę do ładowni i poświecił wokół latarką. Ogłuszył go trzask skrzyń, wpadających z łoskotem na siebie i zderzających się z burtami. Uskoczył na bok przed jedną z nich, pędzącą wprost na niego. Na podłodze widać było krew.

- Kurt!

"Tulsar" zakołysała się, a ruch ten spowodował, że stos skrzyń spiętrzonych w rogu zaczął przesuwac się ze zgrzytem ku środkowi ładowni. Wtedy snop światła latarki wydobył z ciemności rękę, wystającą spod bezładnej masy skrzyń, które zaklinowały się w kącie. Patrząc uważnie na skrzynię, w każdej chwili mogącą runąć na niego, zaczeplił palcami o drugą, która przygniatała leżącego człowieka. Gerrard poczekał na właściwy moment i zdołał przewrócić ją na bok. Człowiekiem w pułapce okazał się Milland. Dolna połowa jego ciała była przygwożdżona skrzyniami i Gerrard natychmiast zdał sobie sprawę, że nie da rady ich ruszyć. Ukłakł na jedno kolano obok Niemca.

- Kurt!

Milland oddychał. Otworzył oczy i popatrzył na Gerrarda. Jego matowe spojrzenie było bez wyrazu. Wargi poruszyły się. Gerrard nachylił się, by usłyszeć, co mówi.

- Koniec z nim?

- Koniec, Kurt. Zwyciężyłeś.

Milland obrócił głowę, próbując ocenić rozmiary katastrofy, którą wywołał.

Czego nie zdołał dojrzeć, usłyszał. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Zabawne - wymamrotał.

- Co, Kurt?

Niemiec odkaszlnął, a twarz skrzywił mu grymas bólu.

- Że... że złoto roztrzaska ci statek.

"Tulsar" zakołysała się gwałtownie i zwiększył przechył. Dwie skrzynie uderzyły z dużą siłą w burtę, niecałe dwa metry od nich. Blacha puściła, a woda z łoskotem wdarła się przez otwór. Gerrard spróbował rozpaczliwie poruszyć skrzynie, przytłaczające Millanda. Po dwóch minutach szaleńczego wysiłku dał za wygraną i ześliznął się na podłogę obok niego, by zaczerpnąć tchu.

- Robert...

- No?

Milland włożył wiele wysiłku w wypowiedzenie zdania. - Przykro mi z powodu Cathy.

- No...

Zgodnie z poruszeniem "Tulsara" skrzynie uderzyły znów w przeciwną stronę kadłuba, w pęknięte poszycie. Blachy wygięły się bardziej na zewnątrz, wpuszczając do środka całe kaskady wody. Cała jedna strona ładowni znajdowała się już pod wodą, spod której wystawało kłębowisko desek z roztrzaskanych skrzyń. Te, pod którymi leżał Milland, lekko się poruszyły, a z przedziurawionych płuc Millanda wyrwał się okrzyk bólu. Podniósł rękę i chwyciwszy lekko za kurtkę Gerrarda przyciągnął go ku sobie.

- Zapytaj go o coś ode mnie - wycharczał.

- Kogo?

- Holdena. Zapytaj go, dlaczego się ze mną nie skontaktował, dlaczego nie pomógł - głos Millanda umilkł. Zamknął oczy. Jego oddech stał się nagle ciężki.

- Dlaczego Holden miałby pomagać? - Gerrard nabrał w dłonie trochę wody i polał nią twarz Millanda. - Kurt! Dlaczego Holden miałby ci pomóc?

Usta Millanda poruszyły się. Gerrard nachylił się tak, że jego ucho oddalone było od ust Millanda nie więcej niż o kilka centymetrów. Usłyszał, jak umierający mówi: - Holden jest naszym drugim agentem...

Holden poczuł drżenie przebiegające "Tulsara". O ile mógł się zorientować w oślepiających smugach wody, pokład nachylony był prawie o sześćdziesiąt stopni. Czas było przestać nadawać. Wyłączył nadajnik i szarpnięciem zdjął antenę ze wspornika.

- Holden! - wrzasnął z tyłu głos.

Odwrocił się. Z ramieniem owiniętym wokół słupa stał Gerrard, mierząc w niego z Lee Enfielda.

- Daj mi tylko pretekst, żebym ci odstrzelił głowę, a skorzystam z niego, Holden.

- Co mam zrobić? - zapytał spokojnie Holden.

Opanowanie w głosie Anglika rozwścieczyło Gerrarda do tego stopnia, że o mało nie skusił się i nie zastrzelił Holdena na miejscu. - Zamknij nadajnik. Fala uderzyła w bok "Tulsara" i prawie że wyrwała Holdenowi z rąk nadajnik. Zamknął pokrywę i spoglądał uważnie na Gerrarda.

- Co teraz, kapitanie?

Gerrard wskazał karabinem drogę. - Tędy.

Holden potykając się ruszył w stronę Gerrarda.

- W porządku. Teraz w dół, na pokład.

Pokład zmienił się w stromą rampę prowadzącą wprost w rozszalałe morze, kłębiące się za burtą. Ślizgacz sterowany przez Pieta znajdował się niebezpiecznie blisko pochylonego kadłuba "Tulsara".

- Siadaj na dupie! - krzyknął Gerrard.

Holden usiadł i zjechał na dół po mokrym pokładzie. Chwycił się burty i poczuł, jak spada na niego Gerrard. Obaj byli po pas w wodzie. Gerrard nadal trzymał karabin. Pokiwał na Pieta, który zbliżył podskakujący szaleńczo dziób ślizgacza tak blisko statku, jak tylko się dało.

- Rzuć najpierw radio! - polecił Gerrard.

Herbie Lewis trzymał się działa harpunniczego. Gestem pokazał, że jest gotów złapać skrzynkę. Holden rzucił ją do niego. Kanadyjczyk złapał ją zręcznie i podał na rufę.

- Teraz ty! - krzyknął Gerrard.

Piet podpłynął jeszcze bliżej, a Holden przykucnął na burcie. Oceniał zmniejszającą się odległość i skoczył, łądując niezgrabnie na niewielkim przednim

pokładzie ślizgacza. Herbie Lewis chwycił go za koszulę, a w jego ślady poszli pasażerowie, bezceremonialnie wciągając Holdena do kokpitu. Gdy Gerrard znalazł się na pokładzie, Piet dał całą wstecz i oddalił się od "Tulsara".

Josephine uklękła obok Holdena i pomogła mu usiąść.

- Odejdź od niego! - wrzasnął Gerrard. - Nikomu nie wolno się do niego odzywać!

- Niech pan się nie wygłupia i nie celuje do mnie z tej strzelby! - odparła Josephine.

Gerrard odepchnął Josephine od Holdena i siłą wtłoczył między urszulanki. -

On jest szpiegiem, panno Britten. Powiedziałem, że nikomu nie wolno się do niego odzywać.

- Zrób, jak mówi, Jo - powiedział Holden zmęczonym głosem.

Piet skierował ślizgacz w stronę szalupy Jacka Colby'ego, oddalonej od "Tulsara" o prawie sto metrów. Josephine miała zamiar nie posłuchać Gerrarda, lecz rozmyśliła się. Kołysanie mniejszej łodzi, do którego nie była przyzwyczajona, sprawiło, że zrobiło jej się niedobrze.

Z szalupy Jacka Colby'ego rzucono hol, który zamocowano do wspornika na pokładzie ślizgacza. Rozległ się głośny trzask i zdumiona Josephine ujrzała, jak burta "Tulsara" pęka wzdłuż linii nitów. Drugi trzask rozpruł burtę statku na boki. Wyglądało to, jakby oszalały buldożer próbował się wydostać z wnętrza rozdzierając kadłub. Ujrzała Gerrarda stojącego na rufie i spoglądającego na agonię swego statku. Dwa trzaski nastąpiły szybko, jeden po drugim. Nagle kadłub pękł. Drewniana skrzynia wypadła z jego rany i pogrążyła się w morzu. Następne poszły w ślad za nią, a w chwilę później cała ich kaskada zaczęła spadać w topiel z długotrwałym, nieprzerwanym pluskiem.

Strumień zatrzymał się i "Tulsar" zdawał się odzyskiwać równowagę. Lecz koniec nadszedł bardzo szybko - dwie potężne fale przewróciły statek na bok. Jedna ze śrub pojawiła się na chwilę nad spienioną wodą, po czym zniknęła wraz z rufą. Dziób, z łata dalej na swoim miejscu, podniósł się wysoko nad wodę, jakby statek próbował ujsć morzu, które chciało go porwać w odmęty. Dziób zatrzymał się, niezdeterminowany, i porzucił wreszcie nierówną walkę.

"Tulsar" zatonął o 2.55 po południu, 30 maja 1941. Piet wyłączył bieg.

Pasażerowie i załoga na obu łodziach spoglądali w milczeniu na musującą biel wody wskazującą miejsce zatonienia "Tulsara". - Jaki kurs, kapitanie? - zapytał Piet. Musiał powtórzyć pytanie.

Gerrard wzruszył ramionami. - Wschód. Północny wschód. Południowy wschód. Bóg jeden wie, gdzie jesteśmy.

Afrykaner obrócił ster, aż kompas wskazał wschód.

Około 3.30 pogoda zaczęła się polepszać. Wiatr zmienił kierunek na południowo-zachodni i ucichł. O piątej pojawiło się słońce, a ciągle rosnący w oczach skrawek jasnego nieba, widoczny od zachodu, podniósł rozbitków na duchu.

O godzinie 5.10 po południu znalazł ich "Shepherd's Purse".

28

Komandor porucznik James Keron, ochotnik rezerwy Królewskiej Marynarki Wojennej, dowódca korwety Jego Wysokości "Shepherd's Purse", podniósł głowę i uśmiechnął się ciepło, gdy wprowadzono Gerrarda do ciasnej kwatery starszych oficerów. Amerykanin po przespanej nocy, kąpieli i goleniu wyglądał zdecydowanie lepiej, niż w chwili odnalezienia go poprzedniego dnia po południu.

- Dzień dobry, kapitanie - powiedział Keron przyjaźnie, wstając i potrząsając dłoń Gerrarda. - Proszę siadać. Mój steward zajął się panem, prawda?

- Oczywiście - powiedział Gerrard siadając przy stole. Szybko rozejrzał się wokół. Światło słoneczne wdzierało się do kwatery. Z zewnątrz dochodziły odgłosy stoczni pracującej na potrzeby wojny.

- Jedenasta to chyba trochę za wcześnie na dzin, nie sądzi pan? - zauważył Keron pogodnie, nalewając z dzbanka dwie filiżanki kawy. - Prawdę mówiąc, nie znoszę niczego oprócz piwa, ale muszę się z tym kryć, bo inaczej mnie zdemobilizują.

- Jesteś my w Falmouth, komandorze? - Ton Gerrarda był szorstki. Amerykanin nie był usposobiony do żartów.

- Ależ oczywiście. Przybiliśmy o pierwszej zero-zero.

- Dlaczego mnie wcześniej nie obudzono?

- Bo spał pan jak przysłowiowy suseł, drogi przyjacielu.

- Gdzie są inni?

- W miejscowym hotelu. Wszyscy się tam o nich troszczą, ale nikomu nie wolno z nimi rozmawiać.

- A Holden? - zapytał Gerrard, popijając kawę.

- Aresztowany, w związku z tym, co mi pan powiedział.

- Co się z nim stanie?

- Jeżeli jest tym, czym pan mówi, że jest, najprawdopodobniej zostanie powieszony - Keron spojrział na drzwi. - Ach, proszę wejść, kapitanie. Do kabiny wszedł chudy, wyglądający dystygownie mężczyzna w czarnym garniturze. Miał przy sobie aktówkę ozdobioną herbem królewskim.

- Kapitan Steven Houseman - powiedział Keron, przedstawiając przybysza Gerrardowi.

- Byłbym wdzięczny za pozostawienie nas na chwilę samych - powiedział szorstko Houseman, gdy zakończyła się prezentacja.

- Dopilnuję, żeby nikt nie przeszkadzał, sir - obiecał Keron i zostawił Gerrarda i Housemana sam na sam.

Houseman usiadł i zapalił papierosa złotą zapalniczką. Przez kilka sekund wpatrywał się w Gerrarda, nim zaczął mówić.

- Właśnie przyleciałem tutaj z Londynu, panie Gerrard, po rozmowie z komandorem Keronem dziś rano.

Otworzył aktówkę i wyjął z niej jakieś papiery. - Niech mi pan powie, jaki ładunek wiózł "Tulsar", panie Gerrard.

- Dwieście ton złota - odparł Gerrard, odpowiadając oschłością na oschłość Housemana.

Houseman westchnął. - Miałem nadzieję, że sen wpłynął kojąco na pańską wyobraźnię, panie Gerrard.

W Gerrarda zaczęła wstępować złość. - Co pan chce przez to powiedzieć?

- Jest to grzeczny sposób dania panu do zrozumienia, że pan kłamie, panie Gerrard. Czy pan naprawdę sądzi, że ktokolwiek uwierzy w te bzdury, których naplótł pan komandorowi? Czy naprawdę myśli pan, że jesteśmy aż takimi idiotami, żeby się na to nabrać?

Gerrard za wszelką cenę usiłował się opanować.

- Jeżeli porozmawia pan ze Skarbem...

- Rozmawiałem już - przerwał Houseman. - Mimo iż nie zamierzam dyskutować z panem na temat przemieszczania naszego złota, mogę panu

powiedzieć, że nie wywoziliśmy złota z Durbanu, nie zamierzamy tego robić, a nawet gdyby tak było, to na pewno nie robilibyśmy tego na pokładzie statku pływającego pod banderą amerykańską.

- Na miłość boską, dlaczego więc Niemcy posłali dwóch agentów na mój statek? Żeby liczyli wieloryby, które upolują?

Houseman uśmiechnął się lekko. - Ach tak. Ci pańscy szpiedzy. Kramer i Holden.

- Widział pan nadajnik Kramera, prawda?

- Tak. Bardzo ciekawe. Oczywiście dowiedział się o pańskich planach podróży do Anglii i postanowił wybrać się na gapę. Zawodowiec. Ale nie żyje.

Gerrard zacisnął pięści i znów je otworzył. Zorientował się, że Houseman umyślnie go prowokuje, i postanowił panować nad sobą, by nie dać aroganckiemu Anglikowi przewagi swoim zdenerwowaniem. - Do tego jeszcze Holden!

Zawodowiec, jakich mało! Przyłapałem go, jak używał nadajnika Kramera, sam Kurt Millard powiedział, że Holden był agentem. Co mam powiedzieć, żebyście mi uwierzyli?

Houseman zamknął aktówkę i wstał.

- Muszę jeszcze zasięgnąć informacji, panie Gerrard. Zostanie pan przeniesiony do policyjnego więzienia, aż będę gotów znowu z panem rozmawiać.

- Chcę się widzieć z adwokatem - powiedziała głucho Gerrard.

- To niemożliwe.

- Mam przecież prawo!

Houseman podszedł do drzwi. - Zgodnie z przepisami o obronności kraju, prawo jest przy nas. Możemy pana przetrzymać bez procesu. A jeśli się zdecydujemy wkroczyć na drogę sądową, mamy prawo do procesów przy drzwiach zamkniętych, ogłoszenia wyroków przy drzwiach zamkniętych i przeprowadzania egzekucji przy drzwiach zamkniętych w więzieniu w Exeter lub gdziekolwiek indziej.

Gerrard patrzył w zimne oczy Housemana i nagle zdał sobie sprawę, że się boi.

- Chciałbym, żeby pan pomyślał o jeszcze jednym - ciągnął Houseman. -

Powiedział pan, że bomba zrzucona przez niemiecki myśliwiec zniszczyła wam radiostację. Zostaliście odnalezieni o sto mil na południowy zachód od półwyspu kornwalijskiego tylko po dwóch godzinach przebywania w szalupach. Nie przyszło panu do głowy, że stało się to nadspodziewanie szybko? W rzeczywistości dwie stacje nasłuchu na wybrzeżu zdołały określić wasze położenie dzięki sygnałom SOS nadanym przez pana Holdena.

Policjanci w cywilu z Rejonu Kornwalii przyszli po Gerrarda godzinę później i zawieźli go czarnym wolsyem na komisariat w Falmouth. Odprowadzono go do pustej celi o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych i podano więzienny posiłek wydawany w czasie wojny - pieczoną rybę w cieście i gotowaną kapustę. Autobus zatrzymał się wewnątrz otoczonego drutem kolczastym miejsca. Drzwi otworzył przystojny kapral w mundurze koloru khaki.

- Proszę wysiadać, miłe panie.

Josephine zeszła po schodach w ślad za dwiema urszulankami i odwróciła się, by pomóc pani Vanson.

- Gdzie jesteście? - zapytała kaprała.

- Gdzieś w Anglii, proszę pani - odpowiedział podoficer podpisując kartę kierującej, żołnierzowi Żeńskiej Służby Pomocniczej przy Marynarce Wojennej. - Bardzo proszę za mną.

Młoda mężatka, oddzielona od swego męża w Falmouth, rozpłakała się po raz

dwudziesty, jak wydawało się Josephine, od momentu rozpoczęcia podróży. - Proszę, niech ktoś się nią zajmie, zanim pani Vanson też się rozpłaczę - powiedziała zdenerwowana Josephine nie wiadomo do kogo.

Zakonnice podeszły do dziewczyny i udało im się ją uspokoić.

- Proszę panie tędy - rzekł niecierpliwie kapral, wchodząc po schodach prowadzących do długiego drewnianego baraku.

Josephine jako ostatnia weszła do przynębiającego budynku, lecz przedtem obejrzała się. Było coś znajomego w kształcie spaniałego budynku, wyrastającego ponad wierzchołki drzew na tle nieba. Widziała go już wcześniej w książkach i na filmach. Wtedy przypomniała sobie - był to zamek w Windsorze.

- O Boże - powiedziała do siebie - Jesteśmy więc w parku windsorskim.

Houseman zobaczył się z Gerrardem dopiero o 6.30 wieczorem. Jego sposób bycia stał się jeszcze bardziej oschły niż rano. Usiadł przy stole naprzeciwko Gerrarda w pokoju przesłuchań i otworzył aktówkę. Od razu przeszedł do rzeczy.

- Skontaktowaliśmy się z pańskim agentem w Durbanie, panie Gerrard.

Powiedział nam, że 23 lutego "Tulsar" został załadowany dwustu tonami ołowiu.

Sprawdziliśmy także korporację w Broken Hill w północnej Rodezji, a oni potwierdzili, że wysłali do Durbanu pociąg sztabek ołowiu 21 lutego.

Gerrard wyglądał na znudzonego.

- To była przykrywka dla złota, którą wymyślił Holden. Nikt oprócz jego i mnie nie wiedział o tym.

- I Niemcy, którym według pana wszystko powiedział - zauważył Houseman głosem zabarwionym sarkazmem.

- Rozmawiał pan z nim? - zapytał Gerrard.

- Oczywiście. Jego referencje są bez zarzutu. Miał nawet przy sobie papiery

- Houseman uśmiechnął się lodowato. - Prawdę mówiąc, z was wszystkich on jeden miał prawo przekroczyć granicę tego kraju.

Przesłuchanie trwało dwie godziny, podczas których Houseman zadawał te same pytania, analizując te same odpowiedzi. O 8.30 wstał i z powrotem schował papiery do aktówki.

- Jeżeli o mnie chodzi, sprawa jest prosta, panie Gerrard. Dwukrotnie wykorzystał pan swój statek prowadząc osobistą wendettę przeciwko niemieckim łodziom podwodnym - co jest godne podziwu, jeżeli chodzi o rząd Jego Królewskiej Mości. Nie jest jednak godny podziwu fakt, że utrzymuje pan, iż pański statek wiozł złoto należące do tego kraju, co, jak nam się wydaje, jest próbą wymuszenia na rządzie odszkodowania za utratę statku w wyniku pańskich szaleńczych przedsięwzięć.

- Niech pan wreszcie posłucha! - Gerrard wykrzyknął z pasją Gerrard.

Jeżeli nic nie zrobicie Holdenowi, puście wolno niemieckiego szpiega! A jeżeli wszyscy Anglicy są tak głupi jak wy, to macie to, na co sobie zasłużyliście.

Houseman przyjrzał się Gerrardowi z pogardą. - Przepraszam, panie Gerrard, ale to nie ma sensu. Sprawdziliśmy wiarygodność pana Holdena. Jest wysokim urzędnikiem w Ministerstwie Skarbu. Nigdy nie był w Niemczech ani nie kontaktował się z Niemcami czy ich sympatykami w czasie swych częstych wizyt w Stanach Zjednoczonych.

Gerrard zdał sobie sprawę z bezużyteczności dalszych prób przekonywania aroganckiego Anglika. Houseman podjął już decyzję i nic jej nie zmieni. -

W porządku - powiedział zmęczonym głosem. - Co ze mną ?

- Zostanie pan deportowany do Stanów Zjednoczonych pierwszym statkiem,

jaki się nadarzy, panie Gerrard. W związku z tym, że zniszczył pan dwie niemieckie łodzie podwodne, zdecydowano, że nie będzie pan o nic oskarżony - Houseman zachichotał. - Widzi pan, panie Gerrard, nie jesteśmy niewdzięczni.

Oficer prowadzący przesłuchanie uśmiechnął się do Josephine.

- Nie, panno Britten, obiecuję, że nie będzie pani musiała wypełniać żadnych formularzy, lecz byłbym wdzięczny, gdyby odpowiedziała pani na kilka pytań dotyczących pani przeszłości.

Następne dziesięć minut wydawało się Josephine całkowicie nierealne - przesłuchujący oficer grzecznym tonem zadawał jej najbardziej niewiarygodne, ale drobniagowe pytania. Chciał wiedzieć, jak nazywała swego ojca, kiedy była dzieckiem, na jaki kolor był z zewnątrz pomalowany sklep z artykułami żelaznymi, a nawet jak nazywał się najbliższy sklep spożywczy. Za każdym razem, gdy Josephine odpowiedziała na pytanie, oficer robił znak ołówkiem na długiej, pokrytej maszynowym pismem liście. Następne pytanie było zupełnie niepodobne do innych.

- Dziękuję, panno Britten. Czy wie pan, jaki ładunek wiózł "Tulsar"?

- Ołów.

- Dziękuję. Jak był przewożony?

- W dużych skrzyniach.

- Rozumiem. Widziała pani, jak je załadowano?

- Nie.

- Widziała pani same skrzynie?

- Nie. Tak! Kiedy przebiły burtę statku tuż przed jego zatonięciem.

- Ale nie widziała pani zawartości skrzyń?

- Nie.

Josephine miała zamiar zapytać o powód tych dziwacznych pytań, lecz oficer nagle zamknął notatnik.

- Dziękuję, panno Britten. - Otworzył szufladę biurka i położył przed Josephine żółtą kopertę. - Domyślam się, że chce pani jak najszybciej wrócić do Nowego Jorku?

- Jest to klasyczne niedomówienie - powiedziała chłodno Josephine.

Oficer pokiwał głową ze zrozumieniem. - Wykupiono dla pani, panno Britten, i dla wszystkich pasażerów "Tulsara" bilety na przejazd do Nowego Jorku. Nie możemy podać daty wyjścia z portu, bo wszystkie są trzymane w tajemnicy. Tymczasem zamieszkacie w jednym z londyńskich hoteli.

- To znaczy, że mogę już iść? Wyjść stąd?

- Oczywiście - oficer wręczył Josephine jeszcze jedną kopertę. - Niech pani o tym nie zapomni. Są tu tymczasowe dowody tożsamości. Niedługo autobus zabierze wszystkich do hotelu, ale na panią chyba czeka na zewnątrz młody mężczyzna.

Młodym mężczyzną okazał się Ralph Holden.

29

Wszyscy pasażerowie "Tulsara" zebraли się na dworcu Euston, czekając na zapowiedź, z którego peronu odejdzie pociąg do Liverpoolu. Josephine siedziała obok Holdena. Czekali już od godziny, niewiele mówiąc i przyglądając się nieprzerwanemu strumieniowi kobiet i mężczyzn w mundurach zdążających w różnych kierunkach. Pani Eli Vanson przybyła ciągnąc za sobą męża i natychmiast zebrała się wokół niej grupa pasażerów, chcących usłyszeć najświeższe plotki.

- Moi kochani - mówiła. - Wiecie, jak trudno czegokolwiek się dowiedzieć.

Ale słyszałam, że ma to być statek amerykański, liniowiec, z restauracją, barami,

basenem i salonem fryzjerskim...

- Czy to jest prawdziwy liniowiec, Ralph? - zapytała Josephine.

- Tak zrozumiałem.

- Czy kiedykolwiek udzielisz mi zwyczajnej odpowiedzi na zwyczajne pytanie?

- Nie sądzę. Ale nie jest to wykluczone.

- Znowu to samo. Nie dziwię się, że Londyn jest wylęgarnią plotek.

Holden roześmiał się i spoważniał.

- Jo...

Wyczuła wahanie w jego głosie i spojrzała nań surowo.

- O co chodzi?

- Dziś rano przyszła wiadomość o twoim ojcu.

- Od mojej matki?

- Tak.

Josephine zamknęła oczy na parę sekund. - Nie żyje, prawda?

- Dwa dni temu... Bardzo mi przykro, Jo...

- Starałam się, jak mogłam, przybyć na czas.

Holden położył swą dłoń na jej dłoni. - Zrozumiałby.

- Pan Holden? - zapytał zimny, bezosobowy głos. Holden popatrzył na przybysza. - Tak?

- Houseman - powiedział obcy sztywno. - Kapitan Steven Houseman.

Otrzymałem polecenie przekazania pod pańską opiekę pewnego pana.

Mężczyźni obejrzeni wzajemnie swoje dowody tożsamości i podali sobie ręce.

- Czekałem na pana, kapitanie - powiedział Holden. - Gdzie on jest?

Houseman skinął na trzech mężczyzn stojących o jakieś pięćdziesiąt metrów od nich. Podeszli bliżej. Josephine zaparło dech z wrażenia.

Człowiekiem w środku był Gerrard.

Gdy Josephine wyszła z zarezerwowanego przedziału w pociągu, by sprawdzić, czy w wagonie restauracyjnym robi się trochę luźniej, Holden założył sobie ręce za głowę i uśmiechnął się szeroko do Gerrarda.

- Chyba jestem panu winien parę wyjaśnień. Kłopot polegał na tym, że tak panu spieszyło się oddać mnie w ręce kogokolwiek, kto tylko słuchał. Nie całkiem sobie na to zasłużyłem. Ale oczywiście nie winię pana.

- Dla kogo pan, do diabła, pracuje, Holden?

- Dla zwycięzców.

- Czy nigdy nie potrafi pan zwyczajnie odpowiedzieć na pytanie?

- Jest pan już dziś drugą osobą, która się na to skarży.

- Powie mi pan jedno? Co wieźliśmy w ładowni "Tulsara"?

- Co panu powiedział Houseman?

- Że to był ołów.

- Mówił prawdę.

Gerrard popatrzył na Anglika szeroko otwartymi oczami. - Dlaczego, na miłość boską, powiedział mi pan, że złoto?

- Niemcom też przekazałem, że złoto. Spotkałem się z Kramerem

w Kapsztadzie, zanim wyruszyliśmy, i przekonałem go, że "Tulsar" będzie przewoził złoto, bo wiedzieli, że złoto jest w Południowej Afryce i że jakoś będziemy musieli je stamtąd wydostać.

- Więc jest dalej w Południowej Afryce?

- Nie. Krążownik amerykański zabrał je z Kapsztadu 10 stycznia. To USS

"Louisville" naprawdę przewoził złoto Churchilla. Popłynęło prosto do Ameryki

na opłacenie naszych długów. Całe 42 miliony dolarów w złocie - reszta naszych rezerw. W podziemiach Banku Anglii nie ma teraz ani jednej sztabki. Zupełnie nic. - Holden przerwał i popatrzył przez okno na mijany krajobraz.

- Nawet go teraz nie potrzebujemy - ciągnął. - Roosevelt przepchnął przez Kongres ustawę o pożyczce dzierżawnej, więc teraz dostajemy potrzebne uzbrojenie za darmo. Roosevelt zrobił dokładnie to, co powiedział - wyeliminował symbol dolara z wojny.

Twarz Gerrarda zbielała ze złości.

- A ja byłem naiwniakiem na przynętę, nie?

- Nie. Był pan czymś więcej. Wydawało nam się, że jeżeli umyślnie podsunie my Niemcom wiadomość, że "Tulsar", statek bardzo szybki, wiezie złoto, uda nam się wyciągnąć jeden z ich wielkich okrętów wojennych, żeby go złapać. Bóg jeden wie, dlaczego na początek wysłali łódź podwodną. Dlatego tak bardzo mi zależało na jej zatopieniu i wykluczeniu z polowania. Tak naprawdę nawet nam się nie śniło, że wywabimy "Bismarcka" z jego bezpiecznej kryjówki.

Zapanowała cisza.

- O mój Boże - wykrztusił wreszcie Gerrard.

- Pojawienia się Kramera na pokładzie nie przewidziałem - przyznał Holden.

Uśmiechnął się. - To tylko potwierdza, że nawet najlepsze plany, i tak dalej... Gerrard przytaknął. Wszystko zaczynało się zgadzać. Nagle zrozumiał.

- Ilu ludzi wiedziało o planie?

- Mniej niż sześciu, łącznie ze mną.

- Ale nie kapitan Houseman?

- Zwłaszcza nie kapitan Houseman - powiedział Holden z naciskiem. -

Zupełny brak wyobraźni.

Josephine weszła do przedziału.

- Zamówiłam stół na trzy osoby za dziesięć minut - oznajmiła tryumfalnie.

Zmarszczyła brwi patrząc to na Gerrarda, to na Holdena.

- Hej, wy dwaj. Czy czegoś nie przegapiłam?

Josephine wydawało się, że na przystani zebrało się tyle osób, by pożegnać

odpływający statek, co pasażerów koło schodów prowadzących na pokład.

Papierowe serpentyny spływały na dół na nabrzeże z górujących nad nimi pokładów liniowca, chwytane poprzez tuziny rozentuzjzmowanych rąk.

- Gdzie jest twój bagaż, Ralph? - zapytała Josephine.

- Nie mam nic, Jo.

- Musisz coś mieć. Nie możesz tak jechać.

- Nie jadę do Nowego Jorku.

Josephine spojrzała tępo na Holdena. - Ale myślałam, że...

Holden potrząsnął głową. - Przyjechałem, żeby się pożegnać, Jo. A co myślałaś? Czego się spodziewałaś?

Bagażowy wziął dwie małe torby Josephine, które kupiła w Londynie, i położył je na wózku.

- Sama nie wiem - powiedziała powoli. - Myślałam... Do diabła z tym, co myślałam.

Holden wziął ją za rękę i poprowadził ku schodom, którymi wsiadali pasażerowie klasy pierwszej.

- Mam twój adres w Nowym Jorku - przypomniał. - Więc jeżeli kiedyś pojedę... - Nie dokończył zdania.

- A jest jakaś szansa?

- Wszystko zależy od prezydenta Roosevelta.

- Dlaczego?

- Agenci Korony mają biuro na Manhattanie. Jeżeli Ameryka przyłączy się do wojny, zostaną tam wysłani - uśmiechnął się do Josephine i wziął jej dłoń w swoje. - Przynajmniej tyle mi obiecali.

Przestrzeń dzieląca statek od nabrzeża wolno się powiększała, a tysiące papierowych serpentyn łączących wielki statek z lądem naprężyło się i pękło. Wiatr porozrzucał resztki wstęg i rzucił ich splątane zwoje pomiędzy tłumy stojące na nabrzeżu i wzdłuż poręczy statku.

Josephine gorączkowo machała, lecz Holden nie patrzył już na nią. Po raz ostatni widziała jasnowłosego Anglika w jego własnym kraju, jak przepycha się przez tłum w stronę budynku przystani.